



- **Cancelowanie Gauguina?**
To po prostu głupie
- **Lem** przewidział wszystko
- **Premiery** wczesnej jesieni



WYSOKIE OBCASY
Marta Nieradkiewicz:
Odkryłam siebie,
gdy zostałam sama



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Nowacka, do tablicy!

►7

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

WYBORCZA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048908



Ryszard Schnepf
O polityce,
dyplomacji, historii
i ojcu ►13

**Czego boją
się Węgrzy**
Nie chodzi
o wojnę ►25

Artur Rojek
Pierwszy w Mysłowicach
powiedziałem,
że się wycofuję ►30

FOT. SZYMON ROGIŃSKI



**O której wybuchła
II wojna światowa?**
Wiele odpowiedzi,
jedna prawdziwa ►40

Agnieszka
Kublik



Pierwsza Dama zrobiła to sobie sama

Z jednej strony to radość patrzeć na Agatę Dudę, gdy tryska szczęściem po opuszczeniu Pałacu Prezydenckiego. Musiała tam żyć 10 lat. Uczucie rozanielenia było tak silne, że musiała z siebie tę radość dosłownie wyśmiać. Podwładnych męża żegnała tak: „Coś się kończy, coś zaczyna. Ja chyba jestem najszczęśliwszym człowiekiem w tej kancelarii. Pożegnaj się z państwem słowami mojej ukochanej piosenki »to już jest koniec, nie ma już nic, jesteście wolni, możemy iść«”. Podczas tej króciutkiej przemowy kilka razy wybuchła niemal histerycznym śmiechem.

Mało to było taktowne, bo przecież mówiła im wszystkim, jakim szczęściem jest, że już nie będzie musiała ich widywać, mieszkać w Pałacu, że z Warszawy się wreszcie wyprowadzi.

To musiało być koszmarnie męczące. Tyle aktywności, większość bez sensu. Oby Marta Nawrocka nie musiała być za 5 lat tak szczęśliwa

Ale z drugiej strony małżonka Andrzeja Dudy swoim obecnym szczęściem przekazuje nam, jak bardzo była w Pałacu nieszczęśliwa przez całe 10 lat.

Nie czuła się tu zbyt chyba dobrze, skoro np. śniadanie co rano stawiano parze prezydenckiej pod drzwiami, bez wchodzenia do prywatnej czę-

ści. Do prezydenckich apartamentów mogła zaglądać tylko znajoma państwa Dudów, ściągnięta ponoć z Krakowa.

Więc tym bardziej dziś może czuć się szczęśliwa, skoro opuściła to swoje pierwszodamowe więzienie. Ona czuła to od początku, płakała, gdy Duda startował w prezydenckim wyścigu (co prezydent napisał w autobiografii „To ja. Andrzej Duda”).

Może to szczęście wynika z tego, że Duda już nigdy nie ułaskawi nacjonalisty Bąkiewicza? Albo, że już nie będzie ukrywać prawomocnie skazanych przez sąd Kamińskiego i Wąsika?

A może dlatego, że nie mogła (nie chciała?) publicznie komentować sytuacji nauczycieli, którzy prosili ją zresztą o pomoc, ale usłyszeli, no właśnie... niczego nie usłyszeli. Podobnie było zresztą z osobami z niepełnosprawnościami i ich rodzinami, które też prosili o wsparcie, czy kobietami, które PiS wziął sobie na cel.

A może miała już dość podróży, które w kilometrach mogą robić wrażenie, ale nic poza tym? Kancelaria Prezydenta skreśliła taki statystyczny portret Agaty Dudy: „wzięła udział w 3646 aktywnościach (a cóż to znaczy?), inicjowała oraz uczestniczyła w 1026 wydarzeniach, w tym w 791 indywidualnie, a 235 wspólnie z prezydentem, 907 miało miejsce w kraju, a 119 za granicą, objęła patronatem ponad 717 inicjatyw społecznych i edukacyjnych oraz wsparła 463 akcje charytatywne”.

To musiało być koszmarnie męczące. Tyle aktywności, większość bez sensu.

Oby Marta Nawrocka nie musiała być za 5 lat tak szczęśliwa. ●

Andrzej rysuje



Dzika przyroda w obiektywie Jeleń ryknął



Wyróżnienie w kategorii wiekowej „10 lat i mniej” w konkursie przyrodniczym Wildlife Photographer of the Year 2025, organizowanym przez Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Jamie Smart (Wielka Brytania), Wezwanie do rykowiska. Jeleń szlachetny podczas jesiennego rykowiska w Bradgate Park w Wielkiej Brytanii. Jego poroże odrosło już od czasu corocznego zrzućcia na wiosnę.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

50,2

TYS. ZŁ BRUTTO
– tyle średnio zarabia
w Polsce członek zarządu,
wynika z raportu firmy
Antal



Na reprezentację przyjeżdżasz do pracy, a nie na urlop i kręcenie reklam, przywożenie rodzin, pałętanie się po hotelu i narzekanie, że jest dużo meczów

TOMASZ HAJTO

były reprezentant Polski, dla Polsatu Sport

www.nekrologi.wyborcza.pl/34392668

Z głębokim żalem zawiadamiam, że dnia 19 sierpnia 2025 roku zmarł nagle w wieku lat 71

**Prof. dr hab. n. med.
Paweł P. Liberski**

Stypendysta Fundacji Fogarty & Kosciuszko Foundation
Uczeń i Współpracownik Laureata Nagrody Nobla D. C. Gajduska
Prorektor d/s Nauki Uniwersytetu Medycznego w Łodzi 2002-2008
Neurolog i Neuropatolog
Wiceprezes Stowarzyszenia Neuropatologów 1993-96

Światowej sławy specjalista w dziedzinie chorób prionowych
Opłakiwany przez międzynarodowe środowisko naukowe m.in.
Electron Microscopic Community
Instytut Neurologii w Wiedniu
Euro CJD
Uniwersytet Harvarda w USA

Konsultant Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi
Wykładowca Akademii Mazowieckiej w Płocku
Autor wybitnych prac naukowych

Znawca sztuki, wielbiciel figurek sloni
Wielki umysł, ale także bardzo dobre serce

Uroczystość pogrzebowa odbędzie się
8 września 2025 roku o godzinie 13.40
na cmentarzu Doły Komunalne przy ul Smutnej 1 w Łodzi.

O czym zawiadamia pogrążona w głębokim smutku

żona



Koniec duopolu PO-PiS

Nie do takiej Platformy się zapisywaliśmy

W sierpniu postowie wysyłają mi SMS-y, że nie mają zamiaru gadać o pracy.

Ale o nowej partii sami chcą rozmawiać

Gruszczyński



W Sejmie coraz głośniej mówi się o założeniu nowej partii. – Szukamy lidera, potencjał jest spory – dobiega z korytarzy i klubowych pokoi.

Pierwszy raz o nowym ugrupowaniu usłyszałem tuż po wyborach prezydenckich. Rozmawiałem z dala od telewizyjnych kamer z jednym z istotniejszych polityków lewicy, który konspiracyjnym tonem opowiadał mi o swojej partii marzeń. – Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Barbara Nowacka, Rafał Trzaskowski i Joanna Mucha. To byłoby idealne ugrupowanie dla młodych. I w ogóle dla wyborców zmęczonych obecnym kształtem sceny. To byłaby partia stworzona dla moich kolegów i koleżanek.

Od razu zapytałem, czy powie mi to wszystko pod nazwiskiem. – Nie, bo chcę nadal być w Nowej Lewicy pod Włodkiem Czarzastym – odpowiedział bez chwili namysłu.

Po kilku dniach zapomniałem o tej rozmowie, ale temat wrócił kilka dni temu, kiedy „Polityka” ujawniła, że samorządowcy rozmawiają w kulisach o założeniu ugrupowania, które wystartowałoby w najbliższych wyborach parlamentarnych. Partia miast i gmin miała połączyć to, co najlepsze w pracy samorządowej – wiarygodność, skuteczność i rzetelność w małych reformach, które poprawiają życie milionów ludzi – oraz świeżość, której brakuje w polskiej polityce.

W trudnym okresie wakacyjnym, kiedy posłowie zwykle wysyłają mi SMS-y, że nie mają zamiaru rozmawiać o pracy, bez trudu udało mi się porozmawiać z kilkoma politykami Koalicji 15 Października. To, co usłyszałem, jest intrygujące.

Okazuje się, że wszędzie na obrzeżach wielkich partii dyskretnie rozmawia się o założeniu nowego ugrupowania. Albo inaczej: wielu polityków zaczyna się zastanawiać, w jaki sposób zagospodarować liberalne centrum, które coraz bardziej czuje się porzucone i osamotnione.

– Koalicja Obywatelska wraca do korzeni, które moi koledzy nazywają umiarkowanym centrum, a wszystkie progresywne posłanki wiedzą doskonale, że chodzi o konserwatywny zwrot. Widać to doskonale w podejściu do migrantów z Ukrainy, odpuszczeniu spraw światopoglądowych, w strachu przed rozwiązaniem Funduszu Kościelnego – opowiada jedna z posłanek. – Coraz częściej pojawiają się głosy na naszych wewnętrznych spotkaniach, że ten cały feminizm niczego dobrego nam nie przyniósł, że po co nam te związki partnerskie. Te same osoby w 2023 roku opowiadały, że „nie do takiej Platformy się zapisywaliśmy”, a teraz mówią: „w końcu moja PO wraca do korzeni”.



• Centrum Kultury w Biłgoraju (27.02.2025). Przygotownia do spotkania mieszkańców z kandydatem na prezydenta RP Rafałem Trzaskowskim



Rząd zamierza boksować się z nowym prezydentem.

– A w tym czasie utrwalania duopolu pojawi się przestrzeń na coś nowego – sugerują moi rozmówcy z Koalicji 15 Października

Moja rozmówczyni twierdzi, że spora grupa progresywnych polityków młodego pokolenia, którzy zapisali się do KO w ostatniej dekadzie, kiedy Borys Budka, a potem Donald Tusk w czasie kampanii wyborczych stawali po stronie praw kobiet i praw człowieka, dzisiaj przestaje się odnajdywać w partii skracającej w prawo. – I jeśli pan pyta, czy prowadzimy rozmowy o nowej partii, to zaprzeczę. Ale jeśli pan zapyta, czy w naszych głowach pojawia się taki pomysł, to potwierdzę. Na pewno oczekiwanie społeczne jest ogromne, ludzie chcieliby nowej partii z centrowym programem.

Polityk związany z Polską 2050 ma podobne przemyślenia. – W kraju jest miejsce na nowe ugrupowanie liberalne, które złoży ofertę polityczną 40-latkom. Taką partią mieliśmy być my, ale pogubiliśmy się w przekazie, dzisiaj nie wiadomo do końca, czy i dla kogo jesteśmy. Chodzi o ugrupowanie, które nie będzie socjalne gospodarczo i konserwatywne w kwestiach światopoglądowych, tylko odwrotnie. Każdy przecież widzi, że nam jest potrzebna partia na wzór Nowoczesnej. I każdy wie, że na start taka partia dostałaby 15 procent w sondażach – twierdzi mój rozmówca, który nie jest nowicjuszem w polityce.

Tylko nikt nie chce zdradzić, kto tę partię zakłada. Barbara Nowacka przekazała mi, że ona już założyła jedną partię (chodzi rzecz jasna o Inicjatywę Polska). Joanna Mucha roześmiała się, kiedy jej przekazałem sejmowe plotki i stanowczo im zaprzeczyła. Trzaskowski nie odpowiedział na moją wiadomość. A Agnieszka Dziemianowicz-Bąk... – Czekam na wynik wewnętrznych

wyborców w Nowej Lewicy, które będą jesienią. Wtedy zobaczysz, ile ma szabel i co z nimi może zrobić – mówi mi młody polityk lewicy.

Co ciekawe, polityczki KO, z którymi rozmawiam, właśnie w niej widzą przyszłą liderkę ważnego ruchu politycznego. – Jest wiarygodna, większość naszych sukcesów rządowych wyszła z jej ministerstwa, jest charyzmatyczna i pracowita – słyszę w klubie KO.

Moi rozmówcy nie są w pełni reprezentatywną grupą, ale ich głosy oddają klimat, jaki panuje w Koalicji 15 Października po przegranych wyborach prezydenckich i chaosie politycznym, jaki panuje od zaprzysiężenia Karola Nawrockiego.

Kiedy pytam, jaki plan polityczny na wrzesień ma obóz rządzący, słyszę, że minister sprawiedliwości Waldemar Żurek przedstawi pierwsze propozycje legislacyjne, przyspieszą rozliczenia, a Sejm wyśle do Pałacu Prezydenckiego ogryzek, jaki został po wewnętrznych negocjacjach o związkach partnerskich oraz projekt ustawy dekryminalizujący aborcję, za którym zagłosują ludowcy. Ten ostatni projekt będzie połączony z ustawą przywracającą tak zwany kompromis aborcyjny z lat 90.

– Rząd zamierza boksować się z nowym prezydentem, a w tym czasie – utrwalania duopolu – pojawi się przestrzeń na nową partię, sugerują mi moi rozmówcy.

Czy Tusk powinien obawiać się tego ruchu? Nie, ponieważ KO jest liderką sondaży. Owszem, jeśli wygra wybory parlamentarne, będzie potrzebowała koalicjanta, bo Polska 2050 – co do czego zgadzają się wszyscy, z którymi rozmawiam – jest dogorywającym projektem, PSL liczy po cichu na wspólny start z KO, a Nowa Lewica raczej utrzyma dzisiejsze poparcie, niż je powiększy. Ale nowa liberalna partia w naturalny sposób zapewni Tusкови tlen i drugą kadencję.

A może jest tak, że liberalne centrum skutecznie zagospodarował Sławomir Mentzen, którego program gospodarczy jest skrojony pod potrzeby młodego pokolenia na dorobku? I tak, i nie. Wewnętrzne badania, o których

opowiadają politycy, mają wprost sugerować, że kilkanaście procent wyborców zagłosowałoby na partię centrową. Mentzen błyszczał w czasie kampanii prezydenckiej, ale nie wiadomo, jak Konfederacja będzie się zachowywała za dwa lata, dokąd zapędzą ją Grzegorz Braun z prezydentem Nawrockim. I czy w ogóle dotrwa w obecnej formie.

– Mentzen nie mówi swoim wyborcom, że zamierza się dogadać z Tuskiem po następnych wyborach – narzeka jeden z posłów PiS. – Ale my im to będziemy skutecznie przypominać – uśmiecha się.

No właśnie, prawa strona wydaje się w tym momencie zabetonowana i nie ma tu żadnej przestrzeni na tworzenie nowego ugrupowania. Rozmawiam o tym z politykami PiS z dwóch frakcji: Zbigniewa Ziobry i Mateusza Morawieckiego, a więc zwolennika radykalnego przekazu oraz technokraty.

Po wygranej Nawrockiego nie widzę przestrzeni na coś nowego po prawej stronie. Będziemy się raczej konsolidować, prowadzić rozmowy z Krzysztofem Bosakiem i wypuszczać prezydenta na starcie z Tuskiem – mówi mi poseł PiS. – Plan na te dwa lata jest jasny: Nawrocki będzie wetował nawet te ustawy, które są z pozoru dobre, ale znalazły się w nich zapisy sprzeczne z jego światopoglądem. Za każdym razem będzie apelował do rządu o wysłanie takiego projektu, który będzie się podobał Kancelarii Prezydenta.

Mój rozmówca ziobrysta przypomina, że cały PiS rozmawiał o tym, co zrobią Andrzej Duda i Morawiecki po wyborach prezydenckich. – Nie było tajemnicą, że panowie chcieli założyć nową partię po porażce Nawrockiego – twierdzi polityk. Były premier jeździł w czasie kampanii po Polsce, niby promując „kandydata obywatelskiego”, ale głównie mówił o polityce i prawicy. Z kolei Duda nie bez powodu zaangażował się w kampanię prezesa IPN: chciał udowodnić, że jest politykiem, który ma nadal spory potencjał. Skończyło się na niczym.

Posel z frakcji Morawieckiego potwierdza rozpoznania ziobrystów. – Doceniam pańskie pytanie o modernizacyjną siłę rządów prawicy, ale nasza grupa wie doskonale, że tylko będąc w większej bandzie, która ma 40-procentowe poparcie, można modernizować kraj. Musimy schylić głowy, dopchać się do ministerstw, a nie tworzyć nową ekipę. Poza tym dzisiejsza polityka opiera się na innych emocjach niż potrzeba racjonalnej partii, która skupiłaby się na rozwiązywaniu problemów. Dzisiaj liczy się ostra polaryzacja – analizuje poseł.

W tym roku świętujemy 20-lecie naprzemiennych rządów PO i PiS. Sondaże nie sugerują zmian, a do tej pory wejście nowych graczy wcześniej czy później kończyło się kompromitacją. Ale polska polityka jest nieprzewidywalna, a 20 lat temu na brykające młodziutkie ugrupowania Tuska i braci Kaczyńskich w ławach ówczesnych politycznych potęg też patrzono z politowaniem, wieszcząc krótki wzlot i lądowanie na pozaparlamentarnej kanapie. ●

Arkadiusz Gruszczyński

Biznes

to nie show biznes

O wymianie prezesów spółek skarbu państwa, o wspieraniu polskich firm i o tym, kto może trafić na Giełdę.
Pierwszy wywiad ministra Wojciecha Balczuna po objęciu teki szefa MAP

Z **WOJCIECHEM BALCZUNEM**,*
MINISTREM AKTYWÓW
PAŃSTWOWYCH,
ROZMAWIA
SEBASTIAN OGÓREK,
WYBORCZA.BIZ

Jako menedżer był pan rozliczany z zysków i wzrostu wartości firmy, a za co rozliczany powinien być pan jako minister?

– Zakładam, że z bardzo podobnych rzeczy. Dla mnie istotne jest, by budować wartość zasobu, który mi powierzono. Musi on też generować zyski, bo to pieniądze mogące iść na inwestycje lub być wypłacane jako dywidenda. A z tej korzystają i mniejszościowi akcjonariusze, i budżet państwa. Mechanizm jest bardzo podobny do tego, co robiłem jako prezes.

Mogę więc za pewien czas oceniać pana działania jako ministra aktywów, patrząc na kapitalizację państwowych spółek notowanych na GPW?

– Takie proste to nie jest. Każda spółka ma strategię, państwo również ją ma. Oczywiście każda firma musi dbać o wartość i swoją wycenę, ale żyjemy w specyficznych czasach i te najważniejsze spółki muszą wpisywać się w to, co dla państwa jest najważniejsze. Dbać także o te wyższe interesy.

Premier Tusk w trakcie rekonstrukcji rządu mówił tak: „nie chodzi o maksymalizację zysków, ale maksymalizację dobrostanu Polaków i szans dla naszych firm”. Mnie zaskoczyły te słowa.

– Kluczem do odpowiedzi, co jest moją misją, jest na pewno skoncentrowanie się na budowie potencjału polskiej gospodarki. Będzie to dużo większy nacisk na tworzenie warunków dla rozwoju firm polskich – prywatnych i państwowych. Bardzo często używamy teraz sformułowania „local content”. O co chodzi?

Dotąd przy bardzo dużych projektach, na przykład energetycznych, związanych choćby z budową farm wiatrowych na Bałtyku, nasze polskie firmy miały ruszane kłody pod nogi. To musi się zmienić. One muszą uczestniczyć w tych dużych programach inwestycyjnych. Będziemy pracowali nad instrumentami, które pozwolą im te bariery ominąć.

To jest budowa dobrostanu Polaków?

– Państwowe firmy realizują duże projekty związane z dużymi przetargami. Chcę wypracować rozwiązania, które polskich przedsiębiorców nie będą z góry eliminować z udziału w tych kontraktach. To jest dla mnie priorytet w resorcie.

Często dotąd było tak, że wymagano certyfikatów, których zdobycie jest bardzo trudne. Wymagano gwarancji, których polskie firmy nie mogły łatwo zdobyć. Chcemy to ułatwić. Im więcej polskiej produkcji, polskich firm, tym polski dobrostan będzie rósł.

Przepisy unijne nie będą tu łamane? Nie będzie ich obchodzenia?

– Proszę popatrzeć na to, co dzieje się w innych krajach Unii Europejskiej. Tam normą jest chronienie własnego rynku, ale w zgodzie z prawem. Każdy ma preferencje, stosuje pewnego rodzaju ułatwienia dla lokalnego biznesu, który płaci tam podatki. Musimy zacząć robić to samo.

Podam przykład z czasów pracy w PKP Cargo, gdy toczyłem bój z UOKiK-iem, co do definicji rynku. Próbowaliśmy utrzymać rynek, bronić się przed zagranicznymi operatorami. Ci mówili: Polska musi się liberalizować, ale gdy my chcieliśmy wejść do nich na ich tory, to słyszeliśmy „nie”.

Przykład z Niemiec: tam były niezwykle trudne przepisy licencyjne, a gdy jakaś firma zagraniczna była bliska ich osiągnięcia, to „nagle” zmieniano przepisy i całą procedurę trzeba było rozpoczynać od nowa.

To było, co prawda, ponad dekadę temu, ale podobne mechanizmy istnieją do dziś. Tak jest we Francji, Niemczech, Finlandii. Oni są dla nas przykładem do naśladowania. Nie mówimy o zaburzeniu konkurencji, mówimy o systemie, który nie pozwoli eliminować polskich firm z największych przetargów. To minimum.

Gdy pan wszedł do tego gabinetu, to w serwisach społecznościowych informował, że czas na prace koncepcyjne i strategiczne. Przez miesiąc nie udzielał pan wywiadów, nie rozmawiał z mediami. Ten plan już jest?

– Nie chcę być tylko audytorem technicznym, nie tak widzę swoją rolę. To ja odpowiadam za strategię państwa, która wpływa na podległe mi spółki. Mam już główne założenia mojej pracy, a wśród nich jako jeden z priorytetów jest wspomniana wyżej repolonizacja rozumiana jako local content.

Zaczął pan od mocnego wejścia. Stanowisko prezesa PZU stracił Andrzej Klesyk. W świecie finansów osoba niezwykle dobrze znana i szanowana.

– To efekt tego, że nie chcę być tylko urzędnikiem. Patrzę strategicznie, czasem wchodzę w detal, weryfikuję też co i jak funkcjonuje, jak realizowana jest szersza wizja spółki i państwa. Tu oceniliśmy bardzo szczegółowo sytuację w Grupie PZU i w naszym przekonaniu, ta zmiana była konieczna.

Powrót prezesa Andrzeja Klesyka do PZU parę miesięcy temu był pozytywnie oceniony, ale w międzyczasie nastąpiło istotne schłodzenie tych wrażeń. Nawet strona społeczna zajęła stanowisko bardzo krytyczne wobec tego, co działo się wewnątrz spółki.

Wychodzę z założenia, że moim zadaniem jest sprawne budowanie dobrze funkcjonujących zarządów. W nich musi być lider, osoba wyrazista, organi-

zująca działania firmy, ale w spółkach nie może być permanentnych konfliktów u szczytów władzy, bo energia będzie szła w rozwiązywanie sporów pomiędzy członkami zarządu, a nie realizację celów.

We wniosku o odwołanie argumentowano, że chodzi o „zapewnieniu zgodności polityki zarządczej spółki z celami właścicielskimi”. Gdzie tej realizacji celu zabrakło dokładnie? To sugestia, że połączenie Pekao SA z PZU nie jest przesądzone czy zachęta do szybszych prac?

– Czekam na rekomendacje komitetu pracującego nad tą transakcją. Mamy świadomość zmieniających się uwarunkowań regulacyjnych, które dotyczą naszego narodowego ubezpieczyciela, ale też wymogów kapitałowych związanych z bankami. Ekosystem, w którym w najbliższych latach przyjdzie funkcjonować i PZU, i Pekao ulega zmianie. Mamy na teraz pozytywne sygnały od regulatora, czyli KNF.

Kluczem dla mnie, na samym końcu przed podjęciem decyzji, kiedy już konkretny projekt zostanie nam zaprezentowany, będzie odpowiedź na pytanie: jaki ta zmiana da efekt. Najważniejsze to, jakie kapitały rzeczywiście zostaną uwolnione, tak by pobudzać akcję kredytową w Polsce, czytaj: rozwijać gospodarkę. Drugie równie ważne, to jak zostanie zabezpieczony interes Skarbu Państwa.

Dywidenda będzie ważna?

Mamy tu taką samą perspektywę jak każdy akcjonariusz. Chcemy, by spółka realizowała strategię, inwestowała, ale także chcemy być beneficjentem tego rozwoju poprzez dywidendę.

Podobnych zmian, jak w przypadku zarządu PZU, będzie więcej w innych spółkach?

– Punktem wyjścia do wszelkich działań jest ocena efektywności zarządów spółek. I, tak jak powiedziałem na początku naszej rozmowy, realizacji celów, które są definiowane przez właściciela. Nie mam dogmatycznego podejścia. Miotły nie będzie. Nie powiem też jednak, że zmian nie będzie.

Zmiana na stanowisku prezesa jest czymś normalnym. A szczególnie jeśli będziemy widzieli problemy wewnątrz zarządów, spory kompetencyjne, kłótnie. Ja jestem od tego, by takie bariery usuwać. Czasami to oznaczać będzie zmiany personalne.

Pana poprzednik szykował ustawę o nadzorze nad spółkami z udziałem Skarbu Państwa.

Czy prace nad nią będzie pan kontynuował?

– Oczywiście. To jedno z naszych głównych zadań. Chcemy podnieść standardy zarządcze w spółkach,



Wojciech Balczun: W innych krajach UE normą jest chronienie własnego rynku, ale w zgodzie z prawem. Każdy ma preferencje, stosuje jakieś ułatwienia dla lokalnego biznesu, który płaci tam podatki. Musimy zacząć robić to samo.

określić też nowe zasady wynagrodzeń. To jest pakiet zmian. W jego ramach chcemy zmienić zasady nie tyle wybierania, co dobierania rad nadzorczych.

Według mnie one nie mogą składać się np. z samych prawników albo z samych naukowców, ale bez praktyków. Ten nowy standard kompetencyjny ma doprecyzować, jak takie zestawienie w ramach rady nadzorczej powinno wyglądać.

Odpolitycznienie spółek skarbu państwa też będzie miało tu znaczenie?

– To dziś takie „sformułowanie wytrych”.

Jedyną rzeczą, która dla mnie się liczy, jest merytoryczne przygotowanie danej osoby. Uważam, że gdy uda się tę merytoryczność znaleźć w oparciu o standardy kompetencyjne, to eliminujemy patologie, które widzieliśmy przez lata.

Nie będę jednak ukrywał, że w szczególności spółki o kluczowym znaczeniu są emanacją strategii państwa. W pewnym sensie więc czyni je to podmiotami zależnymi od władzy państwowej i jej strategii. Nie możemy więc od tego uciekać.

Miałem już do czynienia ze spółkami państwowymi z radami nadzorczymi, które były same dla siebie. Muszą one działać zgodnie z prawem, z KSH [kodeks spółek handlowych – red.], z prawidłami jakimi rządzą się spółki publiczne, ale jednocześnie ich działanie musi mieć też styk z naszą wizją danej firmy.

Na pana biurku leżą cukierki firmy Pszczółka. Państwo powinno produkować słodycze?

Podobnych absurdów jest więcej.

– Moja uwaga jest przede wszystkim skoncentrowana na spółkach strategicznych. Ich lista jest zdefiniowana, stale też poszerzana, np. poprzez niedawne dopisanie Huty Częstochowa, która jest związana z przemysłem obronnym. To jest clou mojej działalności.

Jest natomiast szereg spółek mniejszych, które takiego znaczenia dla państwa nie mają. Tu widzę rolę Agencji Rozwoju Przemysłu, która przejmowała już część podmiotów od MAP. Tam są większe możliwości, bo ARP jest spółką prawa handlowego. Ma lepsze narzędzia niż ministerstwo do dokonywania analizy spółek, które – powtórzę to – mają mniejsze znaczenie z punktu widzenia interesów Skarbu Państwa.

Tym narzędziem może być prywatyzacja?

– ARP może szukać dla nich adekwatnych rozwiązań poprzez zmniejszanie udziałów, pozyskiwanie inwestorów, wejście na giełdę czy dezinwestycję.

GPW to jest dobre miejsce dla tych spółek?

A także spółek zbrojeniowych?

– Giełda z zasady jest dobrym miejscem dla firm. Trzeba jednak patrzeć na to przez pryzmat tego, co cenią inwestorzy, gdyż dzięki giełdzie są w stanie dobrze wycenić spółkę. Nie każda strategia spółki, zakładana przez ministerstwo, musi być zbieżna z wejściem na giełdę. Tu bym szukał klucza w odpowiedzi na to pytanie.

Są firmy realizujące wspaniałe wizje, przejmujące inne przedsiębiorstwa, rozwijające się, zwiększające udziały, ale nie jest to dobrze wyceniane przez giełdowych inwestorów. Znam firmy, które w takich przypadkach z giełdy schodziły.

Nie wykluczam jednak żadnego scenariusza. Parkiet GPW to jest bardzo dobre miejsce do pozyskiwania środków na inwestycje, to też koło zamachowe dla gospodarki. Widzę tu przestrzeń do podziałania w większym zakresie niż do tej pory. W ostatnim czasie to rzeczywiście szło wolno.

Akurat w przypadku spółek zbrojeniowych to inwestorzy doceniają je i to mocno. Wystarczy popatrzeć na niemiecką giełdę i Rheinmetall. Wzrostu ceny akcji to nawet Nvidia mogłaby pozazdrościć.

– Jest za wcześnie na deklarację w kontekście jakichkolwiek spółek. Mogę jednak powiedzieć, że w tej sprawie prowadzimy bardzo głęboką wewnętrzną dyskusję.

Wiem już, że można się spodziewać zmniejszenia liczby spółek w portfelu MAP o część niestrajtycznych firm, a w przypadku niektórych być może wejścia na giełdę. Pytanie, czy części spółek nie będzie pan musiał oddać do innych resortów? Mówię tu choćby o Krajowej Grupie Spożywczej, którą od miesięcy przejąć chce w nadzór Ministerstwo Rolnictwa.

– To są decyzje polityczne. Przed moim przyjściem do resortu toczyły się dyskusje na temat przyszłości samego resortu, jakim jest MAP. Skoro jednak ta struktura pozostała w takim kształcie i z takim zasobem jaki ma, to z mojej perspektywy jest to zobowiązanie do jak najlepszego zarządzania nim.

Co do KGS – przyglądamy się oczywiście temu holdingowi. To jest bardzo złożona, wielowymiarowa firma wpływająca na sektor agro. Mogę tylko powiedzieć, że jest tam sporo do zrobienia „na teraz”.

Lepsze kompetencje ma tu pan czy resort rolnictwa?

– Sądzę, że można się tu naturalnie uzupełniać z Ministerstwem Rolnictwa. Tak jak my jesteśmy ekspertami od nadzoru, tak w kwestii tej specyficznej strategii zapewne dużo ma do powiedzenia resort rolnictwa. Podobnie jest choćby ze spółkami energetycznymi i ministrem energii.

Jestem człowiekiem dialogu, otwartym na koncyliacyjne rozwiązania. Nie traktuję MAP jako silosu, który jest hermetycznie zamknięty ze swoim „królem siedzącym na tronie” w środku. Nie mogę uciekać od energetyki, rolnictwa czy kwestii środowiska naturalnego. Długo by można wymieniać.

Rozwiązania optymalne są wówczas, gdy są wypracowywane wspólnie. Analogicznie, jak mówiłem wcześniej o zarządach w spółkach z udziałem Skarbu Państwa. Jeśli wiceprezesi tworzą silosy wewnętrzne, mówią: „to jest mój pion, a to twój”, nie rozmawiają o współpracy i wspólnym zarządzaniu, to nic dobrego z tego nie wynika. Gdy się stworzy dobrze zorganizowany, wspierający się wzajemnie team, wówczas można góry przenosić.

Rozmawiamy w czerwony piątek dla polskich banków, które straciły ponad 11 proc. swojej wartości w jeden dzień. To efekt zapowiedzi ministra Andrzeja Domańskiego o wyższym podatku CIT dla sektora. On jest w dialogu z panem wprowadzany?

– Z ministrem jestem w stałym kontakcie, przypomnę, że od rekonstrukcji odpowiada on także za gospodarkę. Praktycznie codziennie o tym rozmawiamy i wiem jak trudne zadanie stoi przed ministrem Domańskim.

Ze znalezieniem pieniędzy do zasypania dziury budżetowej.

– Taką ma pracę.

Banki to dobre miejsce do szukania tych pieniędzy?

– Nie chcę tu wyróżniać żadnego sektora jako lepszego czy gorszego. Będziemy szukać jakiegoś kompromisu, tak by finanse publiczne były ustabilizowane, nie było łamania limitów związanych z zadłużeniem, a jednocześnie by nie pozabawiać gospodarki instrumentów rozwojowych.

Może uda się go przekonać większą dywidendą ze spółek skarbu państwa. Może obiecać mu pan więcej niż 3,5 mld na ten rok?

– Spodziewamy się w najbliższych latach wzrostu wyników naszych spółek. Będziemy kontynuowali aktywną politykę dywidendową.

Pracował pan jako szef ukraińskich kolei, jest pan uważany za osobę świetnie znającą ten rynek. Odbudowa Ukrainy po wojnie przez polskie spółki to także priorytet dla pana?

– Wszyscy liczymy, że Ukraina obroni swoją państwowość, ale ona walczy też o naszą niepodległość, spokojny i stabilny rozwój.

Polska dziś jest w złotym wieku, weszliśmy na ścieżkę bezprecedensowego wzrostu gospodarczego po 1989 i kroczymy nią do dziś. Takiego bogacenia się społeczeństwa, nawet jeśli ktoś ma się nieco gorzej, nie mieliśmy nigdy w historii. Nie możemy z tej ścieżki zejść.

W kontekście odbudowy Ukrainy proszę pamiętać, że mamy wielki potencjał związany z korytarzami transportowymi, które przecinają się na naszym terenie. Z tej perspektywy powinniśmy być jednym z głównych beneficjentów odbudowy tego kraju.

Musimy jednak zrozumieć, że nie możemy czekać na zakończenie wojny. Kluczem jest zajęcie odpowiednich pozycji, zdoby-

cie kontaktów, przygotowanie umów już teraz. Są po prostu projekty, które muszą być gotowe do wdrożenia w każdej chwili. Nawet jeśli nadal toczą się na wschodzie działania wojenne.

W jaki sposób dokładnie?

– Mamy doświadczenia w rozmowach ze stroną ukraińską. Poszczególne podmioty są już zaangażowane za naszą wschodnią granicą. Wspomnę tu choćby PKO BP, które jest właścicielem sporych rozmiarów banku w Ukrainie. Musimy natomiast zadbać o koordynację tych wszystkich projektów.

W sensie, że kilka spółek razem powinno działać w Ukrainie?

– Nie. Mamy całą masę ośrodków, które próbują jakoś w tym procesie uczestniczyć. To nie tylko spółki, to też instytucje promujące Polskę czy odpowiedzialne za rozwój gospodarczy. Do tego dochodzi sfera rządowa, czyli MON czy MSZ, a także nasz polski sektor prywatny, którego najwięksi przedstawiciele szukają różnego rodzaju wsparcia w ekspansji na tamten rynek czy realizacji projektów infrastrukturalnych na Ukrainie.

Tu powinniśmy zadbać o lepszą koordynację, bo gdy to jest rozproszone, to nie działa na naszą korzyść. Wręcz przeciwnie. To my jesteśmy wówczas rozgrywani.

W jednym z wywiadów ponad rok temu mówił pan, że jak się wchodzi do hotelu w Kijowie, to tam już jest cała masa osób mówiących najróżniejszymi językami świata, ale mało kto jest z Polski. Czas to zmienić?

– Tam już są wszyscy: Włosi, Francuzi, Niemcy, oczywiście Amerykanie. Widzę duże zaangażowanie i pozytywny efekt pracy w ostatnich miesiącach Pawła Kowala, który jest pełnomocnikiem rządu do spraw odbudowy Ukrainy. Bardzo dobrze wyszła czerwcową misją gospodarczą do Kijowa, w której wziąłem udział jeszcze jako szef Agencji Rozwoju Przemysłu.

Działają też PFR, BGK, stworzyliśmy platformę Team Poland, która pomaga w zdobyciu finansowania czy ubezpieczeń dla polskich przedsiębiorców szykujących się do inwestycji w Ukrainie.

Spółki z udziałem Skarbu Państwa powinny szycować się do przejęć na tamtejszym rynku?

– Jestem przekonany, że tak.

Namawia pan te spółki, do patrzenia na Ukrainę?

– Jak jest sprawny zarząd, to nie trzeba mu nic tutaj podpowiadać. To powinno być w strategii niemal każdej spółki.

Któreś branże muszą być tu bardziej aktywne?

– Nie jest trudno domyślić się, z czym się wiąże odbudowa kraju po wojnie. Po pierwsze to odbudowa infrastruktury, po drugie cały sektor energetyczny i paliwowy oraz oczywiście logistyka.

Banki?

– Co do sektora finansowego, to na pewno po wojnie będzie dużo procesów konsolidacyjnych, ale wyzwanie jest po stronie Ukrainy, by dostosować standardy tamtejsze do tych unijnych.

Zmienię temat. Moja redakcyjna koleżanka, pisząc o wzroście zarobków, dała ostatnio taki tytuł: „Informatycy prześcignęli górników”. Długo to trwało...

– Rozumiem, co pan sugeruje, ale nie mam tu nastawienia konfrontacyjnego. Gigantycznym wyzwaniem jest dla nas restrukturyzacja branży górniczej. Wiemy, jakie są podpisane porozumienia dotyczące wygaszania sektora wydobywania węgla [stopniowe zamykanie kopalń, które zakończy się dopiero w 2049 roku – red.].

Nie są to proste decyzje, bo dotyczą dziesiątek tysięcy pracowników. Od lat 90., kiedy ten proces się zaczął, szukamy ciągle balansu pomiędzy perspektywą sektora wy-

dobycznego i ich udziałów w miksie energetycznym, optymalizacją funkcjonowania poszczególnych kopalń i spółek, a prowadzeniem dialogu ze stroną społeczną.

Mogę obiecać, że będę starał się rozmawiać tak, jak robiłem to w czasach zarządzania PKP Cargo. Zmniejszyliśmy wówczas zatrudnienie z 46 do 23 tys. pracowników, ale na szczęście obyło się bez strajków i palenia opon. Do dziś jestem tam dobrze wspominany.

Gorąco wierzę, że jeśli strona pracodawcy przychodzi z uczciwą propozycją, chęcią szukania rozwiązań, to strona społeczna przystępuje do takiego dialogu.

Zarzucano mi, że chcę być albo prezesem działającym jak gwiazda rocka, albo że gwiazda rocka chce być prezesem

Panie ministrze, z całym szacunkiem, ale nie wierzę w takie zapewnienia. Dziś dopłacamy do górnictwa 10 mld zł, by móc potem dopłacać do drogiego prądu. A na koniec pod wpływem lobby górniczego blokuje się rozwój energetyki wiatrowej.

– Podam tu przykład Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Przez lata cena węgla koksowego była w miarę dobra i firma zbierała pieniądze na cięższe czasy. W tym biznesie koniunktura często się zmienia.

Wybuchła wojna w Ukrainie. JSW przejmuję rynek, spółka notuje nagły i spektakularny wzrost przychodów o kilkadziesiąt procent. Dialog ze stroną społeczną w takich spółkach toczy się permanentnie. Na stole leżała propozycja pięcioletnich gwarancji zatrudnienia. Strona pracodawcy, zamiast wziąć pod uwagę, że to, co wydarzyło się z przychodami, jest chwilowe, zaproponowała dziesięcioletnie gwarancje.

Efekt? Szybko przychody wróciły do standardowych, a ceny surowca spadły. Spółka pojechała na zderzenie ze ścianą, a działania restrukturyzacyjne są jeszcze trudniejsze.

I pan przekona tych górników, by nie dawać im podwyżek, a może nawet obniżyć pensje?

To jest zadanie zarządu danej spółki, żeby ich do tego przekonać uczciwą, konstruktywną rozmową.

Panie ministrze, od 30 lat nikt po stronie społecznej racjonalnie nie myśli. Jest tylko polityka. A przykład JSW idealnie to obrazuje.

– Wiemy, z czym się stykamy, jaka jest skala problemu. Wiemy też, jak to rezonuje społecznie. Dla mnie to nie jest gra pozorów. Widać to zresztą na Śląsku, który staje się coraz bardziej zielony, powstają przedsiębiorstwa związane z zaawansowanymi technologiami. Ten proces zmiany struktury wydobywania węgla następuje. Tak, jest trudny, niezwykle kosztowny dla budżetu państwa, ale on jest i będzie kontynuowany.

Nie będzie się pan bał podjąć czasem radykalnych decyzji dotyczących górnictwa?

– Na pewno z mojej strony nie będzie chowania się przed problemami.

Do Karpacza na Forum Ekonomiczne się pan wybiera?

– Jeszcze nie wiem.

Rok temu spółki z udziałem Skarbu Państwa się od tego wydarzenia odwróciły.

– Mam podejsście zdroworozsądkowe. Konfrontuję swój kalendarz z możliwościami gdzie mogę, a gdzie nie mogę być. Mam teraz ogrom pracy, nie mogę ruszyć w tra-

sę od konferencji do konferencji. To nie mój styl pracy, choć wiem, że są tacy, co to lubią.

Wchodząc do resortu sugerował pan pracę 24h. Jest piątek, grubo po 17. Współpracownicy nie są już zmęczeni?

– Rzeczywiście dość wcześnie przychodzę do pracy, często jako ostatni wychodzę. Skala wyzwań jest jednak ogromna.

Zaraz za rogiem jest Ministerstwo Pracy. Tam trwają poszukiwania firm do 4-dniowego tygodnia pracy...

– MAP to dla mnie misja, coś, co zostanie ze mną do końca życia. Jeśli robimy coś z pa-sji, jesteśmy zaangażowani, to nie traktujemy tego jako pracę. Nie patrzę więc czy mi dniówka już przeszła, czy nie.

Jest pan znany nie tylko z bycia menedżerem, ale też muzykiem zespołu Chemia. Gitary tutaj nie widzę, ale może jakąś muzykę pan w gabinecie puszcza?

– Nie, nigdy w pracy nie słuchałem muzyki.

Naprawdę? Za panem jest nawet plakat Metalliki i nigdy jej pan tu nie puszczał?

– Muzyka i praca to osobne światy, choć wiele osób jako zarzut w moją stronę traktowało to moje drugie zajęcie.

Zarzucano mi, że chcę być albo prezesem działającym jak gwiazda rocka, albo że gwiazda rocka chce być prezesem. Moja ścieżka zawodowa może nie jest typowa, ale zawsze umiałem rozróżnić, gdzie jest biznes, a gdzie showbiznes. Na teraz nie ma tematu mojej aktywności muzycznej.

Mamy miesiąc od zmian w rządzie, ale w pana resorcie wiceministrowie się nie zmienili, choć zapowiadano nawet cięcia w tym zakresie.

– Aktualnie jestem ja i dwóch moich zastępców. Jeszcze niedawno było to pięć osób. Odchudzić się już bardziej nie da.

Mam nadzieję, że najbliższa przyszłość przyniesie finalny skład kierownictwa resortu pod moim przewodnictwem. A zmiana jest immanentną częścią naszego życia. Ja też jestem tu powołany na pewien czas.

Wiceministrów rozliczał będzie pan tak samo jak prezesów spółek?

– Staram się zbudować drużynę, to jest moja metoda w każdym miejscu. Mamy być jak zarząd dużego funduszu inwestycyjnego, tak by wspólnie realizować ustaloną wizję i strategię.

Problem w tym, że wiceministrowie mają też swoją wizję i strategię związaną z ich przynależnością partyjną.

– Na okres, w którym wszedłem do tego biura, pełnię funkcję polityczną. Nawet jeśli ten świat dotąd był mi obcy. Z panem premierem porozumieiliśmy się co do oczekiwań wobec mojej osoby. Umówiliśmy się, że dążymy do tego, by było wokół MAP jak najmniej brutalnej polityki, a jak najwięcej racjonalności opartej o rachunek ekonomiczny.

Po miesiącu pracy tak jest?

– Nie narzekam. ●

Wojciech Balczun

• od 24 lipca jest ministrem aktywów państwowych, który to resort nadzoruje i zarządza największymi polskimi firmami z udziałem skarbu państwa. Balczun urodził się w Elblągu w 1970 roku. Jest absolwentem politologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, skończył także studia MBA. Zaczynał jako marketingowiec pracując m.in. w PKO BP czy Inteligo. Jego kariera nabrała rozpędu po udanej restrukturyzacji PKP Cargo w latach 2008-2013. Później pracował jako szef Kolei Ukraińskich. W ostatnim czasie zarządzał Agencją Rozwoju Przemysłu. Prywatnie wielki fan muzyki rockowej i gitarzysta zespołu Chemia, z którą wydał kilka płyt i zagrał setki koncertów.

RYŚ JACEK GAWŁOWSKI



Gdzie ta ŻELAZNA NOWACKA

W sprawie katechezy Nowacka pokazała swoją nieustępliwość.
Przetrwiała nie tylko prawicowe inby w internecie, ale też groźby Kościoła, konserwatywnych koalicjantów, a nawet wyroki TK. Szkoda, że na katechezie ta nieugiętość się skończyła.

Karolina Słowik

S trzela jak kulą w plot”, „nie zna się”, a także – z innej bańki: „bo chce deprawować dzieci” – los Barbary Nowackiej, ministry edukacji, wydawał się przesadzony, przynajmniej sądząc po wspomnianych komentarzach części środowiska oświatowego.

Zresztą, sama Nowacka też myślała, że już na nią czas. Gdy wszyscy oczekiwali na werdykt premiera Donalda Tuska w sprawie rekonstrukcji rządu, po MEN-owskich korytarzach krążyły plotki o tym, jak szefowa resortu szuka pracy dla swoich najbliższych współpracowników.

Ale ostatecznie ministra się obroniła. Żadni krwi koledzy partyjni musieli zadowolić się głową ministra sportu Sławomira Nitrasa – za

nieudaną kampanię Rafała Trzaskowskiego. Choć jego sztabowa koleżanka Nowacka (z Nitrasem pracowała też zresztą nad nową, lżejszą i bardziej praktyczną podstawą programową z wuefu) miała bronić go do ostatnich chwil. Już po jego dymisji komentowała, że „umiemy poświęcić najlepszych”.

Nowy rok szkolny zaczniemy zatem z dotychczasową szefową resortu. A do jakiej szkoły wrócą uczniowie? Przewrót kopernikański nam na razie nie grozi. Zmiany od września można wymienić na jednym wydechu:

- jedna katecheza na pierwszej lub ostatniej godzinie,
- nieobowiązkowa edukacja zdrowotna zamiast wychowania do życia w rodzinie,
- edukacja obywatelska wypiera Historię i Teraźniejszość,
- wuef w nowej odsłonie,
- brak „godzin czarnkowych”,

- asystenci międzykulturowi dla ukraińskich dzieci.

Być może wrócą prace domowe w podstawówkach, ale to jeszcze niepewne. A jeśli ktoś (łącznie z nowym prezydentem zatroskanym o „polskie lektury”) przez moment miał chwilę zawahania: lektury w tym roku szkolnym zostają po staremu. Przypomnijmy: pomysł był taki, by w klasach IV-VI szkoły podstawowej w ogóle nie było listy lektur z dużymi pozycjami książkowymi, a tylko kręgi tematyczne: dom, rodzina, przyjaźń, emocje, relacje rówieśnicze, relacje człowieka i natury, różnorodność. W ciągu roku uczniowie mieliby przeczytać co najmniej cztery książki, wybrane razem z nauczycielami.

MEN to nie frukty

Nowacka została, nie tylko dlatego, że udało jej się dopiąć kilka spraw (ewidentnie najważniejsza w tym wachlarzu była dla niej sprawa lekcji religii) i nie tylko dlatego, że ma do zrealizowania refor-

mę podstaw programowych od 2026 roku (to tu wjeżdżają m.in. zmiany w lekturach), ale też dlatego, że edukacja to nie są polityczne frukty.

Żaden z koalicjantów nie palił się na ten resort. Gdy podczas oczekiwań na wyniki rekonstrukcji wypytywaliśmy o nazwiska, okazywało się dość szybko, że żadnej gieldy tu nie ma. Bo co można ugrać? Strajk nauczycieli 1 września? Tłumaczenie się przed nimi, że po 30-procentowej podwyżce w styczniu 2024 roku teraz mogą liczyć na popłuczyny, bo minister finansów Andrzej Domański nie zgodził się na więcej niż 5 proc. w tym roku i 3 proc. w następnym?

Zresztą, to niejedyny niewygodny w edukacji temat. Tu też można wziąć głęboki wdech i zacząć wymieniać:

kryzys kadrowy – wciąż brakuje nauczycieli: średnia wieku to 47 lat, młodych w zawodzie nie ma, ci, którzy zostali w szkole, biorą nadgodziny, doszkalają się z kolejnych przedmiotów, żeby się spięło;

kryzys demograficzny – przedszkola już świecą pustkami, prognozy urodzeń są dramatyczne;

przepelnione klasy w starszych rocznikach (szczególnie w dużych miastach).

A nad wszystkim wisi kryzys zdrowia psychicznego: i dzieci, i nauczycieli.

Żeby rozwiązać tu cokolwiek, potrzebne są prawdziwe pieniądze, których w edukacji nie ma i nigdy nie było. Trzeba woli politycznej, by się pojawiły. I to silnej. A ta skierowana jest teraz na inne obszary jak: bezpieczeństwo, zbrojenia, wojna. Zrozumiałe. Nawet więc po biciu się Donalda Tuska w piersi na zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego nie ma nadziei, że nagle oświata dostanie solidny zastrzyk finansowy.

Krótkie ręce ministrowi

Ale przeżyjmy to jeszcze raz, bo bardzo miło się tego słuchało: – Być może zaskoczę państwa, ale muszę zacząć spotkanie od słowa „przepraszam”. Reprezentuję tutaj państwo polskie, które przez wiele ostatnich lat potraktowało was, nauczycieli i nauczycielki, ludzi jednego z najważniejszych zawodów w naszej ojczyźnie, w sposób niegodny – mówił Tusk podczas zjazdu delegatów ZNP 22 listopada 2024 roku.

I dodał: – Nie przyszedłem tu negocjować ani obiecywać. Chcę zamknąć pewien problem. Zawód nauczyciela nie może być opłacany niżej niż przeciętna płaca, nie może tak być. Zobowiązuję się dzisiaj, że przyspieszymy prace nad projektem obywatelskim, nie będzie już zwłoki. Będziemy negocjować pewne aspekty.

Chodzi o obywatelski projekt ZNP, który wiąże nauczycielskie pensje ze średnią w gospodarce. To ma uwolnić podwyżki w oświacie od politycznej decyzji: jak w gospodarce będzie lepiej, to pensje nauczycieli też mają rosnąć automatycznie. Projekt czeka na uchwalenie od listopada 2021 roku. Wciąż tkwi w podkomisji. Bez stanowczej decyzji premiera Nowacka ma za krótkie ręce, zbyt małą sprawczość, żeby cokolwiek zdziałać, bo to gigantyczne pieniądze.

I kto by chciał takie ministerstwo? Nikomu z polityków nie oplaca się świecenie oczami za brak prawdziwych zmian i tłumaczenie się z ruchów prawie bezkosztowych, jak przepisywanie podstaw programowych.

Nie chodzi o to, że podstawy programowe, które powstają w Instytucie Badań Edukacyjnych, są dobre lub złe. Wiele pomysłów – jak te z lekturami czy edukacją zdrowotną – jest innowacyjnych i odważnych. Rzecz w tym, że bez poparcia nauczycieli, bez ich gotowości do zmiany, do pracy w nowym duchu, nic się nie wydarzy. Nawet jeśli podstawa programowa będzie najlepsza. A nauczyciele tej gotowości nie będą mieli – umordowani po Annie Zalewskiej i likwidacji gimnazjów, po strajku w 2019, po Prze-



Gdy już największa nawałnica przeszła, szefowa MEN tłumaczyła, że zmian w lekturach w 2025 roku nie będzie. W 2026 najpewniej tak, ale jakie? To nie jest przesądzone

mysławie Czarnku – jeśli będą wciąż dostawać na konto po 3-4 tys. zł. Ale tu wracamy do ściany w Ministerstwie Finansów.

A jak 10-procentowej podwyżki nie ma, to widzimy się pod gmachem MEN 1 września na strajku ZNP. „Nie musimy mieć wiecznych przyjaciół” – mówił prezes Sławomir Broniarz, który nieoficjalnie dosyć czule wypowiada się o szefowej MEN. Ale cóż, każdy ma interesy.

Przejdźmy jednak do sukcesów.

Gra na ostro o religię

Oczkiem w głowie Nowackiej od samego początku była idea rozdziału Kościoła od państwa. Ministra chciała być tu konsekwentna, żelazna, bezkompromisowa. Tę zmianę rozumiała, czuła ją i jej chciała. Szła więc jak taran. I dopięła swego.

– Oni tylko o tym mówili, a my to robimy – mówiła z dumą dziennikarzom na jednym ze śniadań prasowych, odnosząc się do niektórych swoich poprzedników.

Już od roku działa pierwsza część pomysłu: niewliczanie ocen z religii i etyki do średniej i łączenia grup w klasach 1-3, 4-6 i 7-8 oraz w szkołach średnich. Teraz czas na część drugą: od 1 września MEN redukuje lekcje religii w szkołach z dwóch do jednej tygodniowo, a dyrektorzy mają planować te zajęcia na pierwszej lub ostatniej godzinie.

Ile było o to awantury: prawica się burzyła, Kościół groził, protestował wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL. – Wykorzystamy wszystkie możliwości prawne w obronie praw rodziców i katechetów – zapowiadał Episkopat. Zaskarżył decyzje MEN do Trybunału Konstytucyjnego (jeszcze wtedy Julii Przyłębskiej) i zapowiedział, że zwróci się też do Strasburga. Tam młyny miały wolniej, ale TK już zdążył uznać za niekonstytucyjne i niewliczanie ocen z religii do średniej,

i łączenie grup, i redukcję wymiaru godzin z tego przedmiotu.

W szkołach w czerwcu panowało nie-małe zamieszanie – drukować te oceny na świadectwach czy nie drukować? Ale MEN podtrzymuje swoje decyzje. A rząd orzeczeń TK nie uznaje i nie publikuje.

Gdy PSL sprzeciwiał się tym rozporządzeniom jeszcze na etapie konsultacji międzyresortowych i ostentacyjnie odmawiał w nich udziału z pozycji Ministerstwa Obrony Narodowej, Nowacka żartowała do dziennikarzy, że ktoś myli MON z MEN. Przyznawała w mediach, że to kość niezgody między koalicjantami, ale wciąż była nieugięta: – Były prośby, żebyśmy poczekali z działaniami na spokojniejszy moment. Ten spokojniejszy moment nastał – mówiła Konradowi Piaseckiemu w TVN24.

Z Episkopatem obeszła się ostrzej: – Kościół się przyzwyczaił, że wszystko ma. Że politycy są na rozkaz. Że jeżeli chcą dostać dotacje, subwencje, granty: wszystko jest dla nich.

Proponowała: jak Kościół chce drugiej godziny, to niech ją sobie zrobi za własne pieniądze, nie państwowe. W salkach albo w szkołach, jak się z nimi dogadają. – Jeżeli ktoś ma większe potrzeby, to naprawdę Kościoły mają przez tysiąc lat wyrobione możliwości integrowania, mają zasoby, mają potencjał i nie rozumiem strachu części Episkopatu, że im wierni odpłyną, jak będą mieli jedną godzinę religii w szkołach – stwierdziła.

Nowacka: Zapraszam do edukacji zdrowotnej

Nawet protestujący katecheci nie powstrzymali ministrowi. Na wieść o tym, że połowa z nich, od 8 do 12 tysięcy, może stracić pracę, Nowacka proponowała im uczenie edukacji zdrowotnej. Trochę przewrotne, bo biorąc pod uwa-

gę cały dział dotyczący zdrowia seksualnego, z którym Kościół się nie zgadza, w uszach katechetów brzmi to jak ponury żart.

– Rozumiem, że protestują, bo w tej chwili Kościół zyskuje na tym, że zatrudnia katechetów i przede wszystkim księży, i nie czuje się zobowiązany dawać im takich świadczeń, jakie powinien – komentowała ministra w TVN24. – I mam świadomość, że uderzamy w interes pewnej grupy, która w dodatku przez ostatnich osiem lat przyzwyczaiła się, że ma wszystko – dodała.

To dolewanie oliwy do ognia, podsycanie sporu ideologicznego wykorzystywała oczywiście prawica. Ówczesny kandydat na prezydenta, a dziś już prezydent Karol Nawrocki grzał się w tych płomieniach. Mówił o „ideologicznym szale”, który chce „odciąć nas od korzeni”, obiecywał walczyć o tę sprawę. Jeszcze niczego nie wywalczył, ale spokojnie: w nowym sejmowym rozdaniu, już w 2027 roku, jeśli PiS dojdzie do władzy, nowy szef MEN kwestie religii w szkole zmieni jednym rozporządzeniem.

A co na to oświata? Nauczyciele i dyrektorzy machali rękami, że burza w szklance wody. Bo kto nie chce, to przecież nie chodzi. Tylko problem będzie z układaniem planu lekcji.

Trzeba jednak przyznać, że determinacja Nowackiej była godna podziwu. Ale od tamtej pory tej determinacji u ministrowi nie widać.

Deprawacja i seksualizacja

Dziennikarze na początku chwalili ministrowi za przebiegłość. Oto wprowadza edukację seksualną z prawdziwego zdarzenia (zamiast niesławnego WDŻ) pod płaszczykiem dużego holistycznego przedmiotu: zdrowie seksualne to tylko jedna z dziesięciu części. Reszta jest o zdrowiu fizycznym, psychicznym, uzależnieniach, odżywianiu, relacjach, dorastaniu. Słowem: wszystkim, co ważne dla młodych. Może prawica się nie zorientuje tak szybko.

Podstawę programową do edukacji zdrowotnej pisał uznany seksuolog prof. Zbigniew Izdebski. I szybko się okazało, że to żaden podstęp Nowackiej, tylko idea, o której urzędziwistnieniu profesor marzył całe zawodowe życie.

– Od wielu lat byłem i jestem orędownikiem obowiązkowej edukacji seksualnej. Mówiliśmy o tym razem z prof. Andrzejem Jaczewskim, prof. Barbarą Woynarowską – że jest to potrzebne w szerszym kontekście zrozumienia siebie i swojego funkcjonowania – mówił w wywiadzie dla „Wyborczej”.

Prawica oczywiście szybko zorientowała się, że „Nowacka chce deprawować dzieci”, i już na etapie pisania podstaw programowych do tego przedmiotu prof. Izdebski dostawał pogroźki. – Ja codziennie dostaję maile z apelami o moje nawrócenie, wiadomości, że różne stowarzyszenia się za mnie modlą. Moja mama zawsze powtarzała, że modlitwy nigdy nie za dużo – mówił seksuolog.

I przekonywał: lepiej, żeby szkoła w sposób właściwy i dostosowany do rozwoju dziecka wprowadzała tematy zdrowia seksualnego, niż żeby dziecko dowiadywało się o tym na własną rękę ze stron pornograficznych. – Dzieci się dowiedzą. Nie bądźmy naiwni. Dowiedzą się, niestety, z różnych niepożądanych źródeł. Jeśli szkoła nie da dzieciom odpowiedzi na te pytania w sposób wyważony i właściwy, jeżeli rodzina na to nie odpowie, to przecież jest grupa rówieśnicza. No a podstawowym źródłem informacji o seksualności człowieka jest internet – podkreślał.

Z końcowego efektu był zadowolony: oto od września wejdzie przedmiot jego marzeń, będzie obowiązkowy od klasy IV szkół podstawowych. Początkowo Nowacka walczyła. – Dla rządu Donalda Tuska kwestie młodych ludzi i zdrowia są absolutnym priorytetem. Młodzi potrzebują rzetelnej wiedzy – zapowiadała.

Ale im głębiej w las, im dłużej trwała kampania prezydencka Rafała Trzaskowskiego, tym bardziej stawało się jasne, że priorytety być może trzeba będzie zmienić. Dla dobra kampanii.

MON czy MEN?

Pierwszy cios zadał szef ludowców, kwestionując obowiązkowość nowego przedmiotu. – Będzie to decyzja rodziców. Myślę, że będzie pozbawiony jakiegokolwiek ideologii, prawicowej czy lewicowej – stwierdził na konferencji prasowej wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz.

Żart o tym, że „ktoś znów pomylił MON z MEN”, wylądował tym razem u Nowackiej na X. Ministra jeszcze przez parę dni się trzymała, ale potem przyznała, że los przedmiotu jest niepewny. Jak o nieobowiązkowości edukacji zdrowotnej wypowiedział się Tusk, stało się jasne, że to game over.

Nowackiej nie pozostało nic innego, jak zapewnienia, że MEN przyjrzy się wdrażaniu nowego przedmiotu i być może, po pierwszym pilotażu, w kolejnych latach edukacja zdrowotna będzie obowiązkowa. A przez ten czas MEN będzie namawiał, informował i promował. A wiadomo jak to jest z przedmiotem nieobowiązkowym przy rozdętej siatce szkolnych godzin.

I tak oto panowie Tusk, Trzaskowski i Kosiniak-Kamysz odebrali publicznie sprawczość Nowackiej po tej niezwykle szarży w sprawie katechezy.

A premier mógł tu ustąpić. Po tym gdy szefowa MEN wprowadziła zakaz prac domowych wbrew opiniom ekspertów i środowiska oświatowego. Obietnica pała jednak na wiecu wyborczym Tuska, gdzie młody Maciek z Włocławka wyzalił się przyszłemu wtedy jeszcze premierowi.

Teraz Nowacka stara się jednak wyjść z tej sytuacji: zleciła ewaluację i na prze-

Oczkiem w głowie Barbary Nowackiej od początku była idea rozdziału Kościoła od państwa. Tę zmianę czuła i jej chciała. Szła więc jak taran. I dopięła swego

łomie września/października podejmie decyzję, co z tym gorącym kartoflem zrobić. Nauczyciele trzymają kciuki, żeby starczyło ministrze determinacji.

Gdzie ta nieustępliwość?

O jej brak właśnie poszło Joannie Musze z Polski 2050, która w czerwcu złożyła dymisję z funkcji wiceministry edukacji. Była wzburzona po tym, gdy po raz kolejny usłyszała, że jej program jest blokowany.

– Podczas dzisiejszego zebrania grupy roboczej ds. integracji edukacyjnej dzieci będących obywatelami Ukrainy przy MEN ministra Joanna Mucha oświadczyła, że program „Szkoła dla wszystkich”, na który Komisja Europejska przekazała pół miliarda złotych, nie jest realizowany. Miała to być decyzja rządu. I ministra Mucha w związku z tym poda się dzisiaj do dymisji – relacjonowała „Wyborczej” Myroslawa Keryk, prezeska Ukraińskiego Domu.

Chodziło o pieniądze m.in. na asystentów międzykulturowych dla ukraińskich dzieci w polskich szkołach. O warsztaty

i wsparcie dla pozostałych uczniów i nauczycieli. To pieniądze, na które szkoły i samorządy czekały już długo.

Ze źródeł rządowych słyszeliśmy, że projekt wcześniej nie był rozpatrywany na posiedzeniach rządu z powodu kampanii prezydenckiej i antyukraińskich nastrojów. Ale potem? Organizacje pozarządowe zaczęły nagłaśniać sprawę, a MEN poszedł w zapewnienia, że projekt będzie. Tylko jest do poprawki. Bo – co słyszeliśmy już nieoficjalnie – Joanna Mucha źle go przygotowała.

Po kilku tygodniach rządowy projekt został uchwalony. W treści niewiele się zmieniło. Zmienił się za to tytuł: nie „Szkoła dla wszystkich”, tylko „Przyjazna szkoła”. Opis sugeruje, że skorzystają na nim wszyscy. To jest zgodne z prawdą, ale ewidentnie schowano ukraińskie dzieci.

Zdumiewająca była też reakcja Nowackiej na awanturę o lektury. Po tym gdy na łamach „Wyborczej” eksperci przedstawili założenia swoich pomysłów w sprawie nowego kanonu lektur dla szkół podstawowych, PiS rozpętał w sieci piekło. Czy

jednak kogoś to zdziwiło? Bój o lektury to polska codzienność. Sport narodowy, mówią nauczyciele. Czy Nowacka o tym nie wiedziała? Dochodziły do nas słuchy, że „szefowa jest wściekła”.

Dała to poznać reakcją na X. Napisała, że w kanonie nie zmienia się nic, a propozycje ekspertów to tylko propozycje. Wpis poruszył środowisko. Wypominali Nowackiej, że PiS chociaż w tej materii był szczery i nie powoływał ekspertów, którzy nie zgadzali się z linią partii. A szefowa MEN teraz rzuca swoich specjalistów na pożarcie.

Tym bardziej że propozycje dotyczące kanonu polonistom akurat się podobały. Mówili: „Pojawiła się iskierka, że możemy mieć coś dobrego”. Ale iskierka szybko zgasła: rzecznik rządu również zakomunikował, że żadnych zmian w kanonie nie będzie.

„Nowacka dostała za lektury dwa razy po głowie: raz od PiS-u, drugi – od szkoły” – słyszałam głosy z jej otoczenia. Gdy największa nawałnica przeszła, szefowa MEN tłumaczyła w TVN24, że zmian w lekturach nie będzie w 2025 roku. W 2026 – prawdopodobnie tak, ale jakie, to nie jest jeszcze przesądzone. To raczej oczywiste, że od propozycji ekspertów do rozporządzenia MEN prowadzi droga przez konsultacje społeczne.

Skąd jednak ta zachowawczość przy zmianach, które akurat szkołę obchodzą i za którymi szkoła stoi murem? Gdzie ta dawna nieugiętość? Może to jeszcze szok po rekonstrukcji rządu. A może lektury, asystenci międzykulturowi, edukacja zdrowotna to rzeczy, których Nowacka nie czuje tak mocno, jak rozdział Kościoła od państwa? Ale przyjmując, że została w MEN, żeby dokończyć reformę, przydałoby się, żeby trzymała gardę i wprowadzała ją z taką samą odwagą jak zmiany dotyczące religii. ●

OŚWIENIENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34392641



KONFERENCJA
„Polska na dwóch kółkach”
9 września 2025 godz. 9.30
Warszawa | Varso 46 w wieżowcu Varso Tower,
ul. Chmielna 69, wejście od al. Jana Pawła II



Gość specjalny:
Chris Bruntlett, ekspert
Holenderskiej Ambasady
Rowerowej, autor książki
„Rowerowe miasto”

Więcej informacji:

Wyborcza.pl/konferencjarowery

REKLAMA

PATRONAT



SPONSOR STRATEGICZNY



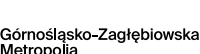
PARTNER GŁÓWNY



SPONSOR REGIONALNY



PARTNERZY





Czy z chłopakami coś jest nie tak

WSZYSTKIE KOLEŻANKI WYJECHAŁY

W młodości pilem z nimi Harnasie,
dyskutując o polityce z YouTube w tle.
Wiem, kim są mężczyźni głosujący
na Mentzena i Brauna.

Kamil Fejfer

• Na zdjęciu: Grudzień 2024, kandydat Konfederacji
na prezydenta RP Sławomir Mentzen odwiedza Garwolin

Rozmowy o polityce były przewidywalne: państwo nas okrada z podatków, urzędaszy niewiele robią, a rząd jest zbyt duży. Niektórzy dobrzy znajomi z tamtych czasów, z którymi nie utrzymuję już kontaktu (czego czasem bardzo żałuję), prawdopodobnie dzisiaj głosują na Mentzena albo i na Brauna.

Moich znajomków łączyły: średniej wielkości miasto, subkultura normalnego chłopackiego spędzania czasu i nieufność wobec mediów głównego nurtu.

Jeżeli chcielibyśmy ułożyć mapę Polski z polaroidów portretujących młodych dorosłych, to w mniejszych miejscowościach znacznie częściej fotografowalibyśmy niewiele zarabiających mężczyzn o konserwatywnych poglądach. W wielkich miastach częściej robilibyśmy zdjęcia prącym do przodu, nieźle zarabiającym kobietom o progresywnym nastawieniu.

W dużej mierze to właśnie dzięki tym pierwszym Karol Nawrocki został prezydentem. Dzięki mężczyznom, którzy coraz bardziej oddalają się od kobiet – politycznie, edukacyjnie i geograficznie.

Zanim odmalujemy portret młodego, konserwatywnego polskiego mężczyzny, przyjrzyjmy się temu, co wydarzyło się przy urnach podczas wyborów prezydenckich.

Pierwszą turę wygrał Rafał Trzaskowski – ponad 31 proc. poparcia (6,1 mln głosów). Drugie miejsce: Karol Nawrocki – 29 proc. (5,8 mln głosów). Dalej: Sławomir Mentzen – niemal 15 proc. i 2,9 mln głosów; Grzegorz Braun – 6,3 proc. 1,2 mln głosów.

A więc trzech prawicowych kandydatów cieszyło się poparciem nieco ponad połowy społeczeństwa.

1 RP

Kiedy jeżdżę po kraju, staram się zbaczać z autostrad, żeby obserwować jak najwięcej tzw. „prawdziwej Polski”. Co wcale nie jest kategorią wyższościową czy na wyrost – w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców żyje zaledwie 13 proc. ludności. „Prawdziwa Polska” jest poza Warszawą, Krakowem, Wrocławiem czy Gdańskiem, choć to im w mediach poświęca się większość uwagi.

Od lat podczas kampanii wyborczych na płotach mniejszych miejscowości widać głównie kandydatów partii prawicowych. Ostatnio były to dziesiątki banerów Sławomira Mentzena i Karola Nawrockiego.

To przejaw trendu nie tylko politycznego, ale także socjologicznego – prowincja jest nie tylko bardziej prawicowa niż większe miasta, ale też bardziej „męska”.

Pamiętam dorastanie w średniej wielkości mieście w północno-wschodniej Polsce i piwka wypite na domówkach z przyjaciółmi i przyjaciółmi przyjaciół. Nasze drogi w większości się rozeszły, ale pamiętam ich (nasze?) kształtujące się wtedy poglądy; pamiętam filmiki z żółtymi napisami na YouTube [filmy o różnych teoriach spiskowych np. o UFO czy płaskiej Ziemi]

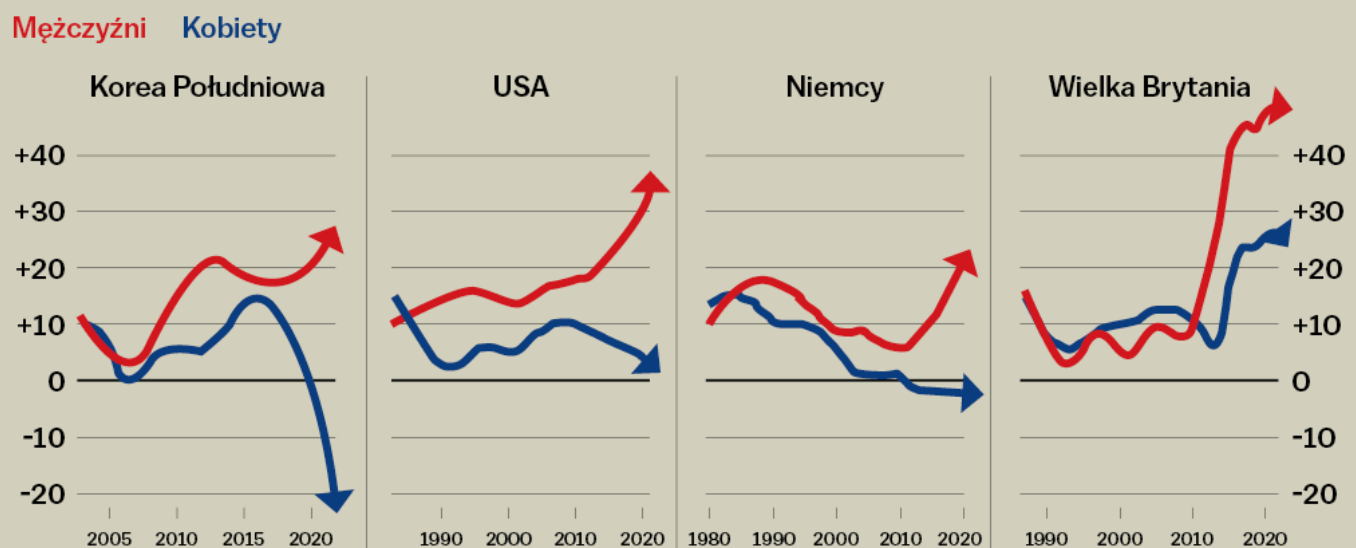
Niektórzy z tych dobrych znajomych polecili na Wyspy pracować na zmywaku albo jako babysitterki, inni próbowali sił w większych miastach. Część wróciła. Niektórzy nieźle ustawieni, inni przytłoczeni wielkim światem. Ale wielu nigdy na wyjazd się nie zdecydowało. W większości to byli mężczyźni. Ci, z którymi pilem harnasie pod filmy z żółtymi napisami.



W Polsce jest 659 gmin – 26,6 proc. wszystkich gmin w kraju – w których ponad połowa mężczyzn w wieku 25-34 lata nie założyło rodziny i mieszka z rodzicami – wynika z danych CBOS

Luka Ideologiczna między młodymi mężczyznami a kobietami w wybranych krajach

Ideologia polityczna osób w wieku 18–29 lat według płci. Wartości dodatnie – % liberałów, wartości ujemne – % konserwatystów



Źródła: Daniel Cox, Survey Center on American Life; Gallup Poll Social Series; analiza FT na podstawie General Social Surveys of Korea, Germany & US oraz British Election Study. Dane z USA dotyczą deklarowanej ideologii respondentów. W pozostałych krajach przedstawiono poparcie dla partii liberalnych i konserwatywnych. Wszystkie dane zostały skorygowane o trendy czasowe w całej populacji.

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA/WYBORCZA.PL

Kiedy popatrzymy na elektoraty tych polityków, to okaże się, że wśród wyborców Mentzena mężczyźni stanowili 65 proc., czyli 1,9 mln osób – mniej więcej tyle, ile ludzi żyje w Warszawie.

Wśród popierających Brauna 57 proc. to mężczyźni, ok. 680 tys. – tylu mieszkańców liczy sobie Wrocław.

Z drugiej strony lewicowych wyborców też charakteryzuje genderowy przechył. Elektorat Adriana Zandberga to w 60 proc. kobiety, a Magdaleny Bieja – w 72 proc.

W II turze: 87 proc. wborców Mentzena i niemal w całości wyborcy Brauna – 93 proc. – poparli Karola Nawrockiego.

Polityzacja płci młodych generacji nie jest tylko polską specjalnością. „Panowie na prawo, panie na lewo” – ten bon mot często pojawia się w analizach postaw młodszych i zetek. Lewicowy przechył kobiet i prawicowy zwrot mężczyzn wychwycił choćby dziennikarz „The Financial Times” John Butn-Murdoch: w Korei Południowej, Stanach Zjednoczonych, w Niemczech i Wielkiej Brytanii.

W Polsce rozjeżdżającym się poglądom młodych wnikliwie przyjrzał się CBOS. Otóż jeszcze w 2015 roku więcej mężczyzn niż kobiet w wieku 18-24 lata deklarowało lewicowe poglądy (10 proc. do 9).

Ale już wtedy znacznie więcej mężczyzn miało poglądy prawicowe (40 do 21 proc.), prawdopodobnie w wyniku popularności wśród chłopaków „męskiego” Marszu Niepodległości.

Od połowy ubiegłej dekady młode kobiety powoli odpływały na lewo. W 2016 roku 16 proc. deklarowało takie sympatie, w 2019 już 19 proc.

Eksplodacja nastąpiła rok później. W 2020 roku 40 proc. młodych kobiet deklarowało się jako „prospołeczne”.

Przyczyną tak gwałtownego skrótu było oczywiście zaostrzenie prawa antyaborcyjnego. Wtedy też wśród mężczyzn było odbicie w lewą stronę – lecz odsetek lewicujących mężczyzn wzrósł tylko do 22 proc..

Jaka jest geneza tych procesów?

Globalnie początki tego trendu to lata 2010-12. Z czym mieliśmy wtedy do czynienia? Tak, dobrze zgadujecie – z popularizacją smartfonów oraz serwisów społecznościowych. Stworzony przez nie ekosystem przepychał obie grupy do odrębnych „komór pogłosowych”.

Wzmocnienie trendu nastąpiło około roku 2017 – w momencie wybuchu akcji #MeToo. Trudno dzisiaj o większy banal niż ten, że social media polaryzują opinię publiczną. Ale to niestety prawda.

Wystarczy spojrzeć, skąd młodzi czerpią informacje o polityce. Takie dane zawiera raport „Rozczarowani państwem, zadowoleni z życia” Fundacji Batorego.

Na pierwszych miejscach znalazły się: Facebook (69 proc. wskazań); YouTube (67 proc.); Instagram (63 proc.); radio (51 proc.); i TikTok (45 proc.).

Serwisy społecznościowe stały się głównym motorem ruchu portali informacyjnych. Te więc muszą dostosowywać swoje treści do warunków dyktowanych przez społecznościówki. Wydawcy doskonale wiedzą, że klikają się tytuły polaryzujące oraz negatywne. Trendy generowane w serwisach społecznościowych zarażają więc media bardziej tradycyjne – portale internetowe. To nie pozostaje bez wpły-

wu na telewizję i radio, które też mają swoje strony internetowe, a te swoje konta na socialach... Infrastruktura Facebooka, Instagrama i TikToka tak silnie wtopiła się w tkankę społeczną, że oddziałuje na wszystko inne.

W takich warunkach media głównego nurtu częściej kierują przekaz do kobiet z wielkich miast i tworzą narracje, jakich one oczekują. Politycy szukają elektoratu w łatwo dostępnych łowiskach – lewica w grupie kobiet, prawica w grupie mężczyzn. A influencerzy eksploatują znane złoza uwagi – i koło się zamyka.

Niedawno na moim instagramowym feedzie pojawiła się rolka Reutersa, która próbowała wyjaśnić, dlaczego mężczyźni skracają w prawo. Diagnozy mówiły o prekarności rynku pracy i niskiej dostępno-

ści mieszkań. Tylko że te same problemy dotyczą również kobiet skracających przecież w lewo. Reuters nie epatuje grubo ciosanymi tezami, niemniej trend „prawicowienia” mężczyzn potraktowano na podobieństwo procesu chorobowego. Równie dobrze agencja mogła się zastanawiać, dlaczego to kobiety odpływają na lewo, jednak główny nurt jest obecnie bardziej wrażliwy na „narracyjne potrzeby” pań.

Jednocześnie młodzi mężczyźni, którzy choćby delikatnie odbili w prawo, widząc takie opowieści, swoją uwagę odsuną jeszcze dalej od głównego nurtu i skierują ją w miejsca, gdzie ich poglądy i postawy nie będą traktowane jako rodzaj cywilizacyjnego wypadku. A królicza nora zaszerwuje im kontent o przeciwnym znaku – że to „lewaczenie kobiet” jest cywilizacyjną katastrofą.

Na brak uznania przynajmniej części męskiej perspektywy zwraca uwagę w „Krytyce Politycznej” Patrycja Wiecekiewicz, współautorka książki „Przegryw” opowiadającej o skrajnych zakamarkach manosfery.

„Lewica odmawiała dotąd uznania, że są obszary, w których to mężczyźni mogą doświadczać dyskryminacji związanej z płcią. Nie potrafiła dotrzeć do mężczyzn nawet z postulatami, które są dla nich szczególnie korzystne. Być może dlatego, że nie zwracała się do nich wprost, przekaz skupiając na kobietach i mniejszościach” – pisała w tekście „Prawa chłopców i mężczyzn będą jednym z priorytetów polskiej prezydentury w UE”.

Zacytujmy jeszcze kilka zdań z jej odważnego artykułu. „Progresywne media i politycy od lat zżymają się, że o ile poglą-

65

• PROC.
wyborców Mentzena to mężczyźni.
1,9 miliona osób, mniej więcej tyle,
ile ludzi mieszka w Warszawie

dy młodych Polek skręcają coraz bardziej w lewo, o tyle ich rówieśnicy obierają przeciwny kurs. Dyskusja często sprowadza się do zrzucania całej odpowiedzialności za polityczne wybory mężczyzn na nich samych (tęsknią za utraconymi przywilejami albo odbija im od tych, które wciąż mają, są gnuśni, leniwi, ignoranczy, mniej od kobiet empatyczni i mniej otwarci na zmiany, bardziej podatni na populizmy), a zbyt rzadko zahacza o możliwe źródła tego prawicowego zwrotu. „Mężczyźni powinni się zamknąć, docenić, jak łatwe i przyjemne życie zapewnia im ich pleć, i wykorzystać to, żeby wspierać kobiety i mniejszości”.

Tylko że dyskurs: „Siedź cicho, słuchaj i bądź grzecznym sojusznikiem”, jest w stanie utrzymać na pokładzie jedynie najbardziej oddanych sprawie.

Przyjrzyjmy się geografii tego rozjazdu.

Otóż o ile w 2020 roku 25 proc. osób w wieku 18-24 lata mieszkających na wsi deklarowało lewicowe poglądy, o tyle w aglomeracjach powyżej 500 tys. – aż 43 proc.. A w przypadku kobiet z miast ponad 100 tys. – aż 54 proc.

Zjawisko uprowincjonalnienia prawicy i uwielkomiejskowania lewicy świetnie było widać przy urnach podczas pierwszej tury wyborów prezydenckich.

Weźmy więc pod lupę z jednej strony poparcie Magdaleny Biejat, a z drugiej Sławomira Mentzena. Dla klarowności wywodu ograniczmy się tylko do województwa mazowieckiego.

Według danych PKW poparcie kandydatki Nowej Lewicy rośnie wraz ze zbliżaniem się do stolicy. W Warszawie jest tym wyższe, im bliżej jesteście prestiżowych centralnych dzielnic. To samo zjawisko występuje w przypadku Adriana Zandberga.

U Mentzena tendencja jest odwrotna – poparcie dla niego rośnie wraz z oddalaniem się od centrum.

Jeszcze jedna interesująca geograficzna ciekawostka. Otóż poparcie dla Mentzena koreluje z... gniazdnictwem.

Według GUS w 2022 roku z rodzicami mieszkało 33 proc. Polaków w wieku 25-34 lata, w sumie ok. 1,7 mln ludzi.

Mapka „intensywności gniazdowania” pokazuje, że nadreprezentacja osób mieszkających z rodzicami występuje na ścianie wschodniej, na Warmii i Mazurach oraz w Polsce północno-zachodniej.

Z wyjątkiem okolic województwa zachodniopomorskiego poparcie dla kandydata Konfederacji nakłada się na mapę polskiego gniazdnictwa.

Nie powinno to dziwić, bo mężczyźni gniazdują częściej niż kobiety – stanowią 63 proc. osób mieszkających z rodzicami.

„W Polsce jest 659 gmin (26,6 proc. gmin w kraju), w których 50 proc. i więcej mężczyzn w wieku 25-34 lata nie założyło rodziny i mieszka z rodzicami.

Natomiast wskaźnik dla kobiet powyżej 50 proc. osiągnęła jedna gmina (Podkowa Leśna w województwie mazowieckim)” – czytamy w opracowaniu CBOS „Pokolenie gniazdowników w Polsce”.

Wraz z wiekiem dysproporcja mężczyzn i kobiet wśród osób pozostających w domach rodzinnych rośnie.

Wśród 25-latków na 100 gniazdowiczek przypada 140 gniazdowników.

Wśród 34-latków to już niemal 200 mężczyzn na 100 kobiet.

Wyjaśnieniem zagadki są aspiracje, a konkretnie – ambicja studiowania.

Kobiety w Polsce częściej mogą pochwalić się dyplomem wyższej uczelni niż mężczyźni. Tu mamy do czynienia już nie z pęknięciem, ale z wyrwą. W grupie 25-34 lata wykształcenie wyższe ma 55 proc. pań i zaledwie 37 proc. panów.

Dlaczego? Nie ma jednej odpowiedzi. Częścią wyjaśnienia jest fakt, że mężczyźni po skończeniu szkoły średniej mogą szybciej

Im bliżej prestiżowych centralnych dzielnic Warszawy, tym wyższe poparcie dla Magdaleny Biejat i Adriana Zandberga

ciej znaleźć lepiej płatną pracę. W długim horyzoncie ma to jednak swój koszt. Wyższe wykształcenie opóźnia wstąpienie na rynek pracy, jednak inwestycja przynosi zwrot w przyszłości. Osoby po studiach dostają więcej podwyżek i mają większe szanse na rozwój zawodowy. Szybko po uzyskaniu dyplomu wyprzedzają ekonomicznie osoby z gorszym wykształceniem pozostające na rynku pracy już od jakiegoś czasu.

Powodem lepszego wykształcenia kobiet może być struktura boomu edukacyjnego, który dokonał się w Polsce od lat 90.

Otóż bardzo duża część kierunków, które się pojawiły na przestrzeni ostatnich dekad, były kierunkami humanistycznymi, społecznymi, psychologicznymi. A mężczyźni rzadziej się do nich garną.

Wspomina się też o presji otoczenia. Od młodych mężczyzn, zwłaszcza z mniejszych miejscowości i spoza klasy średniej, rodziny i znajomi wymagają szybszego usamodzielnienia się i pójścia na swoje.

Jeszcze inna hipoteza – przytaczana m.in. przez lewicującego autora Richarda Reevesa w książce „Chłopcy i mężczyźni. Dlaczego współcześni mężczyźni przeżywają trudności, dlaczego to ważne i co z tym zrobić?” – jest taka, że mężczyźni wolniej dojrzewają. To oznacza, że przepadają na wczesnych etapach selekcji w systemie edukacyjnym.

A niewielki odsetek studiujących mężczyzn zniechęca innych mężczyzn do studiowania. Część chłopaków myśli sobie: „tylu ziomek zostało w domu albo poszło od razu do roboty, to co ja będę się wychylał”.

Refleksem tego genderowego edukacyjnego pęknięcia jest regionalna dysproporcja płci.

„Młodzi mężczyźni dominują liczbowo nad kobietami przede wszystkim w gminach wiejskich oraz w małych miejscowościach. W gminach miejskich przewaga liczbowa mężczyzn w stosunku do kobiet wynosi średnio 6,6 proc., w gminach wiejsko-miejskich średnio 10,4. A w gminach wiejskich osiąga już 12,4 proc.

Z kolei przewaga liczbowa kobiet obserwowana jest w dużych miastach, na obszarach silnie zurbanizowanych, charakteryzujących się wyższymi zarobkami.

12,4

• PROC.

taka jest przewaga liczbowa mężczyzn nad kobietami w gminach wiejskich. W wiejsko-miejskich to 10,4 proc., a w wiejskich – 6,6 proc.

69

• PROC.

młodych czerpie informacje o polityce z Facebooka, 67 proc z YouTube'a, 63 z Instagrama, 51 z radia, 45 z TikToka

W Warszawie przewaga liczbowa młodych kobiet nad młodymi mężczyznami wynosi 13 procent, w Krakowie – 10, a w Gdańsku i Gdyni powyżej 8” – czytamy w opracowaniu Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

„Obserwowana w Warszawie przewaga liczbowa kobiet w wieku 25-34 lata na poziomie 13 proc. oznacza, że w stolicy mieszka 19,6 tys. więcej kobiet niż mężczyzn” – stwierdzają analitycy.

Innymi słowy, kobiety wyjeżdżają do dużych miast się kształcić, tam łapią lepszą pracę i z aglomeracjami wiążą życie. Mężczyźni częściej zostają na prowincji.

Widzę to wracając na Mazury. Kiedy jeżdżę rowerem po okolicznych wsiach i spaceruję nad jeziorami, dysproporcja aż rzuca się w oczy: przy domach, w sklepikach, w obejsiach kręci się znacznie więcej młodych mężczyzn niż młodych kobiet. Dla nich opowieści z głównego nurtu, które mówią o opresji kobiet, zupełnie nie przystają do realiów ich życia. Większość ich koleżanek ze szkoły, sąsiadek i kuzynek wyjechało do Olsztyna, do Białegostoku, do Gdańska, do Warszawy studiować. Tam zakosztowały wielkomiejskiego życia, zniknęły za horyzontem, weszły do innego świata.

Mamy więc triadę oddziałującą na poglądy młodych mężczyzn.

Po pierwsze, szeroko rozumiany ekosystem medialny, którego główny nurt dużych części oferty kieruje do kobiet.

Po drugie, miejsce zamieszkania. Mniejsze miejscowości z nadreprezentacją mężczyzn, są z reguły bardziej konserwatywne.

Po trzecie, różnica w wykształceniu. Osoby gorzej wykształcone zazwyczaj łapią konserwatywny przechył.

Wszystko to widać w przekonaniach na temat świata. Co myślą o nim mężczyźni?

Zacznijmy od sfery wartości. Pytania o nie zadał CBOS w raporcie „Deklarowane wartości i cele życiowe młodych Polaków”. Respondenci i respondenci z pokolenia Z wskazywali, jak istotne są dla nich poszczególne jakości – wśród których znalazły się rodzina, zdrowie, uczciwość, wolność, przyjaźń, szacunek do innych, ekologia, edukacja, patriotyzm, kontakt z naturą, wiara i sława – przypisując każdej wartość od 1 do 7.

Średnie odpowiedzi kobiet były we wszystkich przypadkach – z wyjątkiem patriotyzmu – wyższe niż mężczyzn, a największy rozjazd między płciami ujawnił się w „szacunku innych ludzi”, „równym traktowaniu innych”, „edukacji” i „ekologii”. W dodatku rozjazd światopoglądowy wzrasta u młodych: różnice płciowe w tych obszarach są wyraźniej widoczne wśród zetek niż mileniów.

To jeszcze jedno interesujące opracowanie. Kluczowe zdanie z niedawnego raportu CBOS pt. „Młodzi Polacy o męskości, kobiecości i różnicach między płciami” brzmi: „Ogólnie rzecz biorąc, mężczyźni znacznie częściej bronili tradycyjnych wzorców płciowych – zarówno tych odnoszących się do nich samych, jak i do płci przeciwnej”. Czyli częściej niż kobiety uważali, że „to ważne, żeby mężczyzna umiał się bić”; „lepiej dla związku, kiedy to mężczyzna zarabia więcej niż kobieta”; „mężczyzna nie powinien płakać, okazywać słabości”.

A czego mężczyźni oczekują od kobiet?

Otóż znacznie częściej niż one sądzą, że: „lepiej jest, żeby kobieta nie miała w życiu zbyt wielu partnerów seksualnych”; „kobieta powinna być zawsze miła”; „lepiej, kiedy codziennym przygotowaniem posiłków dla rodziny zajmowała się kobieta”; „w rodzinie dziećmi powinny zajmować się przede wszystkim kobiety” (tu różnica jest największa).

Co prawda CBOS nie pytał o preferowaną liczbę partnerów seksualnych mężczyzn oraz o to, czy „mężczyzna powinien być zawsze miły”, więc nie wiemy, czy i jak duże różnice genderowe wyszłyby tutaj.

Częścią wyjaśnienia większego wśród mężczyzn poparcia dla tradycyjnych modeli płciowych jest fakt, że więcej z nich pozostało w mniejszych miejscowościach. A ich preferencje są odbiciem tego, co widzą dookoła siebie.

Na poziomie anegdotycznym tę diagnozę potwierdza pogawędka z dobrą koleżanką, która zdecydowała się zostać w moim rodzinnym Elku. Zauważyła, że znaczna część mężczyzn w okolicach 40-tki zupełnie nie rozumie zmian w społeczeństwie. Gdy z nimi rozmawia, dowiaduje się, że kobiety „powariowały”, bo oczekują równiejszego podziału obowiązków domowych.

Czy coś da się z tym zrobić? Czy można w jakiś sposób odejść od upiornego trendu polityzacji płci, który szkodzi spójności społecznej? Tak, ale droga to niezwykle długa.

Pierwszą rzeczą jest rozmontowanie platform społecznościowych w dzisiejszym kształcie. Powinniśmy wprowadzić regulacje, które przekształcą ich model biznesowy polegający na behawioralnym uzależnianiu nas od swoich treści z wykorzystaniem lajków i naszej skłonności do podbijania i lepszego zapamiętywania negatywnych treści.

Druga rzecz to postawienie na edukację wyższą mężczyzn. Do tej pory to kobiety były beneficjentkami programów wsparcia i likwidacji barier w studiowaniu choćby na kierunkach ścisłych. I bardzo dobrze, więcej kobiet w pracach technologicznych to mniejsza luka płacowa, większa różnorodność perspektyw i większy zasób talentów. Ale pora na podobne programy dla mężczyzn, które dadzą im szansę na lepszy start w dorosłość, lepsze zarobki w przyszłości i otworzą, mówiąc prosto z mostu, rynek matrymonialny. Rynek, do którego nie mają dostępu, pozostając z ośmioma klasami podstawówkami, najwyżej z maturą, we wsiach i w miasteczkach, z których wyniosły się kobiety.

Trzecia opcja to stworzenie perspektywy rozwoju mniejszych miast. Kosztowna i złożona systemowo, lecz prosta w realizacji, zwłaszcza wobec prób regulacji serwisów społecznościowych, za którymi stoi nie tylko lobbing, ale także cały rządowy Waszyngton. Ale to wyzwanie znacznie przekracza i horyzonty, i wolę polityczną rządzących wszystkich opcji. ●

Wszystko o moim ojcu

Z RYSZARDEM SCHNEPFEM*,
DYPLOMATĄ, HISTORYKIEM,
OD ROKU CHARGÉ D'AFFAIRES
WE WŁOSZECH,
ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Szkalowanie mojego ojca trwa do dziś, aby uderzyć we mnie i w moją żonę. Niestety, ofiarami agresji i hejtu stały się także nasze nastoletnie dzieci.

Co tam we włoskiej polityce?

– Teraz tradycyjne włoskie sierpniowe wakacje, ale już we wrześniu wybory lokalne w sześciu regionach, które mogą wiele namieszać w życiu politycznym kraju. Centrolewicowa opozycja jest dosyć rozbita, ale kto wie, być może w tych wyborach się odbije i będzie w stanie zagrozić centroprawicowej koalicji premier Georgii Meloni.

A Meloni robi wrażenie?

– Pani premier jest bardzo wyrazistą postacią polityczną, niektórzy jej nie znoszą, ale większość ją uwielbia. Jest niekwestionowaną liderką. Spaja niełatwą koalicję, w skład której oprócz jej partii Bracia Włosi wchodzi dwa bardzo odmienne ugrupowania. Forza Italia, której twórcą był niegdyś magnat medialny Silvio Berlusconi, należy do Europejskiej Partii Ludowej i jest prawicową, ale dosyć umiarkowaną partią. Na drugim skrzydle lokuje się skrajnie prawicowa Liga, która wielokrotnie wyrażała, jeśli nie sympatię,

to przynajmniej zrozumienie dla agresywnej polityki Federacji Rosyjskiej.

Jak Meloni nad taką konstelacją panuje?

– Jest politycznym arbitrem i bardzo zgrabnie to rozgrywa. Ma niebawale energiczną osobowość i znakomity polityczny instynkt. Niezwykle wymownie i przekonująco oddziałuje na włoskich wyborców, bo mówi do nich wprost, ich językiem. Niekiedy ją ponosi, ale w tych emocjonalnych wystąpieniach jest coś, czego Włosi oczekują, a co wręcz lubią.

Łączy polityczny temperament z czarem osobistym – jest wyrazista, potrafi wzbudzać emocje, które rządzą współczesną polityką. Potrafi zgrabnie nawiązać do historycznej wielkości Włoch, a jednocześnie pokazać, że skutecznie dba o interes kraju w skomplikowanym świecie. Otacza się gronem doświadczonych i dyskretnych doradców. I co najważniejsze – słucha ich.

Ciekawostka: włoski hymn zaczyna się od słów Fratelli d'Italia, czyli Bracia Włosi, tak jak brzmi nazwa partii Meloni. Można powiedzieć, że każdy Włoch, śpiewając hymn państwowy, zaczyna od wezwania rządzącej partii. Zgrabny zabieg, nieprawdaż?

A co słyszać w relacjach polsko-włoskich?

– Bardzo dużo się dzieje. W ostatnim półroczu mieliśmy serię wizyt wysokiego szczebla. Szef dyplomacji, wicepremier Radosław Sikorski był we Włoszech cztery razy. Premier Donald Tusk raz, w lipcu, na światowej konferencji poświęconej odbudowie

Ukrainy. Spotkał się z premier Meloni, przybliżył nasze stanowiska.

A to nie jest takie oczywiste, bo Fratelli d'Italia i Platforma Obywatelska są w różnych grupach w Parlamencie Europejskim. Partia premier Meloni należy do Europejskiej partii Konserwatystów i Reformatorów (ECR), partia premiera Tuska – do Europejskiej Partii Ludowej. To oznacza, że są różnice spojrzenia na rzeczywistość europejską.

Ale i my, i Włosi borykamy się z podobnymi problemami, jak migracja i ochrona granic. Mamy wiele wspólnych interesów w UE, choćby deregulację rynku. I dlatego nastąpiło rzeczywiste zbliżenie. Choć trzeba jeszcze pracować nad wymiarem gospodarczym współpracy.

Mamy i będziemy mieli wiele zbieżnych interesów na przykład w przemyśle zbrojeniowym czy motoryzacyjnym. Teraz jednak w Rzymie wszyscy skupieni są na amerykańskich cłach nałożonych na UE i ochronie włoskich przedsiębiorstw.

Jak Meloni mimo politycznych różnic dogaduje się z Tuskiem?

– Jej bliskie związki z Prawem i Sprawiedliwością w jakimś stopniu ciąży na relacjach z innymi partnerami. Ale bardzo dobrze znają się z premierem Tuskiem z polityki europejskiej, oboje są doświadczonymi politykami i są pragmatyczni, a to pomaga przezwyciężać różnice.

Głos Polski jest teraz w Europie powszechnie słuchany, premier Meloni musi się z Polską liczyć. Nie była szczęśliwa z ożywienia Trójkąta Weimarskie-

go, bo ta formuła współpracy Polski, Francji i Niemiec marginalizowała Włochy.

To było dla Rzymu nie do przyjęcia, by kraj, uważany za kolebkę UE, a nawet europejskiej cywilizacji i jednocześnie przemysłowa potęgą, był poza gronem decydujących o tym, dokąd Unia pójdzie. Stworzyliśmy więc, i to jest polska inicjatywa, Trójkąt Weimarski Plus (między innymi podczas spotkań w Rzymie), rozszerzając formułę o Włochy oraz Hiszpanię i Wielką Brytanię. To namacalna konsekwencja naszego szerszego myślenia o bezpieczeństwie europejskim.

W Rzymie pracuje pan jako szef polskiej ambasady, a nie jako ambasador. Prezydent Andrzej Duda odmówił nominowania pana na to stanowisko. Czy to utrudnia panu pracę?

– W niewielkim stopniu. Problem pojawia się tam, gdzie w grę wchodzi układanki wynikające z protokołu dyplomatycznego, na przykład, gdy na specjalnej noworocznej audycji dyplomaci składają życzenia prezydentowi. Chargé d'affaires stoją nieco dalej niż grono ambasadorów.

Ale w praktyce, czyli tam, gdzie faktycznie realizuje się politykę zagraniczną, decydującą rolę odgrywa nie oficjalny tytuł, ale moje doświadczenie, o którym moi włoscy partnerzy doskonale wiedzą. Oni czytają życiorysy dyplomatów i wiedzą, że ktoś, kto w ciągu 18 lat był czterokrotnie ambasadorem i wiceministrem, nie znalazł się w Rzymie przypadkowo. Wiedzą też, jaka jest polityczna sytuacja w Polsce.

A nie jest tak, że dla chargé d'affaires pewne drzwi są zamknięte?

– W moich kontaktach z włoskim MSZ czy z innymi głównymi urzędami tego państwa problem zamkniętych drzwi nie występuje. Włosi zdają sobie sprawę z tego, że w systemie gabinetowo-parlamentarnym, jaki panuje w Polsce, to rząd prowadzi politykę, że to premier i minister spraw zagranicznych kształtują kierunek, w którym podąża polska dyplomacja. Wiedzą, że jestem wysłannikiem i premiera, i ministra spraw zagranicznych.

Jako dyplomata radziłem już sobie w trudnych sytuacjach, gdy stawiano mi niezwykle wymagające zadania, zwłaszcza w Waszyngtonie. Dałem radę. Dlatego nawet przy trudnościach, jakie stworzył prezydent, nie podpisując mojej nominacji, relacje polsko-włoskie nie cierpią.

Prezydent Karol Nawrocki jeszcze przed zaprzysiężeniem zapowiedział, że pana nominacji nie podpisze...

– A ja tego nie wyczekuję. Podpisu prezydenta nie spodziewam się, bo mam świadomość, że decydują tu wyłącznie względy polityczne. Cała ta otoczka personalna dotycząca mojej rodziny, to grzebanie w życiorysach to tylko zasłona dymna. Chodzi o to, że moja żona [Dorota Wysocka-Schnepf, obecnie dziennikarka TVP] i ja jesteśmy zaangażowanymi demokratami, czemu dawaliśmy publicznie wyraz w czasach ośmiu lat rządu PiS.

Tak było i jest mimo wielu wrogich aktów i utrudnień w życiu, jakie spotkały nas w tamtych czasach.

O czym pan mówi?

– O nieustannym nękanii mojej rodziny. Dla przykładu: założyłem jednoosobową firmę, zaraz po tym przyszedł do mnie niezapowiedziane kontrolerki z Izby Skarbowej sprawdzić, czy faktycznie prowadzę działalność w swoim mieszkaniu. Kazały pokazać sobie biurko, przy którym pracuję.

A do tego dostawaliśmy dziesiątki anonimów z bluzgami i pogróżkami. Głównie w serwisach społecznościowych. Wulgarnie życzenia i „dobre rady”, bym spakował walizki i wyjechał za granicę. Wiadomo dokąd – bo jestem żydokomuna. Zdarzało mi się, że takie słowa słyszałem na ulicy. Ktoś tę nagonkę podsycił, stała się ona

normalnym elementem naszego życia. Zaczęłem oglądać się za siebie.

Był pan w tej sprawie na policji?

– Na policji też bywałem. Wezwano mnie na komisariat, bo nieprawidłowo zaparkowałem samochód przed własnym domem. W sprawie, która powinna skutkować co najwyżej mandatem, byliśmy kilkakrotnie przez wiele godzin przesłuchiwanie z żoną na komendzie przy ulicy Waliców. Dokładnie w tym samym miejscu jako szesnastoletni uczeń 37. Liceum im. Dąbrowskiego byłem przesłuchiwany w związku z udziałem w proteście studentckim w marcu 1968 roku. Powiedziałem to policjantowi.

I jak zareagował?

– Nie miał pojęcia, o co mi chodzi. Kuriozalny zarzut z tym parkowaniem, ale dla mnie było to bardzo emocjonalne przeżycie. Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał, że znowu znajduję się w tym samym pokoju przesłuchań. Atmosfera ta sama, tylko komputerów nie było. 50 lat wcześniej byłem nieletni, więc wówczas w pokoju była także moja mama. Obiecałem milicjantom poprawę. Słowa jednak nie dotrzymałem.

Co się właściwie wtedy stało?

– Miałem wówczas niespełna 17 lat. Mieszkalem niedaleko uniwersytetu. Protesty studenckie zaczęły się 8 marca 1968 r. Byłem na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego i widziałem aresztowanie Henryka Szlajfera, brałem udział w bijatyce pod Pałacem Kazimierzowskim, wyszedłem z niej z podbitym okiem i bez guzików, ale nikt

Wróciłem do domu pobity. Wykrzyczałem ojcu: „To wasza wina, was, komunistów”

mnie nie aresztował.

Trzy dni później, 11 marca, pod Domem bez Kantów, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Królewskiej, zatrzymał mnie wraz z dwoma kolegami z tej samej kamienicy oddział ZOMO. Zabrali nam legitymacje szkolne. Gdy odchodziliśmy, „dodałem” niewybredny komentarz. I nagle poczułem, że jakaś siła unosi mnie w powietrze. Zomowcy zaciągnęli mnie pod pobliski zakład fryzjerski i spuścili łomot pałami.

Wróciłem do domu pobity. Ojciec wrócił bardzo późno z pracy. Już miał swoje kłopoty, o których nie miałem pojęcia. Doszło między nami do scysji. Wykrzyczałem mu: „To wasza wina, was, komunistów”, i jeszcze kilka mocnych słów. Potem uciekłem z domu, nie było mnie trzy dni.

Wiosną 1980 roku patrol milicyjny wkroczył na mój wykład o partiach politycznych Ameryki Łacińskiej do budynku UW przy ulicy Browarnej. Studentów zrewidowano i spisano, mnie aresztowano i przewieziono na komisariat przy Jezuickiej. Zarzut: propagowanie wrogich treści, a ponieważ w budynku szykowano właśnie lokal wyborczy, dolożono także podejrzenie o próbę zniszczenia obiektu przez podłożenie ładunku wybuchowego.

To oczywiście było kompletną bzdurą, która zaskoczyła nawet dzielnicowego. Wyczułem, że chcą mnie szantażować i zmusić do współpracy. Nie uległem. Może dlatego, że nie miałem jeszcze rodziny i z natury byłem chojrakiem?

W ogóle sprawiałem ojcu ogromne kłopoty nieświadom, że ryzykuję nie tylko własną przyszłość, ale całej rodziny. W '68 tata, przytłoczony narastającą nagonką antysemitką w wojsku, nie potra-

fił nade mną zapanować, byliśmy w głębokim sporze.

System komunistyczny zacząłem kon- testować z przekory, a potem potoczyło się już samo. Nie, nie byłem liderem ani boha- terem. W szeregach opozycji jednym z wielu. Promowałem Latający Uniwersytet, pisałem o sytuacji w Polsce do prasy emigracyjnej, na iberystyce UW zakładałem „Solidarność” i zostałem jej pierwszym przewodniczącym.

Ale wracając do Marca: tylko dlatego, że miałem w miarę dobre oceny, dopuszczono mnie w ogóle do matury. W opinii szkolą napisala, że bywam aspołeczny i się nie angażuję. W tamtym pamiętnym roku te sformułowania były jak wyrok, zamykały drogę na studia.

Pana ojciec pułkownik Maksymilian Schnepf był wtedy szefem studium wojskowego na Uniwersytecie Warszawskim. Nie mógł pomóc?

– Wtedy, gdy trwała nagonka antysemitka, nie był w stanie wiele zrobić, a może też nie chciał. Część znajomych już się pakowała, część z dnia na dzień zerwała kontakty, telefon w naszym mieszkaniu nagle przestał dzwonić.

Tata sam był przerażony tym, co się działo. Wiem, bo to był jeden z udokumentowanych zarzutów, jakie stawiali mu jego przełożeni, że zaraz po wydarzeniach marcowych wystawiał obecność studentom, którzy nie byli na zajęciach, bo poszli na protesty. Gdyby nie to, prawdopodobnie zostaliby relegowani i jako poborowi poszliby do zasadniczej służby wojskowej.

Ludzi, których przed tym losem ura-

tował, jest sporo. To m.in. Andrzej Zakrzewski, dawny minister kultury i minister w kancelarii prezydenta Wałęsy, jego inny współpracownik – prof. Lech Falandysz, sporo artystów i aktorów. Kiedy żyli, utrzymywali z tatą bliskie kontakty i mówili o nim wyłącznie pozytywnie.

Mnie do wojska nie wzięli, bo byłem za młody. Do szkoły poszedłem jako sześciolatek, po maturze nie podlegałem jeszcze pod pobór. Rok później, gdy sprawa trochę przycichła, udało mi się dostać na Wydział Historii UW.

Studium wojskowe na każdej uczelni uznawano za prymitywne pralnie mózgów. Czytałem w jednym z powiązanych z Prawem i Sprawiedliwością tygodników, że pana ojciec był „głupim, komunistycznym trepem”.

– Co oni mogą o nim wiedzieć, skoro go nie znali? Nawet w najgorszych momentach

Ryszard Schnepf

- (ur. 1951), historyk, znawca Ameryki Południowej, dyplomata. Były ambasador RP w Urugwaju, Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych. Podsekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w pierwszym rządzie PiS (2005-2006), wiceminister spraw zagranicznych w rządzie koalicji PO i PSL (2007-2008). Obecnie w randze chargé d'affaires kieruje polską ambasadą w Rzymie. Prezydent Andrzej Duda, jak i jego następcą Karol Nawrocki odmawiają mu ambasadorskiej nominacji.
- Mąż Doroty Wysockiej Schnepf, dziennikarki związanej z TVP, a wcześniej z Gazetą Wyborczą

w opiniach służbowych pojawia się ocena: „oficer wyróżniający się inteligencją” albo „dociekliwy, szukający wyjaśnień”. Studium wojskowe dla oficerów było zesłaniem często za domniemane przewinienia, przeważnie końcem kariery.

Do tego, wbrew upowszechnianym obecnie ocenom, tata był człowiekiem wrażliwym na krzywdę. Znam relacje o tym, jak pomagał biednym studentom, którzy ledwo byli w stanie się utrzymać w Warszawie. Opowiadali mi, jak załatwiał im wojskowe sznele i buty, by mieli w czym chodzić jesienią i zimą. Kazał im tylko guziki z orzelkiem poobcinać, żeby nikt nie robił problemu, że chodzą w wojskowym stroju.

W jego teczce z archiwum wojskowego znalazłem za to donos z marca 1968 roku napisany przez niejakiego majora Małeckiego do organizacji partyjnej Wojska Polskiego. Píše, że mój ojciec jest syjonistą, utrzymuje kontakty z „elementami wrogimi Polsce Ludowej” i bywa w ambasadzie Argentyny.

Ta sugestia, że ojciec chciał emigrować z Polski, jest żalosna, bo on robił wszystko, żebym ani ja, ani mój brat nie wyjechał za granicę. On uważał, że Polska jest jego krajem, i nikt nie zmusi go do wyjazdu.

Jego oddanie komunizmowi było niekiedy kwestionowane przez przełożonych. Wynotowałem sobie nawet fragmenty opinii z dokumentów wojskowych. W 1951 r. pisano o nim: „oficer mało zdyscyplinowany. Z teorii marksizmu-leninizmu ma poważne braki”. Kolejna opinia: „Politycznie mało aktywny, może być wykorzystany, ale pod twardym kierownictwem”. Rok 1955: „Niezadowolony z wykonywanej pracy, mało dokładny i niesystematyczny”. Przełożeni nie oceniali go jako „zupaka”, „trepa” czy twardego komunistę, ale raczej niepokornego i dumnego. W 1969 r. wyrzucono go z wojska. Nie potrafił się z tym pogodzić. Całe dorosłe życie spędził w mundurze, nawet porządnego garnituru wtedy nie miał.

Szkalowanie nie tylko mojego ojca, ale całej rodziny, trwa do dziś, aby uderzyć we mnie i w moją żonę, ale ma też szerszy kontekst środowiskowy. Niestety, ofiarami agresji i hejtu stały się także nasze nastoletnie dzieci, to jest najbardziej bolesne.

Stoją za tym ludzie, którzy nie mają hamulców, są cyniczni i bezwzględni. A ja, syn komunisty, który do tego ma żydowskie korzenie, pasuje im do obrazu wroga. Czasami ten antysemityzm nie jest wyrażany jednoznacznie, jak ostatnio, gdy Jarosław Kaczyński zaatakował Anne Applebaum. Ale ten antysemita smród – puszcza powoli, tak by nie wywołać zbyt dużego skandalu, zwłaszcza w Ameryce – ma zatruć świadomość ludzi, omamić i podporządkować.

W awanturze o pana ojca nie chodzi jednak tylko o to, że był komunistą. Porucznik Maksymilian Schnepf był oficerem w oddziałach, które wraz z sowieckim wojskiem i siłami NKWD prowadziły tzw. obławę augustowską. Latem 1945 roku te siły rozbiły oddziały polskiego podziemia niepodległościowego w rejonie Suwałk i Augustowa.

– Z mojego ojca, by móc uderzyć we mnie i moich bliskich, polityczni propagandyści zrobili zbrodniarza. Otóż nie jako syn, lecz historyk zbadałem dokumenty dotyczące jego służby. Skonsultowałem się też z poważnymi ekspertami. Na tej podstawie mogę wyrazić przekonanie, że oskarżenia są bezzasadne. Owszem, był uczestnikiem obławy, ale nie odgrywał roli, którą mu się przypisuje. Nie odebrał nikomu życia, nawet przesłuchań nie prowadził. A chcą okrzyknąć go katem po to, by uderzyć w nas.

Czarę goryczy przelało zbezczeszczenie rodzinnego grobu i nienawistne, piętnujące ataki osób publicznych na naszego 14-letniego syna, który nawet dziadka nie poznał. Dlatego razem z żoną i najstarszą córką, która jest pełnoletnia, będziemy

pozywać osoby, które wygłaszają te kłamliwe opinie.

Porozmawiajmy jednak o życiorysie Maksymiliana Sznepf. W drugiej wojnie światowej początkowo brał udział jako żołnierz Armii Czerwonej.

– Bardzo żałuję, że – choć w domu otwarcie mówiło się o polityce i przeszłości – nie udało mi się z tatą porozmawiać o tym, jak się znalazł w Armii Czerwonej. Opowiadał o oddziałach Śmierszu (sowiecki kontrwywiad), które szły za zwykłym wojskiem i strzelały do żołnierzy, którzy wbrew rozkazom wycofywali się, opowiadał o warunkach, w jakich na froncie żyli, o ziemiankach, w których było czarno od dymu z pieców, jedynym sposobem na zmycie z ciała sadzy było wytarzanie się nago w śniegu, o nocnym śpiewaniu. O tym, jak zaczęła się jego historia w mundurze, nie mówił, a ja nie zapytałem.

Natomiast w jego aktach zachowały się spisane przez niego życiorysy. W jednym podał, że ochotniczo wstąpił do sowieckiego wojska przed napaścią III Rzeszy na ZSRR. Ale w późniejszym, napisanym w 1953 r., czytamy, że „do wojska powołany został 19 września 1940 r.”, co oznacza, że został wzięty z poboru.

Mój tata był „bieżącym”, uciekinierem z części Polski okupowanej przez Niemców. Wybuch wojny zastał go w Łodzi, gdzie akurat skończył technikum włókiennicze i rozpoczął pracę. Uciekł z getta i po różnych perypetiach przedostał się przez Bug na tereny zajęte przez Sowietów. Chciał wrócić do rodzinnego Drohobycza. Obywatele polscy o pochodzeniu białoruskim, ukraińskim lub żydowskim byli traktowani jako obywatele sowieccy i przymusowo wcielani do armii. Taki los naprawdę podobnie spotkał mojego ojca.

Służył między innymi w 66. pułku artylerii, potem 307. i 510. pułku piechoty, z którym walczył pod Stalingradem. To jest potwierdzone.

Publicyści bliscy PiS kwestionują jego bojowe zasługi.

– Orderu za Wielką Wojnę Ojczyźnianą nie przyznawano za siedzenie na tyłach. Tata dostał go zaraz po upadku Berlina. Był z tych odznaczeń dumny, bo uważał, że walka z hitleryzmem jest najważniejsza. Na jego wyborach i postawie zaważyło to, że z bardzo dużej rodziny, która mieszkała w Drohobyczu, Jaśle, Stryju, Truskawcu, jako jeden z nielicznych przeżył wojnę. Reszta zginęła z niemieckiej ręki. Miał wobec Sowietów poczucie wdzięczności, że się uratował. Ja, urodzony sześć lat po zakończeniu wojny, tej postawy długo nie rozumiałem. Dla mnie było to jak mentalne uzależnienie.

Mimo wszystko to była Armia Czerwona, armia państwa, która dokonała wraz z III Rzeszą rozbioru Polski.

– Historia zna wiele znacznie większych karier wojskowych rozpoczętych w obcych, często wrogich armiach. Praktycznie cała polska przedwojenna generalicja zaczynała kariery w armiach zaborczych. Generałowie Dowbór-Muśnicki, Szeptycki czy Anders służyli w armii carskiej. Nie dlatego, że tak chcieli, tyle że w takiej żyły sytuacji i nie mieli wyboru. Mój ojciec też nie miał. A na dodatek uważał, że gdyby nie Sowietci, jest niemal pewne, że zginąłby w komorze gazowej, jak jego matka i starszy brat z rodziną.

W oblławie augustowskiej pana ojciec brał udział jako oficer w polskim mundurze.

– W 1943 r. został żołnierzem 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, sformowanej w ZSRR jednostki Wojska Polskiego. Walczył w jej szeregach pod Lenino, brał udział w wyzwaniu Warszawy. Kompania pod jego dowództwem jako pierwsza przeszła po zamrożonej Wiśle do Śródmieścia. Walczył na Wale Pomorskim, a potem brał udział w walkach



• Pułkownik Maksymilian Sznepf FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ojciec miał wobec Sowietów poczucie wdzięczności, że się uratował. Ja tego długo nie rozumiałem. Dla mnie było to jak mentalne uzależnienie

o Berlin. Był trzykrotnie ranny, odznaczono go Krzyżem Walecznych i Orderem Virtuti Militari – za walkę z hitleryzmem. Tak jednoznacznie wynika z dokumentów.

Po zdobyciu stolicy III Rzeszy zaraz przyszedł rozkaz – wydany w warunkach wojennych – że część 1. Praskiego Pułku Piechoty ma zostać wysłana na Białostoczyznę. W tym pułku służył właśnie mój tata. Jaką funkcję wtedy zajmował? Z dokumentów z jego teczki wynika, że między 18 maja a 16 grudnia 1945 r., gdy został ranny, był drugim pomocnikiem adiutanta szefa sztabu batalionu.

Czyli nie był dowódcą, ale jedynie albo aż planistą. Pomocnik adiutanta to w gruncie rzeczy funkcja administracyjna. Tylko jeden raport potwierdza, że dowodził akcją. W dniu 12.07.1945 r. – stwierdza meldunek – grupa „przeprowadziła oblławę we wsi Sider, nie napotykając jednak na ślady band. Ujęty i doprowadzony został do władz bezpieczeństwa jeden z członków AK, za którym rozesłane były listy gończe”.

Pytanie, dlaczego ówczesne polskie władze – rozkaz podpisał Wódz Naczelny WP gen. Rola-Żymierski – wysłały tam 110 swoich żołnierzy. 110 frontowców żeby dołączyli do 43 tysięcy sowieckich. Zdumiewające.

Ważniejsze pytanie dotyczy tego, co robił tam pana ojciec. Podaje się, że jego oddział odpowiada za zatrzymanie

i przekazanie Urzędowi Bezpieczeństwa 22 osób.

– Żołnierze 1. Pułku Piechoty, którzy byli na tym terenie zupełnie obcy, nie mieli żadnej wiedzy o ludziach, którzy działali w partyzantce. To miejscowi ubecy i milicjanci wskazywali ludzi, a żołnierze zatrzymywali i przekazywali polskim władzom. Niektórzy zostali przymusowo wcieleni do armii, po innych, niestety, ślad zaginął. Według mojej wiedzy w tych działaniach pododdziałów 1. Pułku Piechoty zginął jeden człowiek. Zginął, ponieważ się ostrzeliwał.

Ja nie twierdzę, że w tym czasie mój ojciec robił coś właściwego. Nie pochwalam ani nie próbuję usprawiedliwiać. Rozumiem też ból i potrzebę pamięci o niewinnych ofiarach tych wydarzeń.

Nie rozumiem jednak zjadłości i braku refleksji, jakim regulom działania podlega żołnierz regularnych sił zbrojnych w czasie obowiązywania prawa wojennego. Czy może odmówić wykonania rozkazu i pójść do domu? Wszyscy wiemy, że nie. Wiemy też, że wszelkie generalizacje, a zwłaszcza odpowiedzialność zbiorowa, są niedopuszczalne.

W 1. i 2. Armii Wojska Polskiego służyło wówczas ponad 300 tys. żołnierzy, wśród nich było około 8 tys. byłych oficerów Armii Krajowej.

Jak by ktoś mnie zapytał, jak ja bym się zachował na miejscu mojego taty, to mówię, że nie wiem. Tak jak nie wiem, co bym zrobił, gdybym miał ratować żydowską ro-

dzinę, wiedząc, że groziłoby to śmiercią moich bliskich. Jak w takiej sytuacji zachowałiby się dzisiejsi „patrioci”, którzy wylewają na moją rodzinę pomyje, a jednocześnie wykazują elementarny brak wiedzy o uwarunkowaniach tamtych lat? To sytuacje tworzą człowieka.

Interpretowanie wydarzeń sprzed 80 lat ze współczesnej perspektywy i obecnych standardów zachowań jest błędem. Robienie z tego polityki jest zaś niegodziwością.

Tym bardziej że temat wraca teraz, gdy ojciec nie żyje i nie może się bronić. A przecież w latach 90. został wezwany do Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w sprawie oblawy augustowskiej. Złożył zeznania, przyjęto je do wiadomości i na tym prokuratorzy sprawę skończyli. Mieli jeszcze wiele lat na ewentualne postawienie mu zarzutów. Gdyby były podstawy, bez wątpienia by to uczynili.

W życiorysie pana ojca jest jeszcze jeden ciekawy epizod. W latach 50. – jak donieśli związani z PiS historycy – miał zostać szpiegiem PRL.

– Nie szpiegiem, tylko attaché wojskowym w Waszyngtonie, co oczywiście wiązało się z działalnością wywiadowczą. Otrzymał legalny status. Pracował zresztą w zajmującym się tym Zarządzie II Sztabu Generalnego. W 1954 r. miał już nominację, rodzina była już spakowana, choć wiem o tym tylko z opowieści. I nagle Informacja Wojskowa (owiany złą sławą kontrwywiad w ludowym Wojsku Polskim) dostała donos, że utrzymuje kontakt z podejrzanym elementem i na pewno po dotarciu do USA zdradzi i ucieknie.

Chodziło o spotkania z jego wujem, tym samym, u którego mieszkał w Łodzi w chwili wybuchu wojny, adwokatem, pilsudczykiem, kapitanem przedwojennego wojska, którego odwiedzał od czasu do czasu. W efekcie mój tata nie tylko nigdzie nie wyjechał, ale został osadzony w areszcie domowym. Przed więzieniem, procesem i być może kulą w łeb uratowała go, o zgrozo!, służba w Armii Czerwonej. Nawet Informacja Wojskowa nie mogła pozwolić sobie, by zgnieść czy zabić kogoś z taką, frontową, przeszłością.

Pytałem ojca już jako dorosły człowiek, we wczesnych latach 80., jak to możliwe, że po tym i po innych upokorzeniach – gdy go zamknęto i gdy po 1968 r. ostatecznie wyrzucono z wojska – pozostał członkiem PZPR. Odpowiedział, że trzeba żyć w Polsce, jaka jest, a godność nie pozwala mu zostawić partii, gdy leży na łopatkach.

Przyjmował pan te tłumaczenia, widząc, co komuniści zrobili z Polską?

– Dla mnie było to nie do przyjęcia. Spierał się i każdy zostawał przy swoim. Dla mojego ojca bardzo ważne było poczucie godności. On z moimi diagnozami peerełowskiej rzeczywistości w zasadzie się zgadzał, ale uważał, że byłoby niegodne, gdyby odszedł ze swojej roli w chwili, gdy wszyscy uciekają z okręt, krzycząc: „Ratuj się kto może”. Traktowałem te tłumaczenia jako wyraz konformizmu.

Ale w tym samym czasie, gdy roznośilem ulotki w stanie wojennym, to on je przechowywał, bo uważał, że to będzie bezpieczniejsze, gdyby wpadła rewizja. Gdy trwały aresztowania, to wysyłał mnie do swojego znajomego, żebym tam nocował. Dla niego bezpieczeństwo rodziny było arcyważne. Wynikało to z wojennych doświadczeń, kiedy został sam jak palec.

A może takie tłumaczenie było dla niego wygodne. W końcu nie był zwykłym obywatelem, tylko wysokiej rangi wojskowym, człowiekiem systemu.

– Takim wysokim nie był. Zwyczajnie służył Polsce, takiej, jaka ona była. Trzy miliony ludzi nosiło legitymację PZPR. Z różnych pobudek, często koniunkturalnych. I pewno im z tym było lepiej niż tym, którym – tak jak mojemu ojcu – wydawało się, że naprawią świat.

On był zgorzkniałym komunistą starej daty. Rozczarował się, i to boleśnie, ale uważał, że system dominacji sowieckiej i system komunistyczny w Polsce są niezniszczalne, a Związek Sowiecki przepiękny. Przecież jeszcze w połowie lat 80. nic nie wskazywało na to, że komunizm runie.

Wróćmy do obecnych czasów. W 2005 r. został pan odpowiedzialnym za politykę zagraniczną sekretarzem stanu w kancelarii premiera Kazimierza Marcinkiewicza. Premiera z PiS. Pracował pan z ludźmi, którzy dziś nie akceptują pana jako polskiego ambasadora.

– Osobiście znałem się z wieloma z nich. Ku mojemu zaskoczeniu, gdy odchodziłem z KPRM, chyba najpiękniejszy list z podziękowaniem za współpracę dostałem od ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Utrzymywałem też dobre relacje z ówczesnym szefem kancelarii Mariuszem Błaszczakiem.

Ale nie zapominajmy, że do rządu Marcinkiewicza wszedłem podobnie jak Radosław Sikorski, wówczas szef MON, ze względu na premiera i na wiarę w jego ludzką przyzwoitość, polityczne umiarkowanie i zdolności. Zrobiliśmy to właśnie dlatego, że znamy to środowisko i wiemy, do czego niektórzy jego przedstawiciele byli zdolni. I z powodu tej wiedzy postrzega się nas tym bardziej wrogo.

Czy coś wtedy zapowiadało, że PiS, porównywany wtedy do niemieckiej chadecji, pójdzie w takim właśnie autorytarnym i antyeuropejskim kierunku?

– Coś musiało to zapowiadać, skoro odgrywałem rolę profesjonalisty, który ma łagodzić wizerunek tego gabinetu. To ja zasugerowałem premierowi powszechnie szanowanego dyplomata Stefana Meller na szefa MSZ, a on propozycję przyjął pomimo oporów Jarosława Kaczyńskiego.

Mieliśmy głębokie przekonanie, że musimy być proeuropejscy. Bo to był rząd może konserwatywny, ale nie antyeuropejski ani ksenofobiczny, ani nacjonalistyczny. To od premierostwa Kaczyńskiego rząd poszedł w otwarty nacjonalizm, wręcz szowinizm.

Nie pasowałem do tego ja, nie pasował minister Meller, ani minister Sikorski. Byłem chcąc nie chcąc świadkiem rozmowy Kaczyńskiego z Sikorskim o Antonim Macierewiczu. Kaczyński tak głośno krzyczał, że telefon słyhać było w całej kamienicy. Stawiał Sikorskiemu ultimatum: albo przyjmiesz Macierewicza jako wiceministra, albo „24 godziny i cię nie ma”. Bardzo brutalna była ta rozmowa.

Zostaliśmy więc użyci, gdy nasza rola się skończyła, Kaczyński zrobił z nas wrogów, zdrajców. I tak zostało do dziś.

Odszedł pan z rządu w czerwcu 2006 r. po przedwczesnym – jak się okazało – ogłoszeniu planu wejścia Polski do konsorcjum budującego niemiecko-rosyjski gazociąg Nord Stream.

– Nie wchodząc w szczegóły, mieliśmy misterny plan powstrzymania tej inwestycji poprzez wejście do projektu i rozpoczęcie gry dyplomatycznej tak, by gazociąg w takiej formie nigdy nie powstał. Plan był jednak zbyt subtelny, część polityków PiS go nie rozumiała, a część postanowiła wykończyć do intrygi przeciwko premierowi



• Ryszard Schnepf z prezydentem Włoch Sergio Mattarellą FOT. PRESIDENT OF THE REPUBLIC ITALY

Nawet przy trudnościach, jakie stworzył prezydent, nie podpisując mojej nominacji, relacje polsko-włoskie nie cierpią

Marcinkiewiczowi. I to się udało, a gazociąg powstał.

Co ciekawe, kilka miesięcy później byłem namawiany przez przedstawicieli spółki budującej Nord Stream do współpracy. Oferowali niewyobrażalne pieniądze za to, że od czasu do czasu będę latać do Szwajcarii na zebrania rady doradczej.

Powiedziałem im: panowie, wy nic nie rozumieście. Jestem przeciwny waszemu gazociągowi, was trzeba powstrzymać.

Był pan zaprzyjaźniony z Witoldem Waszczykowskiem, późniejszym szefem dyplomacji w rządzie Beaty Szydło.

– Tak, dzieliliśmy wspólny smutny los. Za rządów SLD bywało, że dyplomaci postrzegani jako związani z „Solidarnością”, ze środowiskiem liberalnym, w niektórych momentach byli traktowani nieco gorzej. To znaczy: nie awansowali, nie dostawali ambitniejszych zadań, jechali na gorsze placówki.

Oczywiście nie byli eliminowani ze służby, tak jak to miało miejsce podczas ośmioletnich rządów PiS. Wtedy to już by-

ła czystka i próba bezwzględnego podporządkowania partii całej administracji państwowej. W tym, niestety, uczestniczył Waszczykowski. Mówię „niestety”, bo darzyłem go ogromną sympatią i zaufaniem.

I to on w 2016 r. już jako minister spraw zagranicznych w rządzie PiS wyrzucił pana z dyplomacji.

– Minister Stefan Meller go nie znosił i kwestionował jego lojalność. Chciał go wyrzucić. Tłumaczyłem premierowi Marcinkiewiczowi, że on ma taką niepokorną powierzchowność, ale to dobry człowiek. I wybroniłem go, ale Stefan miał o to do mnie ogromny żal.

Waszczykowski zajmował się sprawą tarczy antyrakietowej i umową o stacjonowaniu wojsk amerykańskich w Polsce. Nie mógł pogodzić się z tym, że nowa amerykańska administracja Baracka Obamy mocno ograniczyła ten projekt, że jego wieloletnia praca poszła do kosza. O wszystko obwiniał Sikorskiego, udzielił głupiego, oskarżycielskiego wywiadu, pokazując skalę nielojalności, a jednocześnie przygotował sobie posadkę w Pałacu Prezydenckim u Lecha Kaczyńskiego.

A gdy wraz z PiS wrócił w 2015 r. do MSZ, dostał zadanie, by przeprowadzić w dyplomacji krwawą czystkę. Podjął się tego zadania bez mrugnienia okiem. Byłem wtedy ambasadorem w Waszyngtonie, od początku wiedziałem, że mnie odwołają, zresztą kończyła się moja czteroletnia kadencja. Prosiłem go więc, by mnie uprzedził, jak kolega kolegę, co się szykuje, by mnie nie upokarzali.

Potem napisał do mnie SMS-a, że moja żona skrytykowała PiS na Facebooku i wobec tego „musi mnie wyp...ć”. To cytat.

Okazało się, że w MSZ byli wtedy ludzie przeglądający serwisy społecznościowe dyplomatów i ich rodzin. Ale ostatecznie to ja byłem szybszy. Złożyłem wypowiedzenie, zanim mnie wyrzucano.

Pan PiS-owi nie pozostawał dłużny. Stał się pan motorem Konferencji Ambasadorów, organizacji, która wytykała PiS-owi poważne błędy w polityce zagranicznej. Czy tak wypada postępować dyplomacie?

– Tylko jednym z motorów. Po odwołaniu z placówki, nie pełniąc już żadnej funkcji politycznej, traktowałem Konferencję jako ciekawą formę kontynuacji, ale już w roli nieskrępowanego obserwatora. Wolność traktuję serio, także jeśli chodzi o wyglądanie opinii.

A jeśli chodzi o Konferencję Ambasadorów [w jej skład wchodził dyplomaci wyrzuceni przez PiS], to jest to grono poważnych ludzi, wybitnych dyplomatów i byłych członków rządów, którzy wprowadzali nas do NATO i Unii Europejskiej, profesorów, najwyższych lotów intelektualistów. I patriotów. W interesie rządzących było wysłuchanie tego, co Konferencja miała do powiedzenia. Zamiast podjąć dyskusję, PiS wolał uznać nas za wrogów.

Gdy stowarzyszeni w KARP krytykowali PiS, robili to niezwykle subtelnie, każde oświadczenie Konferencji było efektem głębokich dyskusji, każde słowo było celowane. Treść każdego tekstu poddawano pod głosowanie. To był szczyt demokracji, choć zebranie większości z ponad 40 byłych ambasadorów, z których wielu mieszkało poza Warszawą, było technicznie trudne. To grono nigdy nie pozwoliłoby sobie na obrażanie prezydenta Rzeczypospolitej.

Tymczasem z ust prezydenta Andrzeja Dudy padły najgorsze, obraźliwe słowa: „zdrajcy”. A przy innej okazji dziwił się, że zdrajców się nie wiesza. To szokujące!

A gdyby rząd zawarł z prezydentem Nawrockim kompromis: za Schnepfą ambasadorem będzie ktoś inny, to...?

– Pracuję w obecnej roli dlatego, że taka jest wola premiera i ministra spraw zagranicznych. Staram się wywiązywać z obowiązków możliwie najlepiej. Ocena nie należy już do mnie. Tak więc będę służyć Polsce w Rzymie tak długo, jak będę potrzebny. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski;
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan

WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Lizaki i klapsy nie działają

Czy 10 milionów obywateli, którzy zagłosowali na Nawrockiego, to faszysti, których należy bezwzględnie zwalczać?



Marcin Matczak

Jarosław Kurski [„Czy nasi to już oni”, Magazyn Wyborcza, 23-28.08. br.] stawia tezę, że wybór Karola Nawrockiego na „głowę Najjaśniejszej” to dowód klęski dotychczasowej strategii demokratów wobec brunatnej fali – że wszelkie ustępstwa i próby dialogu były tchórzostwem, a cała opowieść o wspólnocie Polaków okazała się naiwnością.

Argumenty autor, do niedawna pierwszy po Bogu w „Wyborczej”, ma dobre – na przykład ten o braku sprawczości post-PiSowskiego państwa i godnej pożałowania mimikrze zachowań prawicowych. Ale jest w jego tekście także kilka problemów.

W wizji Kurskiego „demokrata” łaskawie daje coś „roszczeniowym masom”: pozwala im maszerować, uznaje ich symbole, toleruje ich ekscesy. Nigdy jednak nie próbuje naprawdę zrozumieć, skąd bierze się społeczna frustracja. Zamiast poszukać głębszych przyczyn, reaguje protekcyjnością. Jakby wyborcy byli dziećmi, którzy muszą dostać lizaka i wtedy się uspokoją.

Kurski opisuje zgodę na umieszczenie Dmowskiego w narodowym panteonie, jakby był to jednocześnie dar, zdrada i kapitulacja przed brunatną falą. W rzeczywistości przypomina to sytuację, gdy małżonek godzi się powiesić w salonie zdjęcie teścia, którego nie znosi, tylko po to, by zachować rodzinny spokój. Czy od tego teść staje się miłszy, a konflikty znikają? Oczywiście nie. To gest wyłącznie symboliczny i krótkotrwały. Trudno go nazywać ustępstwem, tym bardziej prowadzącym do narodowej katastrofy.

Kurski uważa za „ustępstwo” brak zdecydowanych reakcji państwa wobec takich ludzi jak Bąkiewicz. Trump między kadencjami zaliczył dziesiątki pozwów i liczne zarzuty karne – i co to zmieniło? Marine Le Pen została skazana za defraudację funduszy unijnych. Jej partia i tak urosła w siłę. Moralne potępienie i represja nie działają jak zaklęcie. Często wręcz wzmacniają narrację „ofiary”, którą skrajna prawica potrafi sprzedać lepiej niż ktokolwiek.

Nie ma w tekście Kurskiego diagnozy, czemu prawicy dziś rośnie nie tylko w Polsce. Rośnie, bo za mało ich lejemy? A może dlatego, że w świecie bez stałych punktów odniesienia obóz demokratyczny zamiast pozytywnej wizji oferuje wyłącznie reaktywność i wieczne moralne oburzenie? Ten tekst wzywa do tego, żeby nie analizować, tylko reagować. Problem w tym, że bez analizy nie wiadomo ani na co reagować, ani jak. To prosta droga do walenia na oślep w bęben oburzenia.

Co więcej, diagnoza Jarosława Kurskiego w istocie kpi z prób rozumienia przyczyn radykalizacji – widać to w wyśmiewaniu narracji o „trudnym dzieciństwie”, „wykluczeniu”, „inkluzywności”. Sprowadza się je do piękno-duchowskich mrzonek. Równie dobrze można by wyśmiewać Ericha Fromma czy Hannę Arendt. Taka kpina jest protekcyjna nie tylko wobec demokratów, ale i wobec 10 milionów ludzi głosujących na Karola Nawrockiego.

go – sugeruje, że ich frustracji i gniewu w ogóle nie warto badać. Oni mają być tylko „bandziorami” do spacyfikowania.

Według autora mamy przestać być „miękczy” i stać się twardzi. Nasuwa się pytanie: wobec kogo? Wobec Bąkiewicza i jego bojówkarzy? Radykalnej prawicy parlamentarnej? Wobec tych 370 tysięcy wyborców, którzy przesądziła o zwycięstwie Nawrockiego? Czy wobec ponad 10 milionów obywateli, którzy na niego zagłosowali? Oni wszyscy to faszysti, których należy bezwzględnie zwalczać?

Ten tekst traktuje cały elektorat Nawrockiego jak jednolitą masę. A przecież o przegranej Rafała Trzaskowskiego zdecydowało zniechęcone brakiem oferty ze strony demokratów zaniedbane centrum, a nie marsz ONR. To centrum dziś przechyla się na prawo nie dlatego, że ktoś złożył kwiaty pod pomnikiem Dmowskiego, ale dlatego, że nikt nie oferuje mu spójnej opowieści o Polsce w świecie chaosu i płynności. Ludzie szukają punktów oparcia, a gdy ich nie znajdują – idą tam, gdzie ktoś roztacza przed nimi jakąś wizję porządku.

Tak mgliste wezwanie do „twardości” skończy się jeszcze większą liczbą komunikatów jak ten Krzysztofa Kontka, twórcy słynnej niepotwierdzonej przez prokuraturę Adama Bodnara tezy o masowym fałszerstwie wyborczym: „walić w łeb tę polską ciemnotę, zaściankowość, zabobon i chłopskość”, niech podniesie „swoją poziom do wymagań współczesnego świata”. Bo błędem według Kontka, jest teza polskich tuzów socjologii, „że elity, czyli miasta, nie potrafią zrozumieć wsi i powinny się zniżyć do tego poziomu, by wygrać wybory”. I będzie Kontek walił tę ciemnotę w łeb, zamiast się do niej zniżyć, i będzie liczył na wzrost poparcia tych, których w ten łeb wali. A my z nim?

Analiza Kurskiego źle identyfikuje adresata naszej reakcji. Nie na Bąkiewicza trzeba reagować i do jemu podobnych mówić. Trzeba mówić do tych 2–3 procent, których Bąkiewicz mierzi tak samo, jak stronę demokratyczną, ale w płynności świata woleli Nawrockiego od Trzaskowskiego. Do tych 400–500 tysięcy ludzi, którzy nie są postfaszystami, ale dzięki którym postfaszyzm rośnie, bo skutecznie ich kusi.

Ci ludzie po tym tekście będą widzieli tylko więcej nienawiści i pogardy, więcej komunikatów à la Kontek, kierowanych przez demokratów do Bąkiewicza i spółki, a żadnego komunikatu kierowanego do nich. A prawica dalej będzie ich uwodzić.

Rada zawarta w tekście – „bądź twardy wobec faszystów” – to odpowiednik słów doradcy małżeńskiego, który radziłby w kryzysie: „Twoja żona coraz częściej patrzy na innego? Nie próbuj z nią rozmawiać, nie staraj się zrozumieć, co ją boli i czego jej brakuje. Po prostu skup całą energię na tym, żeby wyzywać rywala, obrażać go obelgami i dowodzić, że jest podłym typem. To wystarczy, by wróciła do ciebie”. Problem w tym, że taka żona widzi tylko rozjuszonego, pogardliwego męża, który o niej zapomniał. Nic dziwnego, że tym chętniej słucha tego, który – choć udaje – mówi do niej i o niej, a nie o kimś innym.

W tej błędnej diagnozie, której czytelnicy „Wyborczej” zbyt łatwo przyklaskują, kryje się fundamentalne nieporozumienie: nie mamy do czynienia z rozumocjonowanym tłumem, który można uciszyć albo pobudzić kilkoma gestami. Mamy do czynienia ze złożonym procesem psychologiczno-społecznym, który narastał latami i zalewa nas dziś jak fala. A my, zamiast zając się tymi, którzy są przez tę falę podtapiani, stoimy na brzegu i wygramyśmy pięściami wodzie.

Bogowie i panowie

Rozumiem, że serce nie sługa: jeśli się kocha jakąś piosenkę, to się ją cytuje przy każdej nadarzającej się i nienadarzającej okazji.



Michał Rusinek

Polacy, jak wiadomo, lubią piosenki. Zwłaszcza takie, które znają. Ostatnio w dyskursie politycznym pojawiły się dwa cytaty z tekstów piosenek. Żeby zachęcić Państwa do dalszej lektury tego felietonu dodam, że były to cytaty z piosenek znanych.

Pierwszą z nich zacytowała Agata Kornhauser-Duda, czyli była pierwsza dama, która zaskoczyła nas wszystkim tym, że żegnając się ze swoją funkcją zabrała w ogóle głos, łamiąc złożone 10 lat temu, zapewne sobie samej, śluby milczenia. Nie tylko zresztą zabrała głos, ale chyba po raz pierwszy pokazała szczere emocje. A ściślej – jedną emocję: radość. „Coś się kończy, coś się zaczyna – zaczęła dość konwencjonalnie swoje przemówienie. – Ja chyba jestem najszczęśliwszym człowiekiem w tej kancelarii. Pożegnaj się z państwem słowami mojej ulubionej piosenki: «To już jest koniec, nie ma już nic, jesteśmy wolni, możemy iść”.

Pani eksprezydentowa się cieszyła, a nam – zrobiło się przykro. Tak przecież zachowuje się człowiek, który nienawidzi swojej pracy czy funkcji, albo ktoś, kto wychodzi z więzienia po odsiedzeniu wyroku. Co innego „damą być, ach, damą być/ i na wyspach bananowych/ bananówkę pić”, o czym marzyło wiele kobiet z – niecytowaną wprawdzie – Marylą Rodowicz na czele. A co innego być pierwszą damą. Nie ma o czym marzyć i czego zażądać. Choć znamy takie byłe pierwsze damy, którym się udało sensownie wykorzystać tę funkcję. Więc: to zależy.

Rozumiem, że serce nie sługa: jeśli się kocha jakąś piosenkę, to się ją cytuje przy każdej nadarzającej się i nienadarzającej okazji. W tym przypadku było to nieco ryzykowne, bo jeśli się najpierw deklaruje, że po zakończeniu jakiejś funkcji zacznie się robić coś nowego, a potem cytuje się tekst piosenki Kuby Siemkiewicza, w którym jest mowa o tym, że „nie ma już nic”, a więc nic nowego się nie zaczyna – to się samej sobie przeczy. W takim przypadku mogą się w nas pojawić przypuszczenia, że Agata Duda, mistrzyni niedomówień, chciała nam coś przekazać nie wprost. Skoro cała piosenka „Koniec” jest jej ukochaną, to zapewne także i ten fragment, który w tym konkretnym miejscu i czasie zacytowany przez nią być nie mógł, ale mógł zostać znacząco przemilczany: „A po co, a po co tak dłubie i dłubie?/ A za co, a za co tak myśli i skubie?/ I tak się przykładą, i mówi z ekranu,/ i bredzi latami, wieczorem i rano./ To już jest koniec...”.

Niedługo później nowy, świeżo zaprzysiężony prezydent Karol Nawrocki w orę-

dziu wygłoszonym przed Zgromadzeniem Narodowym powiedział, że wszyscy musimy sobie uzmysłowić, iż „sędziowie nie są bogami, tylko mają służyć Rzeczypospolitej Polskiej i polskim obywatelom”. Zwykły obywatel mógł nie dostrzec w tej wypowiedzi cytatu z popularnej piosenki, ale minister sprawiedliwości Waldemar Żurek ten cytat, a właściwie aluzję, swoim bystrym ministerialnym okiem dostrzegł. Zapytany w Pol-sacie przez Bogdana Rymanowskiego, czy zgadza się w tej kwestii z prezydentem Nawrockim odpowiedział: „Była taka piosenka Paktofoniki: «Jestem Bogiem, uświadom to sobie»”.

Historia literatury zna takie przypadki, że autor nieświadomie cytuje inne dzieło i dopiero bystrzy czytelnicy mu to uświadamiają; tak to już bywa z intertekstualnością. I tak było chyba tym razem, bo prezydent Nawrocki, uświadomiony, że był cytował Paktofonikę, prędko odniósł się do słów ministra Żurka. Nie tyle jednak wyrażając zdziwienie, że ten imputuje mu aluzję do słów hiphopowej piosenki, ile imputując ministrowi, że powiedział o sobie „jestem Bogiem”. „Panie ministrze – powiedział prezydent – nie jesteś Bogiem, uświadom to sobie, sobie”.

Owszem, w języku mówionym cudzo-słów nie jest widoczny, ale przecież Żurek chciał tylko pokazać, że ci „bogowie” z orędzia Nawrockiego są bogami piosenkowymi, którym „boskość” została imputowana. No cóż, jeśli pan minister zechce kontynuować pojedynek na cytaty z tej piosenki, to usłyszymy zapewne, jak mówi do pana prezydenta: „Ty też jesteś Bogiem, tylko wyobraź to sobie, sobie”, a pan prezydent odpowiada, że ludzie znają jego „urok osobisty/ duszę artysty, to jaki jestem skromny/ i bystry, i szczerzy do bólu” i że prezydent – znany bokser – „zapewnia wrogom kontakt z podłogą”.

Pozostałe cytaty z tego utworu nie są wystarczająco parlamentarne, nawet jak na standardy współczesnego dyskursu publicznego. Oby ten boski spór między prezydentem i ministrem zakończył się tak, jak kończy się trzecia pieśń poematu Juliusza Słowackiego „Beniowski”: „Bądź zdrów! – A tak się żegnają nie wrogi,/ Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi”.

Warto tu jeszcze przytoczyć inną wypowiedź prezydenta Nawrockiego – w wywiadzie udzielonym także Bogdanowi Rymanowskiemu – która nie dotyczy wprawdzie władzy boskiej, ale porządku władzy ludzkiej. Nawrocki wyraził w niej żal, że po jego wygranej w wyborach prezydenckich Donald Tusk nie pogratulował mu jeszcze, a wypadałoby, „żeby pogratulował i przyjechał na dyskusję do pana prezydenta”.

Prezydent może oczywiście mówić o sobie „prezydent”, ale czemu mówi o sobie „pan prezydent”? Żeby pokazać, kto tu jest prawdziwym panem? Żeby podnieść rangę swojej funkcji i pokazać, że powinniśmy mieć do niego większy szacunek niż po prostu do prezydenta? A może nie wyżył się on jeszcze myślenia o sobie w dwóch osobach i wywiadu Rymanowskiemu udzielał nie jako prezydent, ale alter ego prezydenta – autor książki o trójmiejskim gangsterze. Który to autor z pewnością mówiłby o Karolu Nawrockim „pan prezydent”.

O co chodzi w antyukraińskiej ofensywie prezydenta

ROSJANIE SĄ
ZADOWOLENISekretarz stanu USA wysłał jasny sygnał, kto z Polski jest partnerem
do rozmów dla Białego Domu

Miroslaw Czech

Startu swojej prezydentury Karol Nawrocki nie może uznać za udany. Ani na gruncie krajowym – gdyż poziom zaufania społecznego i poparcia dla jego inicjatyw ustawodawczych nie zwala z nóg – ani międzynarodowym i geopolitycznym.

Bo większość Polaków nie może zrozumieć nieobecności prezydenta państwa kluczowego w Europie i zabezpieczającego NATO od wschodu, podczas spotkania Donalda Trumpa z Wołodzimierzem Zełenskim oraz przywódcami 5 państw europejskich (Finlandia, Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Włochy), szefową Komisji Europejskiej i sekretarzem generalnym NATO. Nieobecności tym bardziej zaskakującej, że przecież „szczególne relacje” z amerykańskim przywódcą mają być głównym atutem Nawrockiego w odgrywaniu wiodącej roli na arenie międzynarodowej. W kontrze do rządu, który ma być „niemiecki”.

Prezydent próbował zwać winę na Zełenskigo, lecz nie udało się, bo większość Polaków rozumie, że to nie on jest gospodarzem Białego Domu. Pozostało boksowanie się z rządem o niechlubny status winnego zawalenia sprawy – lecz większość ludzi nie lubi klótni akurat w sprawach międzynarodowych, słuszenie uważając, że wszystkie instytucje polskiej władzy powinny ze sobą współpracować. Tym bardziej że 70 procent respondentów odpowiedziało pozytywnie na pytanie, czy rosyjskiej agresji należy się obawiać nawet po zawarciu pokoju w Ukrainie.

Od kilku dni kancelaria prezydenta usiłuje bagatelizować problem, opowiadając zaufanym ekspertom i dziennikarzom, że Nawrocki nie chciał dopuścić do anulowania wizyty 3 września. A tak mogłoby się zdarzyć, gdyby w Waszyngtonie był 18 sierpnia.

Ryzyko strat wizerunkowych uznano za tak istotne, że Nawrocki użył twardych narzędzi: uderzył w ukraińskich uchodźców, zapowiedział penalizowanie „banderyzmu” i asertywnie podejście do Ukrainy. Cel to odwrócenie uwagi społeczeństwa od własnych problemów i osłabianie zdolności obronnych Kijowa w nadziei, że na taką politykę łaskawie spojrzy Trump. Nieprzychylny Ukrainie i osobiście Zełenskiemu, choć od czasu ich słynnej rozmowy w Bazylice św. Piotra w czasie pogrzebu papieża Franciszka (26 kwietnia) zmienił nieco sposób traktowania ukraińskiego przywódcy.

Co nagle, to po diable. Po pierwszym, waszyngtońskim, prezydent strzelił kolejne gole do własnej bramki: obnażył słabość pozycji własnej i Polski, zadał szkody bezpieczeństwu Polski, utracił szansę na poważne traktowanie w Europie i USA oraz doprowadził do galopującego wzrostu nastrojów antypolskich w Ukrainie.

W sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa polska polityka stała się anegdotyczna. Politycy prześcigają się w opowiadaniu anegdot, zamiast przedstawiać analizy zmieniającej się sytuacji w skali globalnej i regionalnej, na których podstawie mieliby przedstawić scenariusze dla Polski oraz bieżące i dalekosiężne sposoby realizacji założonych celów.

Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz wypalił 25 sierpnia: „To była grupa tak naprawdę wspierająca stan psychofizyczny pana prezydenta Zełenskigo i wystarczała już ta grupa, która się tam znalazła, aby prezydent Zełenski poczuł się pewnie”.

Nie był oryginalny, bo dzień wcześniej eurodeputowany Koalicji Obywatelskiej Andrzej Halicki poinformował opinię publiczną, że zainicjowana przez Francję i Wielką Brytanię „koalicja chętnych” powstała (na przełomie lutego i marca) po to, by Zełenski nie czuł się samotny w obliczu bezpardonowej polityki Trumpa wobec Ukrainy.

Halicki jest zastępcą szefa Europejskiej Partii Ludowej i co nieco wie. Dlaczego zatem opowiada banialuki? Bo w polskich realiach „koalicja chętnych” kojarzy się z wysłaniem żołnierzy państw europejskich na Ukrainę po zakończeniu działań wojennych. A od tego rząd, prezydent i cała opozycja odłączają się jak diabeł od święconej wody.

Próbując kpić z działań podejmowanych przez przywódców Unii, Wielkiej Brytanii i NATO, a także prezydenta Ukrainy, politycy szkodzą przede wszystkim własnemu krajowi. Z negatywnymi konsekwencjami na najbliższe miesiące i lata.

W Polsce spotkanie w Białym Domu sprowadzono do rozmów przywódców państw, Unii Europejskiej i NATO. Nikt nie zwrócił uwagi na dwie narady, które odbyły się nazajutrz. Naradzali się doradcy do spraw bezpieczeństwa pod przewodnictwem sekretarza stanu Marca Rubio, który pełni jednocześnie funkcję doradcy Trumpa do spraw bezpieczeństwa. A to sprawa, że w kwestiach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa jest postacią numer 2 w USA. I to on przygotowuje kluczowe decyzje administracji w tych sprawach.

Reprezentanta Polski tam nie było, podobnie jak zabrakło polskiego generała w czasie drugiej narady, gdy spotkali się sze-

fowie sztabów armii wymienionych państw i naczelny dowódca wojsk NATO w Europie. „Dla przygotowania – jak napisano w komunikacie końcowym – wojskowych aspektów działań, które mają doprowadzić do pokoju w Ukrainie”.

Pod tym enigmatycznym stwierdzeniem kryje się zgoda Amerykanów na udział w gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawarciu rozejmu lub pokoju z Rosją. Dla Ukrainy i Europy to warunek *sine qua non* poparcia pokojowych inicjatyw Trumpa i przymknięcia oczu na jego wizję odnowienia „szczególnych stosunków” USA z Rosją.

Trzon europejskiego składu delegacji do rozmów z Amerykanami ukształtował się w kilku etapach. Pierwszym było oświadczenie prezydenta Emmanuela Macrona z lutego 2024, który po zablokowaniu przez republikanów 60 miliardów dolarów pomocy dla Ukrainy oświadczył, że w tej sytuacji należy rozważyć wysłanie wojsk z państw europejskich. Sprawa upadła, bo ostatecznie pomoc uchwalono i Ukraina z niej korzysta do dzisiaj. Od tego jednak czasu Paryż intensywnie współpracuje z Londynem, który odgrywa ważną rolę we wspieraniu Kijowa, w szczególności skutecznych operacji na Morzu Czarnym.

Kolejny akt rozegrał się po Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, gdy amerykański wiceprezydent J. D. Vance ogłosił (14 lutego), że prawdziwym wrogiem nie jest Rosja, lecz brak demokracji w Europie. Wsparł też Alternatywę dla Niemiec w kończącej się kampanii wyborczej do Bundestagu, co nie tylko w Niemczech uznano za zerwanie sojuszu z USA i wezwanie do rozbięcia Unii.

Próba upokorzenia Wołodzimierza Zełenskigo przez Trumpa i Vance’a w Gabinetie Ovalnym (28 lutego) i wstrzymanie w ślad za tym dostaw broni oraz danych wywiadowczych dopełniły obrazu. W Europie i w całej wspólnotie państw demokratycznych zrozumiano, że artykuł 5 Traktatu Waszyngtońskiego („jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”) stracił aktualność, bo Trump szykuje się do zawarcia wielkiego dealu z Putinem. Europejscy przywódcy gorączkowo rzucili się odrabiać stracony czas. Musieli przy tym uznać oczywistość trzech rzeczy.

Pierwsza to fakt, że Europa nie jest przygotowana do samodzielnego przeciwstawiania się Rosji. Szczególnie gdyby USA ogłosiły „neutralność”, a Chiny zwiększyły wsparcie dla Moskwy, która zagarnęłaby ukraińskie zasoby: rozwijający się przemysł zbrojeniowy, tysiące wyszkolonych żołnierzy i parę milionów rekrutów.

Druga to świadomość, że Ukraina nie zamierza kapitulować przed połączonymi siłami Putina i Trumpa. I to, że przez kilka lat stanowić będzie podstawowy element europejskiego systemu obrony oraz jej strategicznej samodzielności w działaniach na lądzie. Stąd zadanie uczynienia z niej „pancer-



nego jeżozwierz”, jak powiedziała Ursula von der Leyen. Za tymi słowami poszły decyzje finansowe, wojskowe i polityczne.

Trzecia – okazało się, że USA nie mogą zerwać więzi euroatlantycznych, bo są zbyt trwałe i ważne dla Ameryki, a nie wyłącznie dla Starego Kontynentu. Podobnie rzecz się ma z porzuceniem Ukrainy, bo koszty takiej operacji okazały się zbyt duże nawet dla Trumpa. Również ze względów wewnętrznych – dwie trzecie Amerykanów darzy sympatią Ukrainę, zaś Rosję jedynie 14 procent. Badania pokazują też, że blisko 70 procent Amerykanów jest przeciwna zmuszaniu Ukrainy do ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji.

Kluczowe decyzje w sprawie obecności USA w NATO i przyszłości Sojuszu zapadły na szczycie w Hadze (24-25 czerwca). Trump dostał zapisanie 5 procent PKB jako wskaźnika wydatków na obronę członków NATO i dostęp amerykańskich firm do przetargów w Europie na lawinowo wzrastające (szczególnie w Niemczech) zakupy uzbrojenia. Sojusz nie porzucił strategii rozszerzenia, choć przyjęto do wiadomości, że za obecnego prezydenta drzwi dla Ukrainy pozostają zamknięte.

W tej sytuacji zmieniła się rola „koalicji chętnych”. Do francusko-brytyjskiej inicjatywy dołączyła Australia, Japonia, Nowa Zelandia, Kanada i Turcja.

To był znak, że pozaeuropejscy członkowie NATO i amerykańscy sojusznicy w Azji Południowo-Wschodniej nie porzucą Ukrainy i zamierzają działać razem i w dotychczasowych strukturach. Poskutkowało, bo po szczycie NATO w spotkaniach „koalicji chętnych” zaczęli brać udział również Amerykanie.

**Wzniesienie antyukraińskiej
fobii osłabia Polskę
w stopniu, jaki wrogowi
trudno było osiągnąć
z zewnątrz, prowadząc
wojnę hybrydową, w tym
kognitywną w serwisach
społecznościowych**



• Katowice przed II turą wyborów prezydenckich. Wiec poparcia dla Karola Narwockiego (29. 05. 2025)

Minęła najostrzejsza faza kryzysu w relacjach euroatlantyckich, lecz Europejczycy nie porzucili swoich planów. W czasie wizyty Macrona w Wielkiej Brytanii (8-10 lipca) uzgodniono, że wielonarodowe dowództwo koalicji chętnych będzie bazowało na strukturach francusko-brytyjskich – Połączonych Siłach Wspólnych, które mają osiągnąć zdolność dowodzenia siłami do 50 tysięcy żołnierzy. Połączone Siły Wspólne będą tak zwaną strukturą wielodomenową, czyli przygotowaną do działania na lądzie, w powietrzu, na morzu, w cyberprzestrzeni i kosmosie. Pozostają też otwarte na integrację z siłami wydzielonymi przez inne państwa, nie ograniczając się przy tym do działań w Ukrainie.

Londyn i Paryż podjęły też decyzję o koordynacji odstraszenia nuklearnego, które pozostanie jednak niezależne ze względu na wymóg amerykańskiej zgody do wykorzystania przez Brytyjczyków własnego arsenału jądrowego. Powstanie za to specjalna Grupa Kierowania Nuklearnego pod wspólnym przewodnictwem administracji prezydenta Francji i kancelarii brytyjskiego premiera.

Każdy zatem, kto deprecjonuje znaczenie „koalicji chętnych”, nie wie, o czym mówi. Bądź jest wrogiem Europy i Polski, działającym na rzecz Rosji.

Po przedstawieniu szerszego tła pora na powrót do Polski. Jednym z zasadniczych wydarzeń w ratowaniu wspólnoty euroatlantyckiej i wspierania Ukrainy była wizyta przywódców Polski, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii w Kijowie (10 maja) oraz ich i Zełenskiego rozmowa z Trumpem. Wsparli pomysł Amerykanina, by wstępem do rozmów poko-

jowych było bezwarunkowe zawieszenie broni. A więc Ukraina się zgodziła, Rosja zaś odmówiła.

Finał tej koncepcji znamy. Po spotkaniu z Putinem na Alasce (15 sierpnia) Trump ogłosił, że zawieszenie broni do niczego dobrego nie prowadzi. Co innego porozumienie pokojowe, bo jedynie ono może zakończyć wojnę. Trump przystał zatem na jeden z kluczowych warunków Kremla, którego celem jest imitowanie rozmów o pokoju, by dalej atakować Ukraińców i osłabiać Europę.

Wbrew propagandzie PiS w Białym Domu nie obowiązuje „zapis na Tuska”. Być może polski premier nie jest Trumpowi miły, lecz Amerykanin nie nad takimi rzeczami przechodzi do porządku dziennego. Podobnym mitem jest też to, że administracja republikańska nie chce współpracować z polskim rządem. Jest na odwrót – Rubio nie jeden raz pokazał, że za partnera uważa Radosława Sikorskiego. I na razie nikogo więcej.

Przy rekonstrukcji rządu eksperci i dziennikarze dociekali, jaki polityczny cel miał Tusk, mianując ministra spraw zagranicznych wicepremierem. A cel był państwowy i dyplomatyczny: premier dał sygnał, że Sikorski przejmuje koordynację polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Nieco na wzór połączonych sfer odpowiedzialności Rubio.

I to właśnie Sikorski miał uczestniczyć w naradzie doradców do spraw bezpieczeństwa (19 sierpnia). Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenciekiewicz w ogóle nie mógł być brany pod uwagę, nawet gdyby rząd nań przystał, bo nie ma dostępu do informacji niejawnych w Polsce. Nie wspominając o dopuszczeniu do tajnych informacji natowskich.

W Polsce spotkanie w Białym Domu sprowadzono do rozmów przywódców państw, Unii Europejskiej i NATO. Nikt nie zwrócił uwagi na dwie narady, które odbyły się nazajutrz

„Podmiana” Tuska na Nawrockiego podczas telekonferencji z Trumpem (16 sierpnia), gdy Amerykanin referował europejskim przywódcom rezultaty rozmów z Putinem, wywróciła ten scenariusz. I dlatego w Waszyngtonie zabrakło nie tylko polskiego premiera, lecz również wicepremiera i szefa sztabu generalnego.

Jednym ruchem Warszawa pokazała, że jej władza jest sparaliżowana i niezdolna do udziału w najważniejszym przedsięwzięciu dla przyszłości Ukrainy, związania USA z NATO i wzmocnienia obronności Polski.

Trudno to nazwać inaczej niż dywersją. Bo wygraną jest Rosja, a nowy prezydent Polski pokazał, że – świadomie lub nieświadomie – chętnie występuje w roli jej pomocnika. Czy inspiracja, celowa bądź odruchowa, wynikająca ze światopoglądu i mentalności, wyszła z otoczenia Nawrockiego, czy też od prorosyjskich sił w pobliżu gospodarza Białego Domu – to powinny wyjaśnić służby oraz dyplomacja.

Nie wszystko stracone. W poniedziałek Rubio zwołał konferencję ministrów spraw zagranicznych w „waszyngtońskim” składzie. Obecny był również Sikorski. Cel – omówienie ukraińskiego spojrzenia na gwarancje bezpieczeństwa, choć dla niemal wszystkich uczestników jest ono doskonale znane.

Amerykański sekretarz stanu wykonał gest w stronę Polski i zademonstrował, że nasz kraj nie opuścił koalicji na rzecz zagwarantowania Ukrainie i Europie bezpieczeństwa z udziałem USA. I że on za partnera do rozmów w tej sprawie wciąż uznaje rząd i osobiście wicepremiera Sikorskiego.

Czy antyukraińskie weto Nawrockiego właśnie w poniedziałek miało związek z ostentacyjnym ruchem Rubio? Działanie prezydenta było na tyle emocjonalne i sprzeczne z interesami Polski, że nasuwają się rozmaite teorie. Lecz mniejsza o nie.

Swobodny przelot rosyjskiego drona w głąb terytorium Polski pokazał, jak bardzo krucha jest nasza obrona. I jak wiele zależy od ukraińskiego oporu, który im dłużej trwa, tym Polska i cała Europa stają się bezpieczniejsze.

Wzniesienie antyukraińskich fobii nie tylko bije w uchodźców i innych obywateli Ukrainy żyjących, pracujących i płacących podatki w naszym kraju.

Przed wszystkim osłabia Polskę w stopniu, jaki wrogowi trudno było osiągnąć z zewnątrz, prowadząc wojnę hybrydową, w tym kognitywną w serwisach społecznościowych.

Nawrocki, jego otoczenie, Konfederacja, „koroniarze” Grzegorza Brauna i liczni zwolennicy PiS z własnej i nieprzymuszonej woli skutecznie robią to, na co dotychczas bez większych efektów Rosjanie musieli wykładać miliardy. ●

Marcin Moźdzzonek zamienił piłkę na strzelbę

ROZDZIOBIA NAS SŁOMKI, ŁYSKI

• Potrzebujemy takich ludzi - zachwalał Marcin Moźdzzonek Sławomir Mentzen. Tu podczas konferencji prasowej w gmachu Sejmu, 4 czerwca tego roku

Grał o olimpijskie złoto, teraz gra o dobre imię myśliwych. Oraz o fotel w Sejmie?

Robert Jurszo

Polowanie nie jest krzywdzeniem zwierzęcia. Krzywdzeniem zwierzęcia jest tłuczenie kijem konia, który nie chce iść pod górę, do przodu czy gdziekolwiek. Jest katowanie kota, psa. To jest krzywdzenie zwierząt – powiedział Marcin Możdżonek, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego, w wywiadzie dla portalu sportowego „Weszło”.
Prowadzący rozmowę dziennikarz Paweł Paczul aż nerwowo się zaśmiał, tak był skonsternowany. I nic dziwnego, bo rzeczywiście trzeba mieć osobliwe wyobrażenie na temat tego, co krzywdą jest, a co nią nie jest, by twierdzić, że lecąc kaczką trafiona chmurą wystrzelonych z dubeltówki śrucin krzywdy nie doświadcza.

Ale to nie była pierwsza medialna szarża Możdżonka. Krótko po tym, jak został prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej, w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego” obwieścił, że „bez odpowiedniej gospodarki łowieckiej zwierzęta by nas po prostu zjadły”. Stąd kilka dni temu w Kanale Zero posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska zapytała go złościwie, czy może podać statystyki, ile osób zjadły słonki albo krzyżówki, na które polują myśliwi.

Trudno stwierdzić, czy to kiksy przypadkowe, wynikające z emocjonalnego zaangażowania, czy celowe, obliczone na rozgłos. Obie możliwości wchodzą w grę, bo Marcin Możdżonek, choć młody – dopiero stuknęła mu czterdziestka – broni betonowej wizji łowiectwa. I od samego początku deklaruje, że chce Polaków do łowiectwa przekonać. Zadanie niełatwe, bo wrażliwość społeczna dotycząca zwierząt w ostatnich latach zmieniła się w sposób, za którym polscy myśliwi mentalnie nie nadążają.

Jeszcze do niedawna Możdżonek kojarzony był tylko ze sportem. I to tym na najwyższym poziomie – jako kapitan stanął na czele reprezentacji siatkarzy, która w 2014 roku wywalczyła dla Polski złoto w mistrzostwach świata. Wcześniej, w roku 2009, razem z kolegami został mistrzem Europy.

Możdżonek to również dwukrotny olimpijczyk – w 2008 roku startował w Pekinie, cztery lata później w Londynie. Za wybitne osiągnięcia sportowe prezydent Lech Kaczyński przypiął mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, kilka lat później dostał Krzyż Oficerski. Po zakończeniu kariery sportowej w 2020 roku utworzył fundację swojego imienia i zajął się działalnością rolniczą na odziedziczonym po dziadkach gospodarstwie. A polować zaczął jeszcze jako czynny sportowiec, w 2013 roku, gdy grał w Skrze Bełchatów. Co go popchnęło do łowiectwa?

W „Przeglądzie Sportowym” opowiadał, że choć jest z Olsztyna, gdzie się wychował, to połowę wolnego czasu spędzał na gospodarstwie u dziadków, zresztą jest rolnikiem z wykształcenia. – A samo gospodarstwo mam przy lesie. Więc mam trzy światy: leśnictwo, łowiectwo i rolnictwo, które się zazębiają na co dzień i są mi bardzo bliskie i które doskonale znam – zaznaczył.

Z kolei w 2023 roku w wywiadzie dla magazynu „Brac Łowiecka” podkreślał, że łowiectwo to jego pasja i chciałby, by jego synowie „mogli doświadczać jego uroków, tak jak my możemy dzisiaj”.

A gdy Żurnalista, gospodarz popularnego kanału z wywiadami na YouTube, zapytał go, co się czuje, gdy zabija się pierwsze zwierzę, odpowiadał, że on koncentruje się na tym, by „ulokować kulę w takim miejscu, by zwierzę miało jak najszybszą śmierć”. Po

czym bycie myśliwym określił jako filozofię życia, której istotnym elementem jest życie zgodnie z naturą.

Możdżonek nie zadowolił się rolą szeregowego myśliwego. Dwa lata temu zdecydował się kandydować na stanowisko prezesa Naczelnej Rady Łowieckiej – organu nadzorującego działalność Zarządu Głównego PZŁ. – Chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że znajdujemy się w trudnej sytuacji, zwłaszcza wizerunkowej. Ludzie spoza naszego kręgu widzą w naszym środowisku tylko waśnie, które odbierają nam wiarygodność i stawiają nas w złym świetle – mówił „Braci Łowieckiej”.

– Wieloletnie zaniechania osób odpowiedzialnych za PZŁ spowodowały, że nad myślistwem zebrały się czarne chmury, a zdaje się, że niektórzy tego w ogóle nie dostrzegają – wyjaśniał, dlaczego postanowił, jak to ujął, „stanąć do walki o lepszą przyszłość dla myśliwych”.

Wybór Możdżonka na prezesa był zrozumiałą, bo PZŁ potrzebował osoby obdarzonej społecznym szacunkiem, którym opromieni upadający w społeczeństwie wizerunek myśliwego. Były siatkarz objął stanowisko w niewrażliwym momencie – po okresie, gdy w PZŁ silne były wpływy ziobrystów Suwerennej Polski, co generowało silny wewnętrzny konflikt w samej organizacji i środowisku myśliwych.

Jednego Możdżonkowi nie można odmówić, mianowicie dynamizmu. Jako reprezentant myśliwych działa tak, jak działał jako reprezentant polskiej siatkówki – z impetem i pomysłem. To z jego inicjatywy w ubiegłym roku została przygotowana „Strategia równoważonego łowiectwa w Polsce do roku 2030 z perspektywą do roku 2035”, zawierająca kierunki reformy samego Związku i całego polskiego łowiectwa.

Program reformatorski jest ambitny, wręcz rewolucyjny, ale to rewolucja konserwatywna: nowy prezes nie tylko chce odzyskania praw, które myśliwi utracili w ostatnich latach, ale wyciąga ręce po więcej przywilejów.

„Plan Możdżonka” zawiera między innymi: przywrócenie możliwości biernego uczestnictwa dzieci w polowaniach, zalegalizowanie polowań z łukiem, poszerzenie listy zwierząt, do których myśliwi mogliby strzelać, walkę z planowanym zakazem polowań na ptaki, który od lat proponują organizacje przyrodnicze zrzeszone w koalicji Niech Żyją i który wspiera wiceminister klimatu i środowiska Mikołaj Dorożala.

Konflikt między Możdżonkiem a nadzorującym łowiectwo wiceministrem był kwestią czasu. Wywodzący się z Polski 2050 polityk od początku urzędowania mówił, że zamierza reformować polskie łowiectwo. Jak się szybko okazało, w duchu propozycji lansowanych przez przyrodników i aktywistów krytycznie nastawionych do łowiectwa.

Dorożala już na początku 2024 roku, w pierwszych tygodniach rządu Tuska, zapowiadał okrojenie listy łownej ptaków (początkowo o cztery, a ostatecznie o siedem gatunków – jarząbki, krzyżówki, cyraneczki, głowienki, czernice, słonki i łyski) i ograniczenia w polowaniach zbiorowych.

Wszystkie propozycje wywołały gwałtowną reakcję PZŁ. Możdżonek z łowczym krajowym Eugeniuszem Grzeszczakiem wystąpił w materiale wideo, którego wymowa była jasna: no pasaran. – Ministerstwo przedstawiło propozycje zmian ograniczające wykonywanie polowań, które są nie do zaakceptowania przez nasze środowisko – grzmiał Możdżonek.

Po publikacji tego nagrania Grzeszczak wylądował nawet na dywaniku w resorcie – w kuluarach mówiło się o jego dymisji – lecz ostatecznie awantura rozeszła się po kościach. Ale między Dorożalą a Możdżonkiem i całym PZŁ rozgorzał konflikt, który trwa do dziś.

– On od samego początku deklarował, że nie lubi myśliwych, co widać po jego czynach i słowach. Jesteśmy przez niego wręcz szykanowani – mówił Możdżonek w lutym na antenie Radia Maryja, odnosząc się do zaproponowanego przez Dorożalę projektu rozporządzenia skreślającego z listy łownej siedem gatunków ptaków.

Prezes NRL wydaje się szczerze przekonany, że w Polsce mamy do czynienia z nagonką na myśliwych – w szczególności w mediach. – Mi grożono utratą kontraktów reklamowych. Innym członkom Związku, którzy są rozpoznawalni z telewizji, grożono zerwaniem umów sponsorskich. Myśliwi spotykają się z dużym hejtem i stąd ich obawy, aby mówić innym o tym, że należą do PZŁ. Są różne powody takiego zachowania – na przykład nieprzychylna atmosfera w pracy, ostracyzm społeczny, bo ludzie nie rozumieją tego tematu – mówił w lutym magazynowi „Holistic News”.

Olimpijczyk, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej, kawaler Orderu Odrodzenia Polski w mediach: „Bez odpowiedniej gospodarki łowieckiej zwierzęta by nas po prostu zjadły”, „Są już przypadki ludzi pokąsanych, a nawet zagryzionych przez wilki”, a „słonki są bardzo smaczne, polecam rosół, pieczone”

Kiedy kilka dni temu myśliwy zastrzelił człowieka przed jego własnym domem, Możdżonek – choć wskazywał, że wbrew deklaracji zabójcy nie da się pomylić człowieka z dzikiem – bronił myśliwych przed obowiązkiem badań lekarskich. Przekonywał, że wypadki śmiertelne podczas polowań w ostatnich latach nie wynikały ze złego stanu zdrowia myśliwych, ale łamanie przez nich przepisów, w tym regulaminu polowania.

Odpowiedziała mu Fundacja Niech Żyją, przypominając na Facebooku, że okresowe badania obejmują także badania psychologiczne, w tym badanie poziomu impulsywności, agresywności, dojrzałości społecznej i emocjonalnej, a także umiejętności radzenia sobie w sytuacjach trudnych. „Bo może ktoś ma problem z impulsywnością i agresywnością i dlatego nie szanuje przepisów prawa?” – zapytała organizacja.

Zdarza się Możdżonkowi bronić łowiectwa w sposób co najmniej dziwny. Niedawno w Kanale Zero na pytanie posłanki Żukowskiej o to, jakie szkody łowieckie wyrządzają słonki, że trzeba na nie polować, prezes NRL odpowiedział: – Słonki to akurat bardzo ciekawy przypadek, są bardzo smaczne. Polecam rosół, pieczone.

Trudno powiedzieć, czy był to żart, czy uwaga serio, niemniej próba obrony sensowności polowań na ten gatunek – rocznie zabija się jakieś 200 słonek – przez odwolanie się do ekstrawaganckich upodobań kulinarnych wydaje się w XXI wieku ryzykowna.

Możdżonkowi zdarza się też być po prostu na bakier z faktami. Jak w przypadku wilków. – Wilki zagryzają krowy, konie, kozy, psy – i to nawet te w budach. Atakują ludzi, są już przypadki ludzi pokąsanych, a nawet zagryzionych przez wilki. Wilka w Polsce jest zdecydowanie za dużo – mówił w polonijnym „Nowym Dzienniku”.

O ile pierwsze zdanie jest prawdziwe – zdarza się tym drapieżnikom zagryzać

zwierzęta hodowlane oraz towarzyszące – to przynajmniej od II wojny światowej nie znamy przypadku, by wilk w Polsce zabił człowieka.

Bywa, że Możdżonek w sposób niewybredny atakuje organizacje ekologiczne. W „Śniadaniu Rymanowskiego”, jednym z flagowych talk-show Polsat News, przekonywał, że różne organizacje „ekoaktywistów” są finansowane z zagranicy i że jest w tej sprawie prowadzone „dochodzenie”. Ale konkretów nie podał.

Szybko okazało się, że ambicje Możdżonka są również polityczne. W 2024 roku ubiegał się o fotel prezydenta Olsztyna. Bez powodzenia, ale uzyskał mandat radnego. Jako bezpartyjny startował z ramienia własnego komitetu: KWW Marcina Możdżonka – Lepszy Olsztyn.

Zaskoczenie przyszło w tym roku, kiedy olimpijczyk poparł Sławomira Mentzena. „Mam dość polaryzacji i funkcjonowania w ciągłym, politycznym konflikcie. Dlatego w nadchodzących wyborach prezydenckich popieram Sławomira Mentzena” – napisał w serwisie X. Były kapitan reprezentacji Polski wystąpił również w spocie promującym kandydaturę lidera Konfederacji. – Najpierw cię ignorują, potem się z ciebie śmieją, później z tobą walczą, a na końcu wygrasz – mówił w politycznej reklamie. Było to na swój sposób zabawne, ponieważ słowa przypisywane wegetarianinowi i pacyfiście Mahatmie Gandhiemu wypowiadał myśliwy w spocie radykalnie prawicowego polityka.

Choć po emisji spotu pojawiły się wątpliwości prawne, czy obecny w nim fragment transmisji sportowej został użyty legalnie, Możdżonek powiedział, że nie żałuje udziału w nagraniu.

Co innego grupa, którą reprezentuje. Poparcie prezesa dla Konfederacji nie spodobało się części myśliwych. Zdaniem niektórych z nich taka deklaracja polityczna będzie rzutować na społeczny odbiór całego środowiska.

Paweł Gdula, redaktor naczelny portalu łowieckiego „Wildmen”, napisał nawet w felietonie, że Możdżonek z PZŁ „świadomie robi partyjną przybudówkę”. „Nie wolno dopuścić do kojarzenia związku z jednym ugrupowaniem politycznym, bo to jest droga do totalnej porażki. Jeśli nasz były sportowiec chce się bawić w politykę, to na własny koszt i niech zrezygnuje z zasiadania w Naczelnej Radzie Łowieckiej!” – napisał Gdula.

Ostatecznie Możdżonek dołączył do Nowej Nadziei Mentzena, jednej z dwóch głównych – obok narodowców Krzysztofa Bosaka – części Konfederacji. Siatkarz działacz i biznesmen polityk mieli się poznać kilka lat temu na imprezie „Piwo z Mentzenem”.

– Potrzebujemy właśnie w polityce i bardzo chciałbym mieć w swojej partii ludzi takich jak Marcin Możdżonek, ludzi ambitnych, pracowitych, potrafiących grać drużynowo, którzy osiągnęli już wiele sukcesów i potem z tym swoim doświadczeniem chcą zacząć pracować dalej dla Polski w polityce – zachwalał nowego sojusznika Mentzen.

Co Możdżonek chce w ten sposób ugrać? Prawdopodobnie – uważa Tomasz Kurs z olsztyńskiej „Wyborczej” – wejście do Sejmu. Osobiste ambicje prezesa idą w parze z ideową zbieżnością – w ostatnich latach posłowie Konfederacji otwarcie, również z mównicy sejmowej i podczas sejmowych komisji, udzielali myśliwym poparcia.

Pod koniec lipca pojawiła się kolejna rewelacja – media dostały przeciek, że reprezentant myśliwych ma zostać doradcą prezydenta Karola Nawrockiego. Możdżonek zaprzeczył, ale zadeklarował gotowość współpracy – „bo tym się zajmuję na co dzień” – w dziedzinach sportu, bezpieczeństwa i ochrony przyrody. Można zgadywać, że miał na myśli łowiectwo.

Wygląda na to, że Marcin Możdżonek gotów byłby zrobić wiele, byle nie dopuścić do zmian w łowiectwie, których oczekują przyrodnicy. ●

PUTINOWSKI REŻIM NA DZIŚ NIETYKALNY

Z ŻANNĄ NIEMCOWĄ
ROZMAWIA WIKTORIA BIELIASZYN



FOT. PAP/EPRA/MARTIN DIVISEK

• Zanna Niemcowa podczas uroczystości nadania placowi obok ambasady rosyjskiej w Pradze imienia jej ojca. (27.02.2020).

Karać trzeba tych, którzy są winni. Tymczasem państwa europejskie karzą też przeciwników Putina – mówi Zanna Niemcowa, dziennikarka i córka słynnego rosyjskiego opozycjonisty Borysa Niemcowa, zamordowanego w Moskwie w 2015 roku.

WIKTORIA BIELIASZYN: Niedawno przeprowadziła się pani do Pragi. Dlaczego akurat Czechy?

ŻANNA NIEMCOWA*: – Fundacja im. Borysa Niemcowa od dawna współpracuje z Uniwersytetem Karola. W 2016 roku poznałam rusycystę i historyka Marka Prihoda, który jest wykładowcą na tu-tejszym wydziale filozofii. Prihoda wpadł na pomysł, by wspólnie z moją fundacją utworzyć na wydziale filozofii Uniwersytetu Karola centrum studiów nad Rosją, w ramach którego mogliśmy organizować różne wydarzenia. W efekcie w latach 2018 – 2024 w Pradze odbywała się co roku „letnia szkoła dziennikarstwa”, a także seria warsztatów, które prowadziliśmy w porozumieniu z uniwersytetem Stanforda.

Z biegiem lat, jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny, doszliśmy do wniosku, że warto by na uniwersytecie Karola utworzyć kierunek studiów magisterskich poświęconych Rosji, który nie skupiałby się – jak większość – na historii, kulturze i języku, ale na współczesności. I to nam się w 2023 roku udało.

Tylko, kto chce dzisiaj wiązać swoją przyszłość zawodową z Rosją?

– Przede wszystkim chcą się u nas uczyć Rosjanie. Powód jest oczywisty: w Rosji zniszczono nauki humanistyczne. Wszyscy rektorzy szkół wyższych podpisali list popierający wojnę przeciwko Ukrainie, a wielu świetnych wykładowców, w ramach sprzeciwu wobec wojny, emigrowało z kraju. My, w odróżnieniu od rosyjskich uniwersytetów, oferujemy tym osobom możliwość nauki i rozwoju w środowisku, w którym obowiązuje akademicka wolność, gdzie nie jest narzucana jaka-kolwiek ideologia i w którym możliwa jest współpraca z innymi zagranicznymi uczelniami oraz naukowcami.

Wielu Rosjan jest przeciwko wojnie i marzy o tym, by móc uczyć się w wolnym, bezpiecznym kraju.

Myślę też, że kierunek przyciąga młodych również dlatego, bo wiedzą, że w przyszłości będą bardzo potrzebni specjaliści znający się na Rosji, która jest dzisiaj dla świata poważnym zagrożeniem. Zdają sobie sprawę z tego też obcokrajowcy, mamy partnerstwo z uniwersytetem Stanforda w ramach programu wymiany studenckiej SURF, który cieszy się popularnością wśród amerykańskich studentów.

Dlaczego?

– Uważam, że ważne jest zrozumienie procesów politycznych, społecznych i gospodarczych zachodzących w Rosji oraz roli mediów. Nie mniej ważne jest zrozumienie Rosji w kontekście innych krajów.

Istnieją różne ścieżki kariery dla osób, które kończą nasz program.

Po pierwsze, mają fantastyczną okazję, aby podszkolić swój angielski.

Po drugie, mogą nadal zajmować się Rosją, pracować w mediach lub think tankach jako badacze, mogą tworzyć własne organizacje pozarządowe.

Po trzecie, nasi studenci nawiązują międzynarodowe kontakty, np. w ramach wymiany studenckiej z USA. Te kontakty mogą się przydać. Jestem przekonana, że w Rosji, jeśli nastąpi w niej demokratyczna transformacja, potrzebne będą tysiące wykwalifikowanych osób.

Chciałaby pani, aby absolwenci stworzonego przez panią programu wpłynęli w przyszłości na politykę Rosji, jeśli putinowski reżim upadnie?

– Tak, ale chciałabym też, żeby nasi studenci wykorzystywali swoją wiedzę, umiejętności i kontakty w przyszłości nie tylko w Rosji. Świat jest ogromny.

Słyszałam, że w Czechach nie wszystkim spodobał się pomysł otwierania na tu-tejszym uniwersytecie tego kierunku.

– Kiedy Uniwersytet Karola akredytował program naszych studiów magisterskich,

pojawiła się fala krytyki ze strony Białorusinów i Ukraińców. Ale spotkałam się z liderem społeczności białoruskiej w Pradze, porozmawialiśmy i, moim zdaniem, nie ma już żadnych wątpliwości co do nas. Odbyłam też rozmowę z liderem społeczności akademickiej Ukrainy w Czechach, który udzielił mi kilku trafnych rad.

Nie boję się żadnej krytyki, wszystko jest w porządku.

W jednym z niedawnych wywiadów wspominała pani o problemach wynikających z polityki migracyjnej Czech, a mianowicie faktu, że czeskie władze nie wydają Rosjanom wiz.

– Nie udało się ich rozwiązać. Uważam, że czeskie władze popełniają błąd, bo to, co robią, to właściwie ban na wizy dla obywateli Rosji i Białorusi. Próbowалаm wywalczyć cokolwiek dla naszego programu, chciałam, żeby zrobiono dla nas wyjątek, ale to się nie udało. Osoby, które do nas aplikują, czyli absolwenci studiów licencjackich, to przecież nie są osoby z wieloletnim doświadczeniem opozycyjnym czy aktywnym, a to jest obowiązkowy warunek uzyskania wizy w ramach programu „Społeczeństwo obywatelskie”.

Jakie warunki musiałby spełnić potencjalny student, by otrzymać czeską wizę?

– Dzisiaj wizę można dostać, jeśli jest się prześladowanym w Rosji aktywistą, obrońcą praw człowieka, dziennikarzem. I nawet, jeśli ma się takie doświadczenia, to sam proces jest bardzo długi, żmudny, restrykcyjny i trudny. Do tego stopnia, że właściwie możemy mówić o obowiązywaniu zakazu na wydawanie wiz dla Rosjan.

W efekcie, mimo dużego zainteresowania naszym programem w Rosji, nie możemy do Czech sprowadzać studentów poza tymi, którzy już tu mieszkają. To szkodliwe. I jest w tym pewna niekonsekwencja, bo z jednej strony władze mówią nam, że popierają nasze inwestowanie w ten program, a z drugiej, stwarzają takie warunki, że jego funkcjonowanie jest coraz trudniejsze. Dla uniwersytetu jakoś studentów jest najważniejsza, w studentach tkwi jego siła. Jak się ma do tego sztuczne stwarzanie problemu dla przyjmowania studentów, które chowa się za opowieściami o bezpieczeństwie?

Ale jednocześnie Czechy na własnej skórze doświadczyły w ostatnich latach działalności rosyjskich służb, co przełożyło się na wzrost nieufności, jeszcze przed wojną. Sama Rosja również wpi-sała Czechy na listę „nieprzyjaznych państw”. Czy pani zdaniem nie usprawiedliwia to polityki czeskich władz?

– Rzecz w tym, że przed wojną wpuszczano bez jakiegokolwiek kontroli tyle osób... Zgadzam się z tym, że trzeba uważnie sprawdzać, kogo się wpuszcza, ale bezpieczeństwo, to nie jest polityka wizowa, tylko przede wszystkim praca służb bezpieczeństwa.

Chciałabym zwrócić uwagę na słowa prezydenta Czech, który udzielił kilka miesięcy temu wywiadu BBC. Mówił w nim, że z rosyjską opozycją trzeba rozmawiać, że trzeba pytać Rosjan, jakie mają poglądy i brać to pod uwagę. I ja się z tym zgadzam. Zobaczymy, czy to tylko słowa, czy będą też jakieś działania. Mnie, jak na razie, nikt o poglądy nie pytał.

Inną kwestią jest to, że istnieje strefa Schengen. I bądźmy szczerzy, wiele państw wydaje Rosjanom wizy – w ubiegłym roku to były rekordowe liczby!

Z wizą Schengen można się dowolnie w jej ramach przemieszczać. Widzę tu brak konsekwencji.

Dane, na które się pani powołuje nie dotyczą przypadkiem państw takich jak Węgry czy Słowacja, które nie ukrywają swoich prorputinowskich sympatii?

– Najwięcej wiz Schengen Rosjanom wydają kraje takie jak Francja, Hiszpania i Włochy.

Czy brała pani pod uwagę, że taki kierunek studiów mógłby być celem rosyjskich agentów, którzy chcieliby przeniknąć do tego środowiska?

– To zadanie służb bezpieczeństwa, by do tego nie dopuścić. Słyszę w pani wypowiedzi podtekst, że nasz program stwarza zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Czech. To nie pierwszy raz, kiedy spotykam się z takim zarzutem. Uważam jednak, że to nadmiarowe. Przeciwnie, moim zdaniem wzmocnienie ekspertyzy w kwestii Rosji jest czymś pozytywnym i pomocnym.,

Jak odnosi się pani do wypowiedzi prezydenta Petra Pavla, który w jednym z wywiadów mówił, że mieszkający na Zachodzie Rosjanie powinni być bardzo uważnie obserwowani?

– Ta wypowiedź, o ile dobrze pamiętam, była mocniejsza, bo czeski prezydent nawiązał do II wojny światowej, kiedy tysiące Japończyków zostało internowanych w USA. Cóż mam powiedzieć? Negatywnie się do tej wypowiedzi odnoszę, uważam, że była skandaliczna i nie wiem, jaki komunikat chciał w ten sposób przekazać.

Uważam oczywiście, że kwestie bezpieczeństwa są bardzo ważne i że służby bezpieczeństwa muszą pracować, ale nie rozumiem, jak taka polityka wizowa wobec studentów naszego programu miałaby, zwiększyć bezpieczeństwo w kraju.

Jeszcze jakoś mogę znaleźć zrozumienie dla innej decyzji władz Czech, które nie dopuszczają teraz studentów z Rosji na tzw. „techniczne kierunki strategiczne”, gdzie – być może – przekazywane są jakieś sekretne informacje, ale cała reszta?

Pogląd, że paszport czyni człowieka bardziej skłonny do popełniania przestępstw jest dla mnie dziwny i niezrozumiały. Doskonale przecież wiemy, że prawdziwi agenci mają i wizy Schengen, i zagraniczne paszporty, i zezwolenia na stały pobyt – wszystko, co im potrzebne.

Kiedy ojciec był politykiem, były inne czasy. Cała opozycja była w Rosji i miała konkretne cele. Teraz problemem opozycji nie jest brak jedności, ale perspektyw

Czy spotkała się Pani z negatywną oceną czy komentarzami ze względu na posiadanie rosyjskiego paszportu?

– Nie. Myślę, że takich problemów nie mają ludzie, którzy otwarcie mówią o swoim stanowisku wobec wojny i podejmują działania, których celem jest udzielanie pomocy Ukrainie i Ukraińcom. A ja to robię. Fundacja im. Borysa Niemcowa przyznała stypendia kilkunastu studentom z Ukrainy, za-trudniamy też obywateli Ukrainy.

Wsparliśmy też fundację MTU Volna with Ukraine to Victory and Prosperity, założoną przez Andrieja Wolnę, rosyjskiego traumatologa, który pracuje obecnie w Ukrainie i leczy m.in. ukraińskich żołnierzy oraz ofiary rosyjskiej agresji.

Myślę, że zrobiłam wystarczająco dużo, by paszport nie był dla mnie obciążeniem. Inną kwestią są oczywiście osobiste odczucia i obciążenie związane z rosyjską agresją przeciwko Ukrainie. Czuję pod tym względem swoją odpowiedzialność, to uczucie cały czas mi towarzyszy. Jednocześnie nic na to nie poradzę, że mam rosyjski paszport.

Historia pomocy, o której pani wspomniała, była głośna. Pieniądze, które przekazała pani na rzecz ukraińskich szpitali, pochodziły od rosyjskiego oligarchy Michaiła Fridmana, który przed laty wsparł Fundację im. Borysa Niem-

cowa. Fridman, to przecież biznesmen, który po wybuchu pełnoskalowej wojny został objęty sankcjami.

– Zaczniemy od tego, że darowizna została przekazana w 2018 roku, czyli na długo przed wybuchem wojny w Ukrainie. Po nałożeniu sankcji, Michaił Fridman w pierwszych tygodniach wojny poprosił mnie o nagranie oświadczenia w jego obronie, ale odmówiłam. W 2025 roku z jakiegoś powodu powiedział portalowi Meduza, że pomógł fundacji Niemcowa. Po tym zaproponowałam mu zwrot pieniędzy, ale powiedział, że ich nie przyjmie. Zrobiłam to, ponieważ nie chcę, aby argument o wsparciu Fundacji Niemcowa był wykorzystywany przez niego w wojnie sankcyjnej. W rezultacie postanowiłam przeznaczyć te pieniądze na cele charytatywne.

Uważam, że jeśli przekazuje się na coś datek, to nie wiąże się on z możliwością stawiania później jakichś warunków. Można oczywiście zwrócić się z prośbą o pomoc, ale należy pamiętać, że druga osoba może odmówić jej wypełnienia. I ja to zrobiłam.

Obraził się?

– Wydaje mi się, że tak.

Ale jak doszło do tego, że rosyjski oligarcha, człowiek z otoczenia Władimira Putina, wspierał finansowo fundację im. Borysa Niemcowa?

– Fridman wspierał różnych ludzi. Pieniądze, które przekazał mi na rozwój fundacji nie były wsparciem działań rosyjskiej opozycji, ale pomocą okazaną córce jego zabitego przyjaciela, bo Fridman taki stosunek miał do mojego ojca. Nie uważam, że popełniłam błąd, prosząc go wtedy o pieniądze. Nie miałam innego wyjścia. Co więcej, Fridman nie był w tamtym czasie postrzegany tak, jak dzisiaj. Nie chcę jednak, by dzisiaj wykorzystywał fakt, że kiedyś mi pomógł, w walce o swoje interesy.

Jak odniósł się do tego, że pieniądze przekazała pani na rzecz Ukrainy?

– Myślę, że spokojnie. Nie konsultowałam się z nim w tej sprawie. Kiedy chciałam mu je zwrócić, odmówił i powiedział, że mogę nimi rozporządzać tak, jak uważam za słuszne.

Pamiętam, że kiedy pani ujawniła sprawę z Fridmanem, wiele osób było zdziwionych. Jeszcze bardziej dziwią dzisiaj ustalenia polskiej prokuratury, z których wynika, że zaprzyjaźniony z Michałem Chodorkowskim, byłym oligarchą, a dzisiaj jedną z twarzy rosyjskiej opozycji, biznesmen Leonid Newzlin, miał „zainspirować” niedawną napaść na Leonida Wolkowa, współpracownika Aleksieja Nawalnego.

– Leonid Newzlin nie jest przedstawicielem rosyjskiej opozycji, ale ustalenia polskiej prokuratury są zatrważające, choć nie powiedziałabym, że mnie zaskoczyły. Fundacja Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego już wcześniej wysuwała takie podejrzenia i, bazując na przedstawianych materiałach, nie miałam specjalnych wątpliwości. Nauczyłam się już, że wszędzie spotkać można zarówno ludzi, którym można ufać, jak i takich, którzy na zaufanie nie zasługują. Cieszę się przede wszystkim, że Leonid Wolkow ten atak przeżył i że jest dzisiaj zdrowy.

Samo zdarzenie uderzyło w wizerunek rosyjskiej opozycji. I pokazało, że zagrożenie czyha na nią nie tylko ze strony Kremla.

Pani również miała trudne doświadczenia. Pablo Gonzalez, z którym była pani przez pewien czas w relacji romantycznej, przedstawiał się co prawda jako dziennikarz, ale okazało się, że jest rosyjskim agentem. I to takim, którego Władimir Putin, tak jak i pozostałych szpiegów, którzy wrócili do Rosji w zamian za uwolnionych i wysłanych na Zachód więźniów politycznych, powitał osobiście na lotnisku.

– Tak, ale nie chcę rozmawiać o historii z Pablo Gonzalezem. To już dawne dzieje, zdążyłam to dziesięć razy przeżyć. Powiedziałabym po prostu, że każda osoba publiczna, niezależnie od kraju pochodzenia, jest narażona na ryzyko. Najważniejsze to być uczciwym i szczerym. Jeśli słowa, które wygłaszamy, nie są sprzeczne z naszymi rzeczywistymi czynami, to nic ani nikt nie będzie w stanie nas zdyskredytować.

Ale fakt, że bliska pani osoba okazała się być nie tylko kimś zupełnie innym, ale w dodatku agentem rosyjskich służb, który uważnie panią obserwował i pisał na pani temat raporty, nie mógł chyba nie pozostawić jakiegoś śladu. Czego to doświadczenie panią nauczyło?

– Mam przede wszystkim świadomość, że nawet, jeśli raz coś takiego mi się w życiu przytrafiło, to nie oznacza, że już jestem bezpieczna. Takie doświadczenie, to nie jest magiczna szczepionka, która sprawia, że nabywamy trwałą odporność. Na pewno z większą uwagą podchodzę do ludzi, z którymi albo zaczynam pracować, albo mam relację prywatną: sprawdzam jego dotychczasowe doświadczenie, przyglądam się znacznie bardziej niż kiedyś.

Była Pani przesłuchiwana w sprawie Gonzaleza przez polską prokuraturę.

– Przesłuchanie trwało osiem godzin. W trakcie miałam okazję zapoznać się z dokumentami, przeczytać raporty, które o mnie pisał.

To niesamowicie dziwne doświadczenie: wejść do głowy innego człowieka i zobaczyć, jak cię postrzega i co o tobie myśli.

I wie pani co? On właściwie o mnie tam nic złego nie pisał, nawet w tych raportach widać, że jestem porządnym człowiekiem.

Co w nich było?

– Pablo zdawał relację głównie z tego, kto się z kim spotkał, co mówił, wystawiał ludziom i temu wszystkiemu jakąś ocenę, którą, jak zauważyłam, częściowo zapożyczał wyraźnie niekiedy ode mnie. Całość miała formę, powiedziałabym, sprawozdania z grantu z elementami stylu potocznego. W pewnym momencie jakoś raportów znacznie spadła.

Domyśla się pani dlaczego?

– To było tuż po otruciu Skripalów, kiedy wielu rosyjskich agentów zostało zdemaskowanych. Pablo był widocznie wtedy dla rosyjskich służb na wagę złota i podejrzewam, że się wyluzował. W tych raportach nie było tajnych informacji, za to dużo jego własnych opinii.

Pablo Gonzalez znalazł się na wolności podobno dzięki pani.

– Kiedy była przygotowywana lista osób, które miały wziąć udział w wymianie, zaproponowałam polskim władzom, bo to w Polsce, w lutym 2022 r., Gonzalez został zatrzymany i aresztowany, by oddały go w zamian za Władimira Kara-Murzę. Nie sądzę, że ta decyzja została podjęta na podstawie mojego wniosku, wiele osób było zaangażowanych w tworzenie listy, ale faktem jest, że zgłosiłam tę propozycję.

Gonzalez miał dwa wykłady w letniej szkole niezależnego rosyjskiego dziennikarstwa, którą przez kilka lat prowadziła pani w Pradze. Od tego roku szkoły już nie ma.

– Nie ma to żadnego z nim związku. Zrezygnowałam z tego pomysłu, bo media na całym świecie dotknął kryzys, a w Rosji sytuacja jest jeszcze gorsza.

Rosyjskie władze, stosując blokady i walcząc z technologią VPN, dość skutecznie odizolowały niezależne rosyjskie media działające z zagranicy od czytelników w kraju. Zablokowały też YouTube i myślę, że w najbliższym czasie taki sam los spotka niekontrolowane przez władze komunikatory.

Telegram, bo o nim głównie myślę, odgrywa ogromną rolę, jeśli chodzi o zasięgi

niezależnych mediów w Rosji – to tam Rosjanie szukają przede wszystkim informacji. Władze zdają sobie z tego sprawę, dlatego będą usiłowały zmusić ludzi do korzystania z państwowego, filtrowanego przez służby komunikatora, który powoli wchodzi na rosyjski rynek.

Ale to nie jedyny problem. Dziennikarzom, którzy emigrowali z kraju, coraz trudniej pracuje się na odległość, dostęp do informatorów staje się coraz bardziej ograniczony. Kolejnym problemem jest finansowanie: zanim władze wprowadziły wojenną cenzurę i szereg represyjnych przepisów, niezależne rosyjskie mediamogły utrzymywać się z reklam i subskrypcji. Teraz to niemożliwe – ten model biznesowy został zniszczony. Na domiar złego, wsparcie finansowe, które okazywały niezależnym redakcjom władze USA, wraz z dojściem do władzy Donalda Trumpa, również zostało odcięte. Jak mogę w takich warunkach nauczać niezależnego dziennikarstwa młodych ludzi, którzy nie będą mieli pracy? Dokąd ci ludzie mieliby później pójść?

Niezależne rosyjskie media rzeczywiście regularnie zwalniają ludzi, apelują o wsparcie finansowe, szukają grantów. Pytanie, czy te media w ogóle będą komuś potrzebne, skoro – jak sama pani zauważyła – władze skutecznie odizolowały je od ludzi w kraju?

– Moim zdaniem tak. Łamy niezależnych rosyjskich mediów, to dzisiaj jedyna duża platforma, na której może toczyć się jakakolwiek dyskusja społeczna. To bardzo ważne, bo są tematy, których zachodnie media nie będą podejmować albo nie będą miały możliwości, by z należytą wnikliwością je opisywać.

Podam przykład: zajmuję się obecnie problemem zamrożonych rosyjskich aktywów osób prywatnych nieobjętych sankcjami, których wartość szacuje się na dziesiątki miliardów euro. I mowa nie tylko o środkach należących do osób objętych sankcjami, bo sprawa dotyczy ok. pięciu milionów osób, ale też o rosyjską klasę średnią, która przez lata inwestowała m.in. w zagraniczne papiery wartościowe. Ten temat niemal wcale nie jest podnoszony przez zachodnie media, ale już przez niezależne rosyjskie – tak. Tekst, który napisałam dla Meduzy wywołał ogromne zainteresowanie, bo to coś, co dotyczy milionów osób. Gdzie mamy o tym rozmawiać, jeśli nie na łamach niezależnych rosyjskich redakcji?

W Rosji nie ma przecież pięciu milionów oligarchów. Co można powiedzieć o tych ludziach?

– Rosja jest krajem bardzo rozwiniętym, jeśli chodzi o technologie finansowe. Akcje Tesly można było kupić naciskając dwa guziki, poziom cyfryzacji usług bankowych również jest niezwykle rozwinięty. Jedno-

The Eastern Frontier Initiative

• **Artykuły powstały w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).**

TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.

• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellincat.

• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

ześnie poziom zaufania do funduszy emerytalnych jest niski. Rosjanie wolą samodzielnie odkładać pieniądze na emeryturę i nie liczą specjalnie na państwo.

W Rosji były podejmowane działania, by zainteresować społeczeństwo rynkiem finansowym, wprowadzono różne ulgi podatkowe dla tych, którzy inwestowali, co poskutkowało napływem małych i średnich inwestorów. Część dużych banków rozpoczęło na szeroką skalę reklamę inwestycji w zagraniczne instrumenty finansowe.

Ale dlaczego aż tyle osób na poważnie się tym zainteresowało?

– Bo było to dobre zabezpieczenie przed inflacją rubla. To się stało wręcz modne. Jak duża jest skala odczułam, kiedy udzieliłam na ten temat wywiadu rosyjskim niezależnym mediom. Po emisji odezwalo się do mnie dwieście osób. Mam poczucie, że w gruncie rzeczy sankcje zostały nałożone na całą rosyjską klasę średnią, ale wśród osób, których aktywa zostały w ten sposób zamrożone są też ludzie biedniejsi.

Co ma pani na myśli?

– Odkryłam, że w zagraniczne papiery wartościowe inwestowali niekiedy nawet rosyjscy emeryci, którzy kupili np. jedną akcję Apple czy Tesli. Paradoksalnie, wśród osób, których sankcje objęły są też cudzoziemcy! Z naszych danych wynika, że tak oszczędności zamrożono m.in. jednej Ukraince, która przed inwazją mieszkała w Rosji, a także obywatelom Kazachstanu, bo oni również korzystali z rosyjskiego systemu finansowego. To duży błąd.

Rozumiem, że te środki były wdrażane na samym początku inwazji, ale minęły trzy lata, a problem nie został rozwiązany. Powinien zostać wprowadzony mechanizm, który pozwoli na proste i tanie odblokowanie tych aktywów, przynajmniej dla ludzi mieszkających poza Rosją. Bo to szkodzi.

Dlaczego?

– Moim zdaniem to szkoda polityczna. Duża część osób, których aktywa zostały zamrożone, to potencjalni zwolennicy demokratycznych przemian w Rosji. Czemu karzemy ludzi, którzy są po naszej stronie? Bo oni te demokratyczne wartości rzeczywiście podzielają.

Drugą kwestią jest prawo własności, które jest jednym z praw człowieka, czyli jedną z podstawowych wartości UE. Europie wydaje się, że zablokowała środki rosyjskich oligarchów, a w dużej mierze zablokowała środki zwykłych ludzi.

W jednym z banków, z którym rozmawiałam, na skutek sankcji 234 tysiące osób ma zamrożone aktywa. A to tylko jeden bank! Tyłu oligarchów w Rosji nie ma.

Uważam, że ten problem należy rozwiązać i że będzie to miało pozytywny wpływ w przyszłości na sprzeciw wobec Kremla.

A to, że tzw. „zwykli Rosjanie” mają zablokowane aktywa jest sprawiedliwe? Odczuwają w ten sposób skutki wojny.

– Dla mnie teoria „zbiorowej winy” się nie broni. Kiedy winni są wszyscy, to znaczy, że nikt nie jest winny. Karać trzeba tych, którzy są winni. Tymczasem ograniczenia dotknęły też tych, którzy, np. wykładają na naszym fakultecie, słynnych ekonomistów, przeciwników reżimu. To nie jest właściwe podejście i nie ma nic wspólnego z nadrzędnością prawa, o której wszyscy lubią mówić. Miażdżąca większość tych ludzi nie jest przecież na liście osób objętych sankcjami.

To jakoś wpływa na stosunek tych ludzi do Zachodu? Kremlowi udaje się to rozgrywać?

– Według mnie tak. Nie skutkuje to pewnie radykalną zmianą poglądów na skalę masową, ale na pewno prowadzi do pogłębiania się rozczarowania instytucjami UE.

Problem tych ludzi polega też na tym, że część z nich wyjechało z Rosji w ramach sprzeciwu wobec wojny. I potrzebują tych

pieniędzy, by móc się w Europie utrzymać, bo nie są w stanie znaleźć tu pracy, która im na to pozwoli.

Jeśli im się to nie uda, będą musieli wrócić do Rosji. To często bardzo wykształceni ludzie. Po co oddawać ich Kremlowi?

Wspomniała pani o tym, że rosyjscy dziennikarze mają coraz gorsze warunki pracy. Wydaje mi się, że to dzięki nim mamy ciągle jeszcze wgląd do tego, co się dzieje w Rosji.

– Rosyjscy niezależni dziennikarze to ludzie, którzy mają kontakty i sprawdzone źródła w Rosji i wiedzą, jak z nimi pracować. Nie ma zbędnych informacji na temat tego, co się w Rosji dzieje. To dzięki ustaleniom rosyjskich dziennikarzy europejscy politycy mogli w dużej mierze opracowywać sankcje, którymi objęci zostali czołowi rosyjscy biznesmeni czy politycy. Dla mnie te argumenty są wystarczające, by uznać, że niezależne rosyjskie media są i będą potrzebne. Sama zresztą zabiegam o to, by przetrwały.

W jaki sposób?

– Założyłam fundację w USA – The Foundation for Democracy and Liberal Values. Dzięki niej udało mi się znaleźć duże pieniądze prywatne, w sumie udzielił mi wsparcia redakcjom niezależnych mediów na kwotę ponad 2,7 mln dolarów. Te pieniądze pomogły uratować kilka redakcji, część z nich, nie wszystkie, zgodziła się zresztą na upublicznienie tej informacji. To nasz ogromny sukces.

Ciekawi mnie też, jak pani ocenia sprawczość rosyjskich opozycjonistów, którzy – podobnie jak dziennikarze – mogą działać dzisiaj tylko na emigracji.

– Jaki wpływ może mieć działająca na emigracji opozycja na to, co dzieje się w Rosji? Wpływ ma się, kiedy można podejmować decyzje albo przynajmniej zaoferować Rosjanom pozostającym w kraju coś, co ich zjednoczy. Nie widzę tego.

Wpływ rosyjskiej opozycji na sytuację w Rosji oceniam na bliski zera.

Mówiąc ogólnie, powiedziałabym, że rosyjska opozycja mierzy się dzisiaj z brakiem wyraźnego planu działania. Bardzo trudno jest jej dzisiaj nie tylko zbudować nową narrację, która zainteresowała by ludzi w Rosji, ale nawet tych, którzy żyją w emigracji. Aleksiej Nawalny umiał to robić. Na razie nikt nie jest w stanie go zastąpić.

Nie widzi pani figury na miarę pani ojca, która byłaby w stanie zjednoczyć opozycję?

– A po co zjednoczyć opozycję? Jeśli jest jakiś konkretny cel, to ludzie się jednoczą. A jeśli go nie ma, to nie. Dla mnie cała dyskusja o zjednoczeniu rosyjskiej opozycji jest niezrozumiała. Gdybyśmy mogli sobie wyobrazić dzisiaj, że istnieje realna szansa na demokratyczną rewolucję w Rosji i obalenie obecnej władzy, to jestem przekonana, że do zjednoczenia by doszło. A teraz wokół czego mają się zjednoczyć? Pozbycie się putinowskiego reżimu jest jak na razie niemożliwe. Rosyjska opozycja nie ma na to szans, to zbyt abstrakcyjne.

Kiedy mój ojciec był politykiem, to był zupełnie inne czasy. Wszyscy opozycjoniści byli wtedy w Rosji, mieli konkretne cele i zadania, np. protesty przeciwko fałszowaniu wyborów czy protesty na placu Błotnym. I ludzie się wtedy zjednoczyli.

Nie uważam, że problemem rosyjskiej opozycji jest dzisiaj brak jedności, tylko brak perspektyw. ●

*Żanna Niemcowa

• współzałożycielka Fundacji im. Borysa Niemcowa, dziennikarka, córka słynnego rosyjskiego opozycjonisty Borysa Niemcowa, zamordowanego w Moskwie w 2015 r..



• Siófok czyli węgierskie Władysławowo. Tam największym zmartwieniem mieszkańców jest fakt, że Balaton wysycha. Wojną za bardzo nikt się nie martwi

KUP PAN PARKING

Wojna? Jaka wojna? My tu jesteśmy szczęśliwi. Węgrzy na granicy z Ukrainą niczego się nie boją

Tomasz Cyłka
Zdjęcia: **Łukasz Cynalewski / Agencja Wyborcza.pl**

Jest takie miejsce w Europie, gdzie Węgry Viktora Orbána i Słowacja Roberta Ficy, którzy sprzyjają Putinowi, wspólnie graniczą z walczącą Ukrainą. Trójstyk, przypominający nieco nasz bieszczadzki Krzemieniec, znajduje się jednak nad brzegiem rzeki Cisy (Tisou) i nie można się tam dostać. Musi nam więc wystarczyć małe, ledwie czterotysięczne, węgierskie przygraniczne miasteczko Záhony.

Co ciekawe, gmina ma dwa miasta partnerskie – to położoną za północną granicą słowacka Čierna nad Tisou, a za wschodnią granicą

leży ukraiński Czop. W trójkącie, którego każdy bok liczy około 20 km, zamyka się teoretycznie współpraca trzech zaprzyjaźnionych gmin.

Jak po wybuchu wojny w Ukrainie ta przyjaźń wygląda w praktyce? Przewodnik z lokalnego Stowarzyszenia Miłośników Przyrody (Záhonyi Tiszavirág Természetbarát Egyesület) nie ma żadnych wątpliwości:

– Wszystko jest w porządku. Wojna w Ukrainie? Regularnie jeżdżę do Czopu i niczego się nie boję. Żadne bomby nie spadają, wybuchów też nie słyszymy.

A u nas, w Záhony, życie płynie bardzo spokojnie. Bo my tu jesteśmy daleko od Budapesztu i metropolii. Władza o nas dba i jest nam dobrze. Niczego wielkiego nam nie potrzeba – opowiada po rosyjsku przewodnik, który nie chce poda-

wać imienia i nazwiska. – Personalia są nieważne. Ważna jest szczęśliwa rodzina i troska o tradycję. My o obie rzeczy bardzo dbamy – uśmiecha się przyjaźnie.

I jeszcze delikatnie nas zaczepia. – A u was, w Polsce, władza o was dba? Byłem w Krakowie i Zakopanem. Piękne góry macie, a ten deptak to już w ogóle bajka – mówi z ekscytacją.

– To Krupówki. Nie wszyscy ludzie je lubią – zauważamy. – Dla turystów i gości to coś atrakcyjnego – przekonuje.

Po co mówić dzieciom o wojnie
Stowarzyszenie Miłośników Przyrody w Záhony to taki odpowiednik naszych organizacji ekologicznych, które dbają o środowisko naturalne. Akcje sprzątania świata, spotkania i imprezy na łonie przyrody mają integrować lokalną społecz-

ność. W Polsce w działalność takich organizacji angażują się przede wszystkim młodzi ludzie, na Węgrzech to zajęcie dla seniorów. I jeszcze jedna węgierska specyfika: tu przyrodę mocno łączy się z szeroką pojętą tradycją.

– Dwa lata temu zaadaptowaliśmy na małe muzeum jeden z wiejskich domów, by przybliżyć wszystkim przeszłość przygranicznego miasta i dawny chłopski styl życia.

Stworzyliśmy miejsce, gdzie młodzi mogą zobaczyć, jak się dawniej u nas żyło. Bardzo nam na tym zależy, bo wartości patriotyczne są ważne. Dbamy o nie. Dzieci na lekcjach uczą się o ważnych momentach z życia naszego kraju, a my dodajemy coś od siebie – mówi z przekonaniem Józsefné Petrika, prezes stowarzyszenia.

Gdy przekraczamy progi małego muzeum przy ulicy Ady Endre út, w obu izbach, przypominających nieco scenografię z filmu „Znachor”, słychać dziecięcy gwar. To mali uczestnicy wakacyjnych półkolonii poznają z bliska historię swojego miasteczka. Dotykają starych sprzętów, kładą się w drewnianym łóżku i przykrywają grubą kołdrą. Co mówią, nie wiemy, bo mówią po węgiersku, ale przewodnik podsumowuje: – Nawet w czasie wakacji dzieci muszą poznawać przeszłość. Bez tego nie ma przyszłości. Przekazujemy im miłość do naszego kraju.

– Opowiada im pan o wojnie? – pytamy.
– A po co... Przecież wojna jest daleko i nic nam nie grozi. Wierzmy naszej władzy, że zawsze będzie z nami. My się czujemy bardzo bezpiecznie – podsumowuje.

– A o Orbánie coś pan dzieciom ciepło mówi? – zagadujemy. Odpowiedź: – Polityki w to nie mieszam.

„Kupcie ten parking! Zrobicie dobry interes”

Wychodzimy z muzeum. Ulice miasteczka w przedpołudnie w dzień powszedni są niemal zupełnie opustoszałe. Nie znajdziemy tu żadnego rynku czy placu, gdzie koncentrowałoby się życie Záhony. Za taki może uchodzić mały plac targowy (Városi piac), ale bynajmniej nie przypomina on naszego, tradycyjnego bazaru, gdzie gorące rozmowy mieszają się z zakupami.

Tu wokół niewielkiej wiaty rozstawiono kilka stoisk przypominających nasze targi z początku lat 90. Warzywa przemieszane są z odzieżą, a drobny sprzęt elektroniczny, jak suszarki, lokówki, ładowarki z artykułami drogerijnymi. Po angielsku nikt z nami nie porozmawia, gdy przechodzimy na rosyjski, patrzą na nas nieufnie. Kiedy w południe wrócimy do pozostawionego tu auta, nikogo na targowisku już nie będzie.

Idziemy więc półtora kilometra na drogowe przejście graniczne Chop (Czop) – Zachony. W internecie znaleźć można zdjęcia sprzed kilku lat, gdzie w kolejce do odprawy stało kilkadziesiąt tirów i długie rzędy osobówek. Latem 2025 roku naliczyliśmy raptem siedem ciężarówek i dwa auta osobowe.

Nic dziwnego, że infrastruktura wokół jest dziś opustoszała. Straszą wraki samochodów, jak i dawne restauracje. W oknach wciąż wystawione menu: mały burger – 590 forintów (7 zł), sałatka – 350 (4 zł), setka wódki – 400 (4,50 zł). Tanio, ale nie wiemy, z którego roku są to ceny.

Patrzmy na dawne sklepy, kantory, domy z czerwonymi zasłonami i pokojami na godziny. Niektóre mają banery z numerami telefonów do potencjalnych właścicieli.

– Co robicie? – pytają po rosyjsku. Gdy mówimy, że przyjechalismy z Polski, nie dają nawet dokończyć zdania i przechodzą do konkretów.

– Chcecie kupić ten parking? Tysiąc dolarów i dobijemy targu. Zarobicie na tym – mówi jeden z nich. Pokazuje na zniszczone budynki, które miałyby dostać drugie życie. – Nie bójcie się, wojna tu nie dotrze – uspokaja. Coś jeszcze dodaje po rosyjsku, ale mówi tak szybko, że trudno go zrozumieć. Pewne jest jedno: parkingu nie kupimy.

Opuszczamy wschodnie Węgry i granicę z Ukrainą. Wyjeżdżamy z przeświadczeniem, że nikt tu wojny się nie obawia. Życie płynie spokojnie, mieszkańcy swojej władzy ufają. To właśnie w takich miejscowościach Fidesz Viktora Orbána ma największe poparcie. Jedziemy więc sprawdzić nastroje bliżej stolicy. Nie ma lepszego miejsca, by się o tym przekonać w pełni letniego sezonu, niż słynny Balaton.

– To nasza narodowa perełka. Ale my tam nie jeździmy. Dobrze nam tu, gdzie żyjemy – mówi na pożegnanie nasz przewodnik z Záhonyi Tiszavirág Természetbarát Egyesület.

Węgrzy mają swoje Mielno i Juratę
Wiadomo, że w czasach komunizmu nad Balaton jeździły na turnusy wakacyjne tysiące



mieszkańców dawnych demoludów. Dziś położone nad słynnym jeziorem miejscowości dawno już o tym zapomniały i budują nową historię.

Odwiedzamy północne rejony Balatonu, który, zachowując oczywiście odpowiednie proporcje, przypomina nieco nasz Bałtyk. Każda miejscina ma swój klimat i swoją klientelę. Na przykład Siófok na wschodnim wybrzeżu (około 100 km od Budapesztu) to takie nasze Mielno albo Władysławowo. Budki z pamiątkami mieszają się z zapachem zapiekanekek, kebabów i słynnego gulaszu. Wszędzie głośnie muzyka i charakterystyczne dźwięki z salonów gier. Przeważają młodzi ludzie i rodziny z dziećmi.

Ale już Balatonfüred na zachodzie to bardziej Jurata, gdzie przycumowały drogie jachty, a na deptaku widać rewię mody. W obu miastach bez problemu porozmawiamy po angielsku. Ciszej tu i spokojniej, ale coś za coś – w węgierskiej Juracie ceny też są wyższe.

Balaton, podobnie jak Budapeszt, przez który przejeżdżaliśmy, wita nas wielkimi billboardami z polityką w tle. Nie było ich w powiatowej miejscinie, a tu zalewają nas z każdej strony. Na nich widzimy Pétera Magyara, lidera najsilniejszej węgierskiej partii opozycyjnej TISZA, i prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego jako dwa świeżo wyklute pisklęta. Plakat sugeruje, że Magyar to „węgierski Zełenski”.

Wielu Węgrów i Węgielek nad brzegiem Balatonu robi sobie przy nich zdjęcia. – Śmieszne to i prawdziwe – mówi Laura, która przyjechała do Siófoka z Veszprem z grupą znajomych. – Nie chcemy wojny, a pomaganie Ukrainie to narażanie naszego państwa. To nie nasza wojna – dodaje jej kolega Géza, popijając wino prosto z butelki.

▲ **W przygranicznym Záhony dziś życie toczy się spokojnie. „Bo my tu jesteśmy daleko od Budapesztu i metropolii. Władza o nas dba i jest nam dobrze. Niczego wielkiego nam nie potrzeba” - przekonują mieszkańcy**

▼ **„Mint két tojás” - czyli dosłownie „Jak dwa jaja”. Billboard na ulicy w Siófok, ośmieszający Petera Magyara, lidera węgierskiej opozycji szefa partii TISZA oraz prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego**

▼ **Diabelski młyn na plaży to jedna z największych atrakcji Siófoka, choć nie wszyscy turyści, którzy tam przyjeżdżają, odpoczywają beztrudno. „Ludzie uważają, że pokój jest na zawsze” - usłyszeliśmy**

► **Záhony na trójkącie granic węgierskiej, słowackiej i ukraińskiej. Niegdyś ważne przejście graniczne, obecnie miejsce straszny opuszczonymi budynkami sklepów, kantorów i restauracji**





Poznaliśmy dwa oblicza powiatowych Węgier. Spokój i cisza na wschodnich krańcach i rozbawiony Balaton, który żyje swoim letnim rytmem. Łączy je tylko jedna rzecz



Ale billboardy nie wszystkich śmieszą. Zareagował na nie oficjalnie ukraiński MSZ. „Zamiast wyjaśniać węgierskiej opinii publicznej, jak zrujnowali gospodarkę, rząd węgierski zajmuje się rysowaniem karykatur prezydenta Ukrainy. Wygląda to głupio, nudno i nieprzekonująco” – napisał na portalu X rzecznik ukraińskiego MSZ Heorhij Tychyj. Wpis zawierał również zdjęcie billboardu z napisem: „Uwaga: węgierska propaganda”.

W ocenie węgierskich komentatorów billboard wygląda na kontynuację kampanii rozpoczętej przez Narodowy Ruch Oporu (Nemzeti Ellenállás Mozgalom) pod przewodnictwem Bence Apátiego. W nagraniu wideo twierdzi on, że między Péterem Magyarem a Wołodymyrem Zelenskim istnieje wiele podobieństw, a pod koniec klipu obaj zostają zmieceni na szufelkę niczym dwa stosy śmieci. W tym samym nagraniu ekspert prawny prorządowego Forum Współpracy Obywatelskiej (CÖF), Zoltán Lomniczi Jr, przestrzega przed Magyarem, nazywając go węgierskim Zelenskim.

Publiczny nadawca Híradó.hu sprzyjający oczywiście Orbánowi uznał tę kampanię za tak ważną, że wyemitował fragmenty tego filmu kilka razy. Dla porównania, ten sam nadawca w ogóle nie relacjonował lipcowej parady Budapest Pride, w której uczestniczyły setki tysięcy osób w centrum stolicy.

Ekipie z Veszprem, która robiła sobie zdjęcia przy billboardzie, przygląda się starsze małżeństwo.

– Trudno nam to komentować, serce się kraje. Za dużo przeżyliśmy, żeby się z tym pogodzić. Ale tak myśli większa część naszego społeczeństwa.

Ludzie uważają, że pokój jest na zawsze. Historia udowodniła, że można się zdi-

wić. O nasze wnuki się martwimy... – mówi Maria i Viktor, którzy na krótkie wakacje przyjechali tu z Budapesztu.

Bardziej niż wojny boimy się huraganu

W Siófoku na plakaty z Magyarem i Zelenskim trafiliśmy nawet w niektórych dyskotekach. Ale już w Balatonfüred było ich zdecydowanie mniej.

– Ludzie chcą tu zapomnieć o szarej codzienności. Przyjechali na wymarzone wakacje i nie myślą o żadnej wojnie ukraińsko-rosyjskiej.

My tu, na Węgrzech, jej w ogóle nie czujemy. Billboardy z Zelenskim? Naprawdę się tym nie interesuję. Ludzi obchodzi wczorajszy huragan, który uszkodził im łódzie, a nie polityka – mówi sprzedawczyni z położonego na promenadzie Lidó bisztró.

Przyjechalśmy tu, gdy w lipcu Węgry zaatakował niż genuński, który także w Polsce wyrządził wiele szkody. Nad Balatonem wiele jachtów straciło wtedy maszty. Ale huragany to nie wszystko.

– Martwi nas to, że nasz Balaton wysycha. To jest problem, a nie wojna – podsumowuje sprzedawczyni.

Od kilku lat poziom wody w Balatonie latem spada poniżej jednego metra, ale dwa lata temu odnotowano to dopiero w sierpniu, a w tym roku już w czerwcu. Do końca lata ten poziom może spaść poniżej 70 cm. I choć eksperci uspokajają, że Balatonowi na razie nie grozi wyschnięcie, to wielu z niepokojem patrzy w przyszłość.

– Jeśli poziom wody jeszcze się obniży, to nasze statki przestaną pływać i stracimy pracę. Wojna? Nawet pan nie zdaje sobie sprawy z tego, ilu tu ludzi z Ukrainy nad Balatonem wypoczywa. Czy oni nie powinni bronić swojego kraju? – mówi płynnym

angielskim dziewczyna z bufetu na statku „Szent Miklos”, który pływa między bala- tońskimi wybrzeżami.

Dzień kończymy na kebabie w Mustafa Restaurant przy promenadzie w Siófoku. Obsługa to niemal sami imigranci, którzy przecież nie są na Węgrzech zbyt mile widziani (antyimigranckie nastroje to karta, którą od lat gra Fidesz, choćby w 2018 roku parlament przegłosował pakiet przepisów antyimigracyjnych „Stop Soros”). Nie ma znaczenia, czy to kelnerzy, sprzedawcy, czy osoby sprząające – po karnacji skóry łatwo poznać, że przyjechali z Bliższego Wschodu. Ale wszyscy solidarnie nie są zbyt rozmowni. – Zapraszamy na kebaba albo do środka na tradycyjny gulasz, też potrafimy go przyrządzić – zachęcają i tylko rzucają na odchodne: – Żyjemy i jest nam dobrze.

W ciągu dwóch dni poznaliśmy dwa oblicza powiatowych Węgier. Spokój i cisza na wschodnich krańcach, gdzie polityką nikt się nie interesuje. I rozbawiony Balaton, który też żyje swoim letnim rytmem. Łączy je tylko jedna rzecz: wojną za bardzo nikt się nie martwi. ●

The Eastern Frontier Initiative

• Artykuły powstały w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).

TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.

• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellin-gcat.

• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.



Taylor Swift,
gaz usypiający,
mur na granicy,
ciasto czekoladowe.
Co łączy te rzeczy
i osoby?

Wojciech Szot

Mam słowa. Mam najlepsze słowa”. To nie jest cytata z jednego z wielkich filozofów, ale z Donalda Trumpa. Powiedział to w grudniu 2015 roku, gdy starał się przekonać zebranych na wiecu wyborców z Karoliny Południowej, że nikt tak wspaniale jak on, nie potrafi opisać naszej rzeczywistości. Niemal rok później Trump wygrał wybory, a jego słowa zaczęły śledzić cały świat. Niektórzy zaczęli je liczyć. Okazało się, że wśród ulubionych słów amerykańskiego prezydenta są między innymi: „taryfy celne”, „fake newsy” i przymiotnik „ogromne”.

Jednak najbardziej zadziwiającym, ulubionym słowem Trumpa jest jedna z najważniejszych kategorii estetycznych, która inspirowała do filozoficznych rozważań już Platona i Arystotelesa.

Piękno

Jak píše portal Politico, w jednym miesiącu 2017 roku Trump potrafił użyć słowa „piękno” kilkadziesiąt razy, opisując

nim zarówno osoby, wydarzenia, przedmioty, jak i samego siebie.

W 2025 roku „piękno” znalazło się nawet w tytule najważniejszej ustawy, o której wprowadzenie zabiegał amerykański prezydent.

Co dla Trumpa jest piękne?

Bóg, rodzina i cła

„Zawsze powtarzam, że »taryfy« to dla mnie najpiękniejsze słowo w słowniku” – powiedział Donald Trump w październiku 2014 roku podczas spotkania Economic Club of Chicago. Powtórzył to zdanie kilka godzin po inauguracji swojej drugiej prezydentury w styczniu 2025 roku. „Cła uczynią nas bogatymi jak diabli. To przywróci do życia firmy z naszego kraju, które nas opuściły”, mówił.

Do tematu wrócił w kwietniu podczas spotkania z prezydentem Salvadora Nayibem Bukele: „»Cła« to najpiękniejsze słowo w słowniku... po Bogu, rodzinie, miłości, związku”.

Obaj – Trump i Bukele – są zwolennikami przyjęcia przez rząd kryptowalut jako pełnoprawnych środków płatniczych. Bukele dokonał tego w 2021 roku, czyniąc Salwador pierwszym krajem na świecie, który zdecydował się na ten krok. W marcu 2025 roku Trump podpisał rozporządzenie w celu stworzenia strategicznej rezerwy kryptowalut.

Ustawa

„One Big Beautiful Act”, czyli „Wielka piękna ustawa”. Tak nazwano uchwaloną przez amerykański Senat i podpisaną przez Trumpa w lipcu ustawę stanowiącą rdzeń jego polityki finansowej.

Zdaniem Biura Budżetowego Kongresu ustawa zwiększy – do 2034 roku – deficyt budżetowy o 2,8 biliona i spowoduje, że 10,9 miliona Amerykanów straci ubezpieczenie zdrowotne. Zdaniem Trumpa jest to jednak „początek złotej ery”.

Neoklasyczna architektura

Administracja Trumpa już podczas jego poprzedniej kadencji zaczęła walczyć o specyficznie rozumiane piękno w architekturze.

W 2020 roku ukazało się rozporządzenie o „Promowaniu pięknej federalnej architektury obywatelskiej”. Jej celem było zachęcenie decydentów do stawiania na neoklasycystyczne wzorce podczas wybierania projektów budynków administracji publicznej.

Reinhold Martin, profesor architektury na Uniwersytecie Columbia, mówił w „New York Timesie”: „To próba wykorzystania kultury do wysyłania zakodowanych wiadomości o białej supremacji i politycznej hegemonii”. Rozporządzenie zostało uchylone przez Joeego Bidena na początku jego kadencji w lutym 2021 roku.

W 2025 roku Trump wrócił do kwestii architektury. W styczniu podpisał rozporządzenie „Promowanie pięknej federalnej architektury miejskiej”. Podobnie jak poprzednie, nakazuje ono stosowanie w nowo powstałych budynkach administracji publicznej neoklasycystycznych wzorców zamiast modernistycznych.

Zaniepokojenie wyraził m.in. Amerykański Instytut Architektury. Zdaniem specjalistów taki dyktat „ograniczyłby wolność projektowania i zwiększył biurokratyczne przeszkody”, a jednocześnie „zaszkodziłby lokalnym społecznościom”. Niektórzy zauważają, że wymierzone w architekturę dekrety Trumpa są niczym innym jak przykładami krytykowanej przez niego „cancel culture”.

Donald Trump

Właściciel jednego z najciekawszych odcieni opalenizny, jaki można zobaczyć na portalach, ma o sobie tylko dobre zdanie. Jako piękny określił swój temperament („jest pod kontrolą”), włosy, a w czerwcu 2024 roku samego siebie. „Gdybym zdjął tę koszulkę, zobaczyłbyś piękną, piękną osobę” – mówił.

Chwalił również maskę przedstawiającą jego własną twarz. „Spójrzcie na tę maskę. Spójrzcie na tę maskę. O, wow! Wow, jaka piękna. Spójrzcie na nią. Wygląda zupełnie jak ja”, zachwycał się na wiecu w Sarasocie na Florydzie w listopadzie 2016 roku.



W amerykańskich mediach można znaleźć też takie wypowiedzi jak:

„Moje palce są długie i piękne, podobnie jak – jak dobrze udokumentowane – inne części mojego ciała”.

„Moje piękno polega na tym, że jestem bardzo bogaty”.

Zdaniem Trumpa piękne są również zdania, które wypowiada. Choć dosłownie tłumaczenie jego wypowiedzi z 2016 roku jest trudne do zrozumienia: „Przez ostatni miesiąc postanowiłem nie udzielać wywiadów, ponieważ podczas wywiadów rozcinają zdania i skracają je. Powstają wtedy piękne, płynne zdania, w których koniec zdania wraca na początek, a koniec zdania zostaje odcięty”.

Czyżby Trump pochwalił jednak pracę redakcji?

Węgiel i parki narodowe

„Skończyliśmy wojnę z czystym, pięknym węglem i przywracamy górnikom pracę”, mówił w czerwcu 2017 roku. Czysta i piękna jest dla Trumpa również woda, którą ma się zajmować Agencja Ochrony Środowiska (EPA), z którą amerykański prezydent walczy od czasu swojej pierwszej kadencji.

Administracja Trumpa stawia na – zapowiadany hasłem: „Drill, baby, drill!” – powrót do paliw kopalnych.

Jak mówił Lee Zeldin, nowy kierownik EPA: „Wbijamy sztylet prosto w serce

religii zmian klimatycznych, aby obniżyć koszty utrzymania amerykańskich rodzin, uwolnić potencjał amerykańskiej energii, przywrócić miejsca pracy w przemyśle samochodowym w USA i nie tylko”.

Trump bardzo często podkreśla, że farmy wiatrowe są „brzydkie” i „śmieszne”. Turbiny wiatrowe nazywał „wielkimi, brzydkimi odrostami”. Także podczas niedawnej wizyty w Szkocji zachwycał się krajem, ale krytykował psucie krajobrazu przez wiatraki. Należący do Trumpa klub golfowy Aberdeenshire bezskutecznie próbował zablokować projekt farmy wiatrowej u wybrzeży Szkocji, argumentując, że zepsulby on widok.

„Każdy ma swój własny pogląd na to, co jest piękne, a co nie, ale trudno mi zrozumieć, jak ludzie mogą myśleć, że panele słoneczne są takim zbezczeszczeniem ziemi, podczas gdy górnictwo na szczytach gór lub wiercenia w poszukiwaniu gazu ziemnego i ropy naftowej nie są” – mówił w mediach Severin Borenstein, specjalista z Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Niezależnie od zachwytu nad węglem, Trump wydał dekret zatytułowany „Uczynienie Ameryki znowu piękną poprzez poprawę naszych parków narodowych”. Jednym z jego celów jest zwiększenie opłaty za wstęp do parków dla obcokrajowców i wykorzystanie dodatkowych dochodów na poprawę ich infrastruktury.

„Biorąc pod uwagę zmasowany atak administracji Trumpa na czystą wodę, tereny publiczne i ochronę dzikiej przyrody, trudno nie być sceptycznym wobec wszystkiego, co ogłasza” – powiedział w cytowanym przez „Washington Post” oświadczeniu Andrew Wetzler z Rady Ochrony Zasobów Naturalnych.

Nalot policyjny

„(...) przyjechała policja i po dwóch godzinach wszystko się skończyło. To było piękne widowisko, najlepsze w Nowym Jorku”. Tak – podczas wiecu w Waukesha w stanie Wisconsin – Trump nazwał policyjny szturm na kampus Uniwersytetu Columbia, gdzie obozowali propalestyńscy studenci wzywający administrację uczelni do wycofania się ze współpracy z Izraelem.

Trump docenia też gaz usypiający, a dokładniej: „piękny gaz usypiający, który usypia” terrorystów. W tej kategorii piękna znalazły się również myśliwce F-35.

Taylor Swift

Trump od lat śledzi karierę i życie prywatne amerykańskiej piosenkarki. Komentował jej związki, a także – co dzisiaj może zaskakiwać – komplementował ją, i to w specyficzny sposób.

„Myślę, że jest piękna – bardzo piękna! Uważam ją za bardzo piękną. Myślę, że jest liberalna. Prawdopodobnie nie lubi Trumpa. Słyszałem, że jest bardzo utalentowana. Myślę, że jest bardzo piękna, wręcz – niezwykle piękna!”, mówił w listopadzie 2023 roku.

Jednak wielokrotna zdobywczyni nagrody Grammy nie dość, że nie poparła Trumpa, to wręcz wielokrotnie wzywała do głosowania przeciwko niemu. W efekcie Trump zaczął wprost deklarować nienawiść wobec piosenkarki.

W 2025 roku przechwalał się, że od kiedy napisał, że jej nienawidzi, Swift „przestała być hot”.

Trump często sięga po fałszywe komplementy, gdy chce zdyskredytować przeciwniczki polityczne. Tak było w 2016 roku, gdy powiedział, że Carla Fiorina, była prezeska Hewlett-Packard i kontrkandydatka w prawyborach o nominację Partii Republikańskiej, „ma piękną twarz i jest piękną kobietą”, czy kilka razy nazywając „piękną” Hillary Clinton.

W styczniu 2024 roku przekroczył kolejne granice, mówiąc o byłej kandydatce na prezydenta, że nazywa ją „piękną Hillary”, bo „jest bezwartościowa”. Także o Kamali Harris mówił, że jest piękną kobietą.

Prasa amerykańska zauważa, że Trump często komentuje urodę żon innych prezydentów. Zachwycał się pięknem i „dobrą formą fizyczną” Brigitte Macron i Kim Keon-hee, żoną ówczesnego prezydenta Korei Południowej.

Ciasto czekoladowe

To jedna z najdziwniejszych wypowiedzi Trumpa – o ile w ogóle jego wypowiedzi można układać w ranking mniej lub bardziej dziwacznych. W 2017 roku Trump relacjonował swoje spotkanie z Xi Jinpingem, przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej.

„Siedziałem przy stole. Skończyliśmy kolację. Teraz jemy deser.

Zjedliśmy najpiękniejszy kawałek ciasta czekoladowego, jaki kiedykolwiek widzieliście, a prezydent Xi delectował się nim”.

Belgia – jako miasto

Choć jeszcze w styczniu 2016 roku Trump powiedział, że życie w Brukseli jest jak życie w „czeluściach piekieł” z powodu braku „asymilacji” wyznawców islamu, to w czerwcu tego samego roku zadeklarował, że „Belgia to piękne miasto”.

Sale Zamku Królewskiego w Warszawie

„Muszę przyznać, że to piękny pokój. Uwielbiam piękne pokoje, a to jest jeden z nich”, mówił podczas wizyty w Polsce w 2017 ro-

ku. Kilka razy pochwalił piękno Warszawy i Polski. A także Melanii Trump.

Przypadek? Nie sądzę.

Komentatorzy od dawna zastanawiają się nad tym, czy Trump szafuje pięknem z premedytacją, czy to raczej świadectwo ubogości jego słownika.

Zdaniem zwolenników tej drugiej tezy Trump określa coś jako „piękne”, gdy nie potrafi znaleźć precyzyjniejszych przymiotników. Jednak Monika Hesse z „Washington Post” nie wierzy w proste odpowiedzi. Hesse szczególną uwagę zwraca na manipulatywne używanie kategorii „piękna”: Trump mówi, że coś jest piękne, podczas gdy wszyscy wiemy, że uważa coś zupełnie przeciwnego.

Zdaniem felietonistki amerykańskiego dziennika chodzi o zbudowanie w społeczeństwie poczucia dysonansu poznawczego i nieufności wobec mających dotąd pozytywne konotacje sformułowań.

Podobnie w Polsce robi skrajna prawica z określeniem „uśmiechnięty”. Od kiedy Donald Tusk mówił o „uśmiechniętej koalicji”, to – pozytywne przeciwieństwo – używane jest w internetowych przepychankach w celu wyśmiania „naiwnych” zwolenników „niemieckiego” premiera.

Idąc za intuicją Hesse, można powiedzieć, że Trump zachowuje się jak toksyczny partner, który chwali lub gani za te same rzeczy, a jego ofiara nigdy nie wie, z jaką reakcją się spotka.

Jednocześnie Trump, demontując kategorie „piękna”, może podważać nasze zaufanie do osób, które z eksperckiego poziomu roszczą sobie prawo do estetycznej oceny, np. architektury. A równocześnie obłaskawia w oczach wielu spraw, które jednak, nawet konserwatywnemu wyborcy, niekoniecznie wydają się usprawiedliwione.

„Prawda hiperboliczna”

Trump w napisanej z amerykańskim dziennikarzem Tonym Schwartzem książce „The Art of the Deal, czyli sztuka robienia interesów” sam podsunął klucz interpretacyjny. Píše tak: „Gram na fantazjach. Trochę przesady nigdy nie zaszkodzi. Ludzie chcą wierzyć. Nazywam to prawdą hiperboliczną i uważam za nieszkodliwą a bardzo efektywną formę promocji”.

„Prawda hiperboliczna” to oksymoron. Hiperbola oznacza bowiem, często oparte na patosie, wyolbrzymienie, które z automatu wykrzywia prawdziwy obraz świata.

Jednocześnie Trump sięga tu po toksyczną taktykę: projekcję. Już samo nazywanie czegoś „pięknym” w ramach hiperbolizacji ma sprawić, że w oczach odbiorców dana sprawa będzie widzianna pozytywniej, będzie bardziej akceptowana. Jest też odwrotna rola hiperboli – w przypadku oczywistych wrogów politycznych jak Clinton czy Swift – nazwanie ich „pięknymi” zostanie odczytane jako – delikatnie rzecz ujmując – krytyka.

Już Arystoteles zauważył, że hiperbolę najczęściej stosują źli ludzie. Trump też kilka razy przyznawał, że nie można jej stosować zbyt często, bo ludzie jednak konfrontują słowa z rzeczywistością. „Nie można oszukiwać ludzi, przynajmniej nie na długo. Jeśli nie dostarczysz towaru, ludzie w końcu się zorientują”, pisał.

Od tego czasu jednak minęło już kilkanaście lat. Może Trump odkrył, że jednak zmanipulowani serwisami społecznościowymi ludzie się nie zorientują?

Piękny czerwony dywan

Podczas spotkania Trumpa z Putinem słowo „piękny” nie padło ani razu. Użyła go jednak Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ.

„Przez trzy lata [dziennikarze] mówili wszystkim, że Rosja jest odizolowana, a dziś zobaczyli piękny czerwony dywan rozłożony dla rosyjskiego prezydenta w USA” – powiedziała.

I nie była to „prawda hiperboliczna”. ●

– Działo się to w czasie, gdy popularność Myslovitz rosła bardzo szybko, a wewnątrz zaczęły pojawiać się coraz silniejsze tarcia – mówi Artur Rojek, współtwórca albumu „Korova Milky Bar”, wybranego „Płytą 25-lecia”.

Z ARTUREM ROJKIEM
ROZMAWIA JĘDRZEJ SŁODKOWSKI

„Korova Milky Bar” Myslovitz wygrała plebiscyt „Wyborczej”. Jesteś jedynym artystą, który jako ważny współtwórca miał w finałowym zestawieniu dwa albumy, także „Uwaga! Jedzie tramwaj” grupy Lenny Valentino. Który z nich jest bliższy twojemu sercu?

– „Uwaga! Jedzie tramwaj” na pewno działa na mnie mocniej niż „Korova...”.

To zapis moich przeżyć z dzieciństwa, okresu, który ukształtował zasadniczą część mojej osobowości, oraz pierwsza satysfakcjonująca mnie wypowiedź artystyczna poza Myslovitz. A działo się to w czasie, gdy popularność Myslovitz rosła bardzo szybko, a wewnątrz zaczęły pojawiać się coraz silniejsze tarcia. Nie znośiłem tego dobrze. Szukałem dla siebie alternatywnego miejsca. I przez jakiś czas było nim właśnie Lenny Valentino.

Co to znaczy, że nie najlepiej znosiłeś popularność Myslovitz?

– To skomplikowane...

Ogólnie rzecz biorąc, jestem osobą, która ciągle się przeciwko czemuś buntuje. Założyłem zespół z myślą, żeby grać koncerty, a jak się uda, to żeby wydać płytę. Kiedy to wszystko zaczęło się dziać – myślę tutaj już o debiutującym płytowo Myslovitz w 1995 roku – podczas jednego z pierwszych koncertów rejestrowanych na żywo w Telewizji Kraków roztrzaskałem gitarę i oznajmiłem Wojtkowi Powadze, który był pierwszym muzykiem zaproszonym przeze mnie do współpracy, że odchodzę...

Z jednej strony zespół spełniał moje marzenie, a z drugiej rozwalal mnie od wewnątrz. Od początku miałem wizję, jak to powinno wyglądać. Wiedziałem, jak powinniśmy grać, czym się inspirować, jak ubierać, jakie mieć fryzury, a nawet jak chodzić – najlepiej zgarbiony, długim krokiem... Poświęciłem temu całego siebie. Kiedy to wypaliło, poczułem na-

bo potrzebował czegoś innego niż Myslovitz”. Tak było?

– Szukając muzyków, dowiedziałem się od kogoś, że jest gość, który ciekawie gra na basie, a potrzebowałem czegoś innego niż w Myslovitz. Jego pomysłów nie znalazłem, bo wspomniany zespół w tamtym czasie dopiero zaczynał. Na początku wydawał mi się nieskomplikowany i pracowity, a do tego bardzo mu zależało. Wizja, jak ten zespół ma wyglądać i jak grać, powstawała we mnie, kiedy z klasycznie gitarowego brytyjskiego grania zacząłem przechodzić w gitarowe, ale bardziej eksperymentalne. W tamtym czasie odkryłem takie grupy jak Duster, Low, Billy Wells Trio, Movietone i chciałem grać jak oni, więc potrzebowałem innych muzyków.

„Uwaga! Jedzie tramwaj” to powrót do dzieciństwa: na tej płycie wykreowaliście światy, które pozwalają zanurzyć się w zachwyty i odkrycia młodości, ale też przywołać lęki, które nam wtedy towarzyszą. Kiedy ta płyta wyszła, niespecjalnie ją kupiłem. Myślę, że po prostu byłem za młody, bo kiedy ma się 16 czy 17 lat, to niespecjalnie chce się cofać do etapu dzieciństwa. Ale kiedy do niej wróciłem przed naszą rozmową, totalnie mnie zachwyciła i mam ochotę słuchać jej na okrągło. Ale przecież kiedy pisaliście te piosenki, nie byliście starzymi piernikami, którzy nurzają się w nostalgii. Miałeś dwadzieścia kilka lat, a twoje dzieci przyszły na świat później. Co więc spowodowało, że z Mietallem zanurzyliście się w tej nieco baśniowej krainie dzieciństwa?

– Moja współpraca z nim dotyczyła przede wszystkim aspektu muzycznego. On nie potrafił grać jak dobry, wyszkolony basista. Grał kwadratowo i ten jego defekt mi się podobał. Ja potrafiłem pisać proste melodie, lubiłem klasyczny układ piosenki, harmonie i z czasem klarowała mi się wizja liryczna tej płyty.

Ale to nie była z góry zamierzona idea, od początku gotowy koncept. Napisałem jeden tekst, który kojarzył mi się z cyrkiem, bo melodia kojarzyła mi się z cyrkiem.

Ciągle się

gle rozerwanie. Nie potrafiłem poukładać, co jest dla mnie ważniejsze – praca czy to, co poza pracą, bo tam też chciałem dać całego siebie. W późniejszych latach, aż do mojego odejścia, bardzo często wracało... Reszta to już głęboka psychologia.

Z dzisiejszej perspektywy uważam, że to była walka, za sprawą której siebie doświadczałem i siebie poznawałem. Taka była forma mojego funkcjonowania.

To co przeważało w kwestii odejścia?

– Nie było jednej przyczyny. To były różne drobne elementy, które zbierały się przez wiele lat. Myślę, że każdy z nas przeżywał to na swój sposób, a mnie doprowadziło to do świadomego odejścia.

W Lenny Valentino drugą ważną postacią był Mietall Waluś, w momencie zakładania zespołu w 1998 roku lider nieznanego szerzej zespołu Negatyw z Mysłowic. Tak wasze pierwsze spotkanie wspominał Mietall w rozmowie z „Wyborczą”: „Ja w ogóle nie znałem repertuaru zespołu Myslovitz i nie interesowałem się tym, czy to jest popularne. Grałem w trzech zespołach i Rojas to wiedział, podszedł do mnie w knajpie i zapytał, czy nie popracujemy razem, bo słyszał, że mam dobre pomysły. Zacząłem je na próby przynosić, a jemu się spodobały,

Wielki dzień, wszystkie dzieci cieszą się,
Krzywe lustro straszy mnie, diabły taty boją się,
bardzo boją...

Wielki dzień i wielka chwila, żaba śmiech
w łęk ukryła,
Pędzą mali na rowerach, pędzą mali w karuzelach,
Kolorowe baloniki, sztuczne kwiaty na strzelnicy,
Pędzą mali na rowerach, pędzą mali w karuzelach,
Wielki dzień, wszystkie dzieci bawią się,
Biały klaun woła mnie, a ja klaunów boję się,
bardzo boję...

(Lenny Valentino, „Karuzele, skutery, rodeo”,
słowa: Artur Rojek)

Potem powstał „Chłopiec z plasteliny”. Był wspomnieniem z dzieciństwa, kiedy znęcali się nade mną koledzy.

I tak dalej, i tak dalej. Jedno działo się po drugim, nie było z góry zaplanowane, aż powstało coś na kształt pamiętnika...

Po prostu im bardziej w ten świat wchodziłem, tym więcej odkrywałem.

We wspomnianym wywiadzie Mietall opowiedział, że do napisania tekstu „Domu nauki wrażeń”, największego przeboju z tej płyty, zainspirowało go spotkanie z dziećmi z niepełnosprawnościami – w ośrodku była sala nazwana właśnie „Domem nauki wrażeń”.



– To nieprawda. Nie wiem, co dokładnie zainspirowało go do napisania. Miałem gotową melodię, kiedy przyniósł pierwszą wersję tekstu. Żeby ją dopasować do kompozycji, trochę ją zmodyfikowałem. Spodobało mi się, ale żeby wbudować to w cały koncept, potrzebowałem czegoś więcej. Kluczowy stał się tytuł „Dom nauki wrażeń”, który wziął się z mojej wizyty w ośrodku dla osób z niepełnosprawnościami, który prowadził mój kolega. Chodzi o Dom Pomocy Społecznej „Republika” w Chorzowie. Ja wtedy nie tylko nie wiedziałem, na jakiej zasadzie działa taki ośrodek, ale nie wiedziałem, że w ogóle takie ośrodki w Polsce istnieją.

A wyglądało to tak, że każde piętro ośrodka było jak głębokość zaawansowania choroby. Na parterze, przy wejściu witali cię pacjenci o najmniejszym stopniu schorzenia, którzy potrafili się swobodnie komunikować z osobą zdrową. Oni prowadzili recepcję. Na pierwszym piętrze byli pacjenci o mniejszych umiejętnościach komunikacyjnych. I tak dalej, aż po najwyższe piętro.

Tam przebywały osoby, które nie mogły funkcjonować samodzielnie, były odcięte od świata. Nie znały uczucia dotyku, nie znały uczucia zapachu. I tam, w specjalnym pomieszczeniu, uczono je zmysłów, jak w dotyku czuje się gumę, jak plastik, a jak włosy. Pomieszczenie, w którym to się odbywało, nazywało się pokojem nauki wrażeń.



Bardzo mnie to poruszyło i świetnie pasowało na tytuł tej piosenki. I tak te elementy ze sobą zestawilem.

*Gdzie jest dom, którego szukam
Gdzie jest dom
Duży, bardzo duży*

*Będę sam, jedno okno będzie tam
W salonie na ścianie hak*

*Na łóżku moim nie będę spał
A na drzwiach nigdy siebie nie widziałem*
(Lenny Valentino, „Dom nauki wrażeń”,
słowa: Artur Rojek i Mietall Waluś)

Jakie było to twoje mysłowickie dzieciństwo?
– Miałem dobre dzieciństwo, ale wychowywałem się bez ojca. Większość czasu spędzałem z babcią i dziadkiem. Od siódmego do siedemnastego roku życia trenowałem pływanie, więc większość pozaszkolnego czasu spędzałem na treningach, które odbywały się dwa razy dziennie, zawodach w weekendy i obozach sportowych.
Z jednej strony było okej, nigdy nie zostałem sam. Zawsze był ktoś, kto się mną opiekował. Z drugiej strony w rodzinie nie było ojca, a moja mama, która została sama, za namową babci oddała mnie pod jej i dziadka opiekę, bo praca, bo bliżej do szko-

• **Artur Rojek**
– rocznik 1972, kompozytor, autor tekstów i wokalista. Współtwórca grupy Myslovitz, z którą pożegnał się w 2012 roku, a także formacji Lenny Valentino. Pomysłodawca i dyrektor artystyczny OFF Festivalu, który odbywa się w Katowicach, i festiwalu showcase'owego Great September w Łodzi.

ly etc. Wychowywałem się z babcią i dziadkiem, było mi dobrze, ale to wszystko było takie trochę zastępcze, nie do końca naturalne, więc z czasem naturalnie wytworzyło we mnie niepokój.
No i byłem sam, nie miałem brata ani siostry, więc indywidualnie szukałem własnych światów.

Gdy pokazałem ci listę 25 płyt, które znalazły się w finale naszego plebiscytu, od razu zapytałeś, czy jest tam Ścianka z albumem „Dni wiatru”. Czytałem, że to wtedy była twoja ukochana płyta i to za jej sprawą muzycy Ścianki zostali zaproszeni do składu Lenny Valentino. I to błyskawicznie, bo „Dni wiatru” wyszły pod koniec lutego 2001 roku, a już w maju nagrywaliście „Uwaga! Jedzie tramwaj”. – Wcześniej w składzie Lenny Valentino oprócz Mietalla byli inni koledzy z Mysłowic, m.in. Michał Kotterba [gitarzysta zespołu Korbówód] czy Lala [Wojciech Kuderski, perkusista Myslovitz]. W tym składzie nagraliśmy pierwsze demo, które przedstawiłem Pawłowi Józwickiemu z Sissy Records, ale cały czas mi to do końca nie pasowało, bo było zbyt bliskie temu, co robiłem z Myslovitz. A ja szukałem czegoś, co to wszystko zdekonstruuje.
U nas nie było w tamtym czasie producentów z prawdziwego zdarzenia. W zasadzie dzisiaj też ich

jest niewielu. Ja o tym, że jest ktoś taki jak producent, dowiedziałem się pod koniec lat dziewięćdziesiątych z wywiadów z Björk i Madonną.
Moje pierwsze wrażenia po wysłuchaniu płyty „Dni wiatru” były kolosalne. Nie przeżyłem tak żadnej polskiej płyty.
Dlaczego?
– Cieślak [Maciej, lider i gitarzysta Ścianki] sprawdził mnie do świata, który wtedy był mi bardzo bliski. To było przerażające, ale bardzo do mnie trafiło. Znam ludzi, którzy nie potrafią jej słuchać, bo wpadają w taki lęk, który każe im natychmiast ją wyłączyć.
Pamiętam jeszcze jedną płytę z tamtego czasu, która na mnie zadziałała: „Little Lost Souls” Third Eye Foundation.
Pierwsze, co zrobiłem po przesłuchaniu „Dni wiatru” – myślę, że nie trwało więcej niż godzinę po zakończeniu słuchania – to zadzwoniłem do Lachowicza [Jacka, klawiszowca Ścianki], bo tylko do niego znalazłem numer – i umówiłem się z nimi na spotkanie. Pojechałem do Sopotu i zaprosiłem ich wszystkich do współpracy.
Zachwyty płynące z ówczesnych recenzji potwierdzają, że twój zamiar, by nagrać album możliwie daleki od muzyki Myslovitz, powiódł

się całkowicie. Powtarzają się niezwykle nobilitujące porównania do Radiohead, które wówczas pokazywało, jak można zgubić rockowy ogon i stworzyć nową jakość. Ale nawet kiedy dziś słucham „Uwaga! Jedźcie tramwaj”, trudno mi sobie przypomnieć polską płytę, która brzmiałaby podobnie. Weźmy chociażby tę fantastyczną, wysuniętą naprzód jazzową perkusję.

– Arek Kowalczyk [perkusista Ścianki] był specyficznym bębniarzem. Przypominał mi jazzowych perkusistów z czasów popularności bebopu, a ja byłem wtedy na etapie odkrywania Coltrane’a, Davisa, Bakera. Pamiętam, że intensywnie rozmawialiśmy o brzmieniu bębnów i sposobie gry Arka przy okazji piosenki „Chłopiec z plasteliny”, gdzie bębny wydobywają się pomiędzy zwrotkami i grają w klasycznie jazzowy sposób. Szukając pomysłu na ten numer, zaproponowałem Cieślakowi, żeby wyciągnąć Kowalczyka do przodu i pozwolić mu grać solówki właśnie w taki sposób. A wszystko to działo się w należącem do Cieślaka Studiu im. Mickiewicza w górnym Sopocie, gdzie poza wokalami nagrywaliśmy całość na żywo.

*Światło gwiazdki na pościeli
Misie moje śpią na ziemi
Milczą całą noc, nocą modłę się
Dziadek głaszcze mnie (...)
Mali chłopcy z piaskownicy
Przyjaciele, lecz złośliwcy
Kradną jabłka z drzew, lato kończy się
Kasztany gniją, pada śnieg*

(Lenny Valentino, „Chłopiec z plasteliny”,
słowa: Artur Rojek)

Co się właściwie stało, że po wydaniu płyty Lenny Valentino pograło przez dwa miesiące koncerty i się skończyło?

– Zespół zaczął naturalnie się rozwarstwiać przez to, że byliśmy z trzech różnych zespołów. Mietall chciał się skoncentrować na Negatywie. Ścianka miała swoje plany. A Myslovitz było grupą silnie funkcjonującą koncertowo. To był też czas rozpoczęcia przez nas prób podboju rynku zagranicznego, co trwało przez kolejne cztery lata.

A i na trasie koncertowej Lenny Valentino lepiej się poznaliśmy i zobaczyliśmy, że każdy z nas chce chyba czegoś innego.

Zanim opowiesz o próbach podboju świata po wydaniu „Korova Milky Bar”, przywołam kawałek recenzji Roberta Leszczyńskiego, wówczas głównego krytyka „Wyborczej”: „Wyczekiwany przez trzy lata piąty album jednego z najbardziej obiecujących naszych zespołów rockowych zawodzi muzycznie, tekstowo i wykonawczo. Jest o wiele słabszy od dwóch znakomitych poprzednich albumów, a może nawet najslabszy w dyskografii. Muzycznie nie wnosi nic do gitarowej konwencji zespołu. Słabe aranżacje powodują, że jest po prostu bezstylowy. Jeszcze słabiej jest z tekstami. Artur Rojek tak bardzo zamknął się w świecie swoich stanów psychicznych, że napisał teksty, które rozumie chyba tylko on sam”. Ciekawe, że tak słabo oceniona płyta wygrała głosami słuchaczy w plebiscycie na polską płytę 25-lecia.

– Nie tylko Leszczyński tak pisał, ale w jego wypadku najmniej mnie to obchodziło, bo uważałem, że nie zna się na muzyce. Komentarzy, że jesteśmy mniej pozytywni, a bardziej depresyjni na tej płycie, było jeszcze kilka. Ode mnie wyszła koncepcja odwołania się do „Mechanicznej pomarańczy”, z barem mlecznym Korova, a także było kilka moich kompozycji, natomiast w tekstach się na tej płycie nie odnajdywałem.

A co do jakości samej płyty pod względem muzycznym, z tego, jak to pamiętam, nie było żadnego zgrzytu, niczego takiego, co by powodowało we mnie i w nas uczucie, że nie do końca zgadzamy się z tym, co chcemy zaraz wydać. A takie uczucie wielokrotnie w zespole pojawiało się później.

Była tworzona w dosyć specyficznym momencie. Z jednej strony odnieśli-



FOT. PIOTR ULANOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Koncert zespołu Myslovitz w Bydgoszczy na otwarciu hali sportowo-widowskowej Łuczniczka (11.10.2002).**

Płyta 25-lecia wybrana



„To jest już koniec, nie ma już nic” – śpiewał na początku lat 90. Kuba Sienkiewicz z Elektrycznych Gitar. Co prawda, ich płyta „Wielka radość” nie miała szans znaleźć się na liście, z której wybieraliśmy najlepszą polską płytę ostatniego 25-lecia, ale słowa tej piosenki idealnie pasują na zakończenie naszego plebiscytu.

To bowiem, drogi czytelniku i droga czytelniczko, jest koniec. Znamy wyniki. „Stawka jest zabójczo wyrównana, a faworytów do zwycięstwa kilkunastu” – pisaliśmy trzy tygodnie temu, w tekście otwierającym plebiscyt.

Czytelnicy głosowali na jeden z tytułów z naszej listy, która została przygotowana we współpracy z 48 dziennikarzami/karkami muzycznymi. Od początku lista wywołała duże emocje (w całości jest dostępna w serwisie Wyborcza.pl). Spieraliśmy się nie tylko o ważność nagranych płyt, ale i o to, jakich twórców i których krążków na tej liście zabrakło.

Czytelnicy/niczki wskazywali, że brakuje płyt Kultu, Kazika, Voo Voo czy Strachów na Lachy. Wypominali brak „The Satanist” Behemoth i „Pierwszego

wyjścia z mroku” Comy. To pokazuje, że wybranie tych 25 najważniejszych płyt ćwierćwiecza jest zadaniem w zasadzie niemożliwym. Bo ilu słuchaczy, ile gustów, tyle ważnych płyt.

Przez trzy tygodnie na łamach „Wyborczej” rozmawialiśmy o polskiej muzyce z twórcami, dziennikarzami muzycznymi i osobami z szeroko pojętej „branży”. Agnieszka Szydłowska, dziennikarka muzyczna, dyrektorka-redaktorka naczelna radiowej „Trójki” mówiła, że „rozmowy o muzyce łączą bardziej, niż rozmowy o światopoglądzie”, Marcin „Tytus” Grabski wpuścił do świata polskiego rapu, a producent Bartosz Dziedzic opowiedział o kulisach pracy producenckiej.

A zatem: która z polskich płyt ostatniego ćwierćwiecza jest najlepsza? Która zapadła w pamięć? Zainspirowała i oczarowała?

TOP10 naszego plebiscytu:

1. Myslovitz, „Korova Milky Bar” (2002), Sony Music Entertainment Poland
2. Lao Che, „Powstanie warszawskie” (2005), Ars Mundi
3. Zbigniew Wodecki with Mitch & Mitch Orchestra and Choir, „1976: A Space Odyssey”, (2015) Laco ABC
4. Raz, Dwa, Trzy, „Trudno nie wierzyć w nic” (2003), Warner Music Poland
5. Dawid Podsiadło, „Małomiasteczkowy” (2018), Sony Music Entertainment Poland
6. Paktofonika, „Kinematografia” (2000), Gigant Records
7. Fisz Emade Tworzywo, „Ballady i protesty” (2021), Mystic Production
8. Hey, „Miłość! Uwaga! Ratunku! Pomocy!” (2009), QL Music
9. Maria Peszek, „Miasto mania” (2005), Kayax
10. Brodka, „Granda” (2010), Sony Music Poland

śmy sukces z poprzednią płytą „Miłość w czasach popkultury” i mierzyliśmy się z oczekiwaniami co do kolejnego albumu. Z drugiej strony, ja odniosłem – co prawda w świecie alternatywy, ale jednak – sukces z zespołem Lenny Valentino, który widać choćby po tym, że dostaliśmy Fryderyka.

Recenzenci recenzentami, ale „Korova Milky Bar” wyniosła was na kolejny poziom popularności. Przecież od piosenki „Acidland” nie sposób było uciec! Ja ją wręcz znienawidziłem, bo nawet najfajniejszą piosenkę można znienawidzić, jeśli atakuje cię codziennie z każdego kąta przez rok albo i dłużej.

– „Acidland” był pierwszym singlem. Stał się hitem, ale dla mnie był najslabszą piosenką tego albumu. RMF FM zgodził się ją puszczać, jeżeli w singlowej wersji wytniemy solówkę, która przypomina dźwięk automatu do gier albo flipera – tak to pamiętam.

*Ten kraj jest jak psychodeliczny lot
Czujesz, że nie zmienisz nic
Spróbuj wziąć z tego coś
To przecież twoje życie jest
Popelniaj błędy i naprawiaj je
Gdy dotkniesz dna odbijaj się
Wykorzystaj czas, drugiego już nie będziesz miał
Nie poddaj się, bierz życie, jakim jest
I pomyśl, że na drugie nie masz szans*
(Myslovitz, „Acidland”, słowa: Myslovitz)

No to jak to było z tą karierą międzynarodową? „Korova Mikly Bar” wyszła po angielsku, graliście trasy na Zachodzie, supportowaliście Simple Minds czy Iggy’ego Popa.

– Propozycja rozszerzenia działalności o rynki zagraniczne przyszła ze strony Ani Marzec i Henry’ego McGroggana, pary menedżerów z międzynarodowym doświadczeniem.

Ja zareagowałem bardzo entuzjastycznie, ale reszta chłopaków była średnio przekonana ze względu na dużą liczbę koncertów w Polsce, dziewczyny, z którymi za chwilę mieliśmy założyć rodzinę itd. Namawiałem ich, że taka szansa się więcej nie powtórzy, i powinniśmy to zrobić. Udało mi się.

W pierwszą międzynarodową trasę ruszyliśmy w 2002 roku jako support Simple Minds. Potem były kolejne... Mniej więcej w tym czasie w 28 krajach ukazała się anglojęzyczna „Korova Milky Bar” (rozszerzona o single z „Miłości w czasach popkultury”), promowana „Sound Of Solitude” (ang. wersja „Długości dźwięku samotności”), a koncertów poza Polską zrobiło się jeszcze więcej. Byliśmy w trasie przez większą część roku, grając jak nie w Polsce, to na świecie. Odbiór był różny w zależności od kraju.

Gdzie działała?

– W kilkunastu krajach. W Szwajcarii graliśmy kilkakrotnie indywidualne trasy. W Portugalii, Belgii, Czechach, Izraelu, Turcji, RPA... W kilku krajach „Sound Of Solitude” stał się hitem. Po Simply Minds pojechaliliśmy w trasę najpierw z Iggy Popem, a potem z Iggy And The Stooges. Graliśmy na najważniejszych festiwalach w Europie.

A później, po trzech i pół roku takiego funkcjonowania, byłem pierwszą osobą w Myslovitz, która powiedziała, że się wycofuje. To spowodowało olbrzymi konflikt w zespole oraz niezadowolenie naszych menedżerów i zagranicznych promotorów, bo koledzy wtedy nie chcieli się już wycofywać, a ja nie chciałem zmienić swojej decyzji.

Ale dlaczego?

– Kiedy jeden z agentów niemieckich powiedział nam, że trzeba jeszcze raz od początku spróbować i objechać kampusy studenckie, powiedziałem, że to koniec. Sytuacja była zbyt intensywna, a efekty przychodziły wolno... Byłem tym zmęczony i straciłem wiarę.

Zawsze, kiedy słyszę opowieści o tym, że kolejny polski zespół próbuje podbić Zachód, przypominam mi się, co kiedyś powiedział mi Piotr Rogucki z Comy o powodach, dla których tę próbę się

Wychowywałem się z babcią i dziadkiem, było mi dobrze, ale to wszystko było takie trochę zastępcze, nie do końca naturalne, więc z czasem naturalnie wytworzyło we mnie niepokój

podejmuje. Ma się dosyć grania po raz kolejny w tym samym klubie, siadania na tej samej klejącej się kanapie w garderobie i oglądania tego samego brudnego kibla. I że jeśli chcesz się rozwijać, to musisz spróbować poza krajem.

– Wystarczy przeczytać parę książek o karierach zespołów muzycznych, by zrozumieć, ile czasu zajęło większości to, by zaczęli funkcjonować na takich zasadach, z których znamy ich dziś.

Zanim zacząłem zajmować się muzyką, zajmowałem się sportem. Wiem, ile trzeba włożyć pracy w trening, żeby osiągnąć sukces. Zawsze na początku jest ciężko. Trzeba to przetrwać, grać wszędzie, dokładać do tego. To naturalna droga. Tyłko że do tej naturalnej drogi trzeba być we właściwym miejscu życiowym. Albo trzeba być naprawdę zdesperowanym i gotowym na poświęcenie wszystkiego, co nie jest twoją pracą. Bo da się zrobić wszystko, trzeba tylko po prostu postawić na ten jeden konkretny cel. Reszta wtedy się nie liczy. Ale ja już nie chciałem tak funkcyj-

nować. To już nie było dla mnie najważniejsze.

Może, gdyby kariera międzynarodowa wypaliła, nie organizowałbyś od dwóch dekad OFF Festivalu? Zaprosiłem cię do rozmowy przy okazji naszego plebiscytu także dlatego, że jesteś tym gościem, który jak mało kto obserwuje polską scenę, czy to jako szef OFF-u, czy też poświęconego przecież nowym talentom festiwalu Great September. Kto cię dziś jara na polskiej scenie?

– Niczego nie żałuję. Dużo się nauczyłem. To właśnie między innymi ten czas, kiedy graliśmy festiwale na świecie, zainspirował mnie do stworzenia OFF-u.

A co do twojego pytania – jestem w takim miejscu, że mogę z jednej strony realizować swoją pasję, jaką jest odkrywanie muzyki, a z drugiej budować platformę, która im może pomóc. Mamy wielu zdolnych artystów.

Myślę, że jako muzyczny dziennikarz sam widzisz, że poziom polskich artystów

diametralnie się różni od tego, który był kiedyś.

Dziś młodzi są dużo lepiej przygotowani do swojej roli, ale niestety, wciąż jesteśmy daleko za światem. Wielu bardzo utalentowanym polskim artystom nie uda się na dłużej zaistnieć bez wyjścia poza Polskę. Do pewnego momentu będzie się to jakoś toczyć, ale na dłuższą metę nie przetrwają. Świetnych wyborów dokonuje Hania Rani, młodzi polscy jazzmani jak EABS, zespoły metalowe. Biorąc pod uwagę niełatwą twórczość, jaką uprawia, jestem pod dużym wrażeniem działalności grupy Trupa Trupa, a zwłaszcza Grześka Kwiatkowskiego, który jest kwintesencją wizji, nieustępliwości i ciężkiej pracy.

Co do Great September, to my akurat jesteśmy platformą, która daje im „pierwszą” szansę w Polsce. Mogą to wykorzystać i iść dalej. Świetnym przykładem jest Jann.

OFF z kolei wykorzystuje swoją międzynarodową rozpoznawalność, co może być pomocne dla artystów umiających to przełożyć na siebie. W 2015 roku udało mi się przekonać do współpracy jedną z najważniejszych radiostacji na świecie: KEXP ze Seattle, która podczas kilku edycji OFF-u prowadziła relacje i realizowała w Katowicach swoje słynne sesje live. Brała w niej udział na przykład Hańba, co przyniosło jej setki tysięcy wyświetleń na całym świecie i pomogło w działalności poza Polską.

Od wydania „Kundla”, twojej ostatniej płyty solowej, minęło pięć lat. Co dalej? Kiedy nowa muzyka Artura Rojka?

– Myślę, że jesienią ukaże się pierwszy singiel, a potem wiosną 2026 reszta. Na razie jestem zaangażowany w projekt Zorza, gdzie wspólnie z Dawidem Podsiadłą gramy koncerty złożone z piosenek mojego dawnego zespołu w nowych aranżacjach. We wrześniu wydamy wspólną płytę live. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34393510

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: JAK ODPOCZYWAĆ
BEZ PRESJI I OCZEKIWAŃ

DOROTA WELLMAN:
Nie umiem udawać

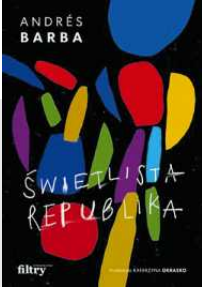
WERONIKA KSIĄŻKIEWICZ:
Coraz częściej odpuszczam

PSYCHOLOGIA:
Przeciążenie decyzjami

SEKS: Problemy z pożądaniem

wysokieobcasy
extra

Numer dostępny z powieściami
Andresa Barby w prezencie



Nie nazywajcie tego traummedia

Eva Victor, osoba, która do tego stopnia ucieka z szufladek, że używa zamiennie zaimków żeńskich i niebinarnych, nakręciła film również wymykający się wszelkim kategoriom.



Maja Staniszevska

ad brzegiem morza młoda brunetka w kostiumie kąpielowym w kratkę wciela się w kobietę, która nie wie, co się stało z jej mężem. Filmik trwa dokładnie minutę i 12 sekund, ale opowiedziana jest w nim cała historia ze zwrotami akcji i puentą. I to opowiedziana z ciężkim francuskim akcentem i ekspresją, które sprawiają, że można się popłakać ze śmiechu. Osoba, która filmik nakręciła i zagrała w nim główną rolę, nazywa się Eva Victor i w chwili, gdy latem 2019 roku wrzuciła go na Twittera (dziś X), nie wie jeszcze, że to zmieni jej życie.

Kariera z Twittera

Filmik wpada w oko Barry’emu Jenkinsowi, twórcy oscarowego „Moonlight”. – Pomyślałem: cóż za magnetyczna, superkreatywna i absolutnie prze zabawna osoba – wspomina Jenkins. Napisał jej, że jeśli będzie miała gotowy scenariusz czegoś dłuższego, chętnie go przeczyta. Victor się cieszy, ale dostała też pierwszą poważną pracę – rolę w serialu „Billions” (2020-23) – nie wie, kiedy znajdzie czas na pisanie. W sukurs przychodzi pandemia i lockdowny, podczas których zawieszono zostają prace na planach filmów i seriali. Z nowojorskiego mieszkania Victor zabiera kota i laptop i w wynajętej od rodziny chatce wśród śniegów Maine zaczyna pisać historię inspirowaną własnymi przeżyciami. Historię o młodej kobiecie, którą spotyka Coś Złego. – To jakby wrzucono kamień w rzekę twojego życia. Próby usunięcia go sprawiają ogromny ból, nie jesteś w stanie tego zrobić. Musisz znaleźć sposób, żeby woda zaczęła go omijać – opowiada w wywiadzie dla „Guardiana”. I dodaje: – To niesprawiedliwe, że ktoś ten kamień wrzucił. Trudno to ogarnąć rozumem. Tym kamieniem jest napaść seksualna. Victor nie podaje jej szczegółów. W ogóle unika opowiadania o życiu prywatnym. Wszystko, co ma do powiedzenia, zawarła w swoim debiutanckim filmie „Sorry, Baby”.

„Sorry, Baby”, czyli prawdziwie o traumie

Sama wciela się w nim w Agnes, wykladowczynię z małego college’u w Nowej Anglii, która unika nazwania wprost tego, co ją spotkało. Zresztą nie o tym Czymś Złym opowiada film, ale o jego skutkach. O traumie, którą powoduje, ale też o tym, że trauma nie musi definiować całego życia. A przede wszystkim, że nie musi definiować człowieka. – Myślę, że często przedstawiamy ludzi jako ofiary. W ten sposób czynimy z nich postaci tragiczne, od których staramy się odwracać wzrok albo które sprowadzamy do tej jednej cechy. A przecież ludzie są skomplikowani – mówiła w „Guardianie”. Dlatego w „Sorry, Baby” Victor przedstawia traumę złożoną, płynną, czasem znikającą, by zniecka powrócić. Jest to obraz wyjątkowo prawdziwy. W pewnym momencie jadąca samochodem Agnes ma atak paniki. Nie wie, co się z nią dzieje, myśli, że umiera, nie jest w stanie złapać tchu. Uduje się jej zjechać na parking przydrożnego baru. Jego właściciel, grany przez jednego z najbardziej stereotypowo amerykańsko-ojcowskich aktorów Johna Carrolla Lyncha pomaga jej ten atak paniki opanować. Później czuje kanapkę, a Agnes opowiada mu to, że spotkało ją Coś Złego. – Dawno? – pyta on. – Trzy lata temu z kawałkiem – odpowiada ona. – To dużo czasu, ale nie aż tak dużo – mówi on. I w tym banalnym stwierdzeniu tkwi sedno. Czas leczy rany. Ale po pierwsze, każdy potrzebuje innego czasu, by rany się zasklepiły. A po drugie, nie ma gwaran-

Z nowojorskiego mieszkania Victor zabiera kota i laptop. W wynajętej od rodziny chatce, wśród śniegów Maine, zaczyna pisać historię inspirowaną własnymi przeżyciami. Historię o młodej kobiecie, którą spotyka Coś Złego



• Kadr z filmu „Sorry, Baby”, scen. i reż. Eva Victor, wyst. Eva Victor, Naomi Ackie, Lucas Hedges, John Carroll Lynch. W kinach od 29 sierpnia.

cji, że w pewnym momencie na powrót się nie otworzą. Historie ery #MeToo Trauma po napaści seksualnej w erze #MeToo stała się tematem wielu filmów i seriali. Najgłośniejszy był film „Obiecująca. Młoda. Kobieta” Emerald Fennell, a najlepszy – serial „Mogę cię zniszczyć” Michaeli Coel, oba z 2020 roku. W tym pierwszym, przerysowanej tak, że momentami wręcz komiksowej czarnej komedii, Carey Mulligan gra kobietę polującą na potencjalnych gwałcicieli. Chce zapłacić pustkę po przyjaciółce, która została zgwałcona i odebrała sobie życie. W drugim, o wiele bardziej złożonym i wielowymiarowym, sama Coel wciela się w kobietę, której podano pigułkę gwałtu. W kolejnych odcinkach próbuje odtworzyć wydarzenia feralnej nocy, bo chce odnaleźć i ukarać sprawcę, a jednocześnie próbuje poradzić sobie ze świadomością tego, co ją spotkało, i normalnie żyć. Serial przekracza granice, momentami jest szokująco szczery, a momentami zabawny, choć widz zastanawia się, czy wypada się śmiać. Można go obejrzeć w HBO Max. Właśnie „Mogę cię zniszczyć”, w którym traumatyczne zdarzenie i jego konsekwencje przedstawione są jako element życia bohaterki, a nie coś, czemu całe życie staje się podporządkowane, był jedną z inspiracji Victor przy pisaniu „Sorry, Baby”. Debiut scenarzystki, reżyserki, aktorki Gdy Jenkins zgodnie z obietnicą przeczytał scenariusz, uznał, że Eva Victor powinna sama go wyreżyserować. Był już producentem filmów debiutujących reżyserek, pod jego skrzydłami powstało np. „Aftersun” Charlotte Wells, jeden z najlepszych filmów tej dekady. Przekonywał Victor, że ona też ma doświadczenie – reżyserowała, kręcąc filmiki na Twittera, tylko po prostu nie zdawała sobie z tego sprawy. Szkołą filmową Victor była praca na planie filmu „W blasku ekranu”, gdzie podpatrywała reżyserkę Jane Schoenbrun, i kilka dni „na sucho” już na jej własnym planie.

Same zdjęcia do „Sorry, Baby” trwały niecały miesiąc. 31-letniej scenarzystce, reżyserce i aktorce udało się stworzyć coś niezwykle osobistego, a jednocześnie uniwersalnego. Podejmującego ciężki temat w sposób lekki i ważony. Coś prawdziwego i zarazem zabawnego. Poznajcie Agnes, osobę, nie ofiarę Victor pozwala widzom poznać Agnes jako osobę, a nie jako ofiarę. Poznać przede wszystkim przez jej relację z Lydie (Naomi Ackie), przyjaciółką, również naukowczynią. Gdy te dwie młode kobiety leżą na kanapie i rozmawiają o mężczyznach i seksie, gdy się razem śmieją, gdy milczą, gdy Lydie dzieli się z Agnes radosną nowiną o ciąży, ale też, gdy pyta przyjaciółkę, jak tak naprawdę się czuje, trudno nie poczuć do nich sympatii. Trudno też nie zauważyć, że Lydie wie o Agnes coś, czego nie wiedzą inni. Gdy akcja cofa się w czasie i Agnes spotyka Coś Złego, nie widzimy tej przemocy. Victor świadomie z niej rezygnuje. Skupia się na bohaterce i na tym, jak próbuje ona odzyskać swoje życie. Próbuje wyjść ze swojej małej pustelni i nawet wpuszcza do niej nieśmiałego sąsiada Gavina (Luke Hedges). – Jedni traktują cię jak osobę, która oddycha, czuje, myśli. Inni nie – mówi Agnes. Ani ona, ani Lydie nie mają złudzeń, że po #MeToo coś się znacząco zmieniło w kwestii przemocy seksualnej i ścigania jej sprawców. Gdy Agnes zgłasza się po pomoc albo szuka sprawiedliwości, słyszy: „To na pewno ciężkie”; „Wiemy, co przechodzisz – jesteśmy kobietami”. W przejściu przez te próby Agnes pomagają charakter, poczucie humoru i – nie ukrywajmy – kotek. Agnes znajduje go na ulicy, podnosi i przytula, by po paru sekundach stwierdzić, że go kocha, i zabrać ze sobą. Ucieczka z każdej szufladki Victor, grając Agnes, balansuje między realizmem a „deadpan comedy” – zachowuje kamienny wyraz twarzy w absurdalnych sytuacjach. Długo specjalistami w tym ty-

pie humoru byli mężczyźni od Bustera Keatona przez Billa Murraya po Steve’a Carella, ale w XXI wieku dołączyły do nich także Aubrey Plaza czy Kristen Wiig, a teraz także Victor. Ani jej film, ani jego bohaterka, ani sama Victor nie mieszczą się w jasnych kategoriach, szufladkach, w które próbujemy zamknąć rzeczywistość, by ułatwić sobie życie. W pewnym momencie Agnes, wypełniając kwestionariusz, natrafia na kratki podpisane M (male) i F (female). Chwilę się zastanawia, po czym rysuje własną kratkę pośrodku. Victor jest osobą niebinarną, ale używa wymiennie zaimków she/her i they/them, bo nawet do niebinarności nie chce być sztywno przyporządkowana. Przypuszczając, że jej decyzja ułatwiła mi pisanie tego tekstu, bo o ile angielski z niebinarnością radzi sobie łatwo właśnie za pomocą zaimków they/them, o tyle w języku polskim wciąż nie wypracowaliśmy jasnych zasad pisania o osobach niebinarnych. W poszukiwaniu życiowej pasji i queerowej tożsamości Urodzona w Paryżu córka pary zamożnych Amerykanów wychowywała się w San Francisco, gdzie chodziła do prywatnej szkoły z wykładowym francuskim. Ponieważ szybko urosła (ma 180 cm wzrostu), trafiła do drużyny koszykówki, ale od sportu wolala występy artystyczne. Przez lata śpiewała w chórze, z którym wystąpiła na inauguracji prezydentury Baracka Obamy, ale z całego wydarzenia jako nastolatka najbardziej zapamiętała to, że było strasznie zimno. W chórze Victor po raz pierwszy spotkała się też z osobami queer i zaczęła się zastanawiać nad własną tożsamością i orientacją. Po drodze, po sukcesie w szkolnym musicalu, postanowiła, że zostanie aktorką. Pomóc w spełnieniu marzenia miały studia na Northwestern University w Chicago – aktorstwo i dramatopisarstwo. W końcu Viktor uznała, że jest lepszą autorką niż aktorką, więc po dyplomie w 2016 roku przeprowadziła do Nowego Jorku z myślą, że zostanie scenarzystką w jednym z telewizyjnych programów komediowych. Gdy niedawno, promując swój film, gościła w „The Late Show” Stephena Colberta, opowiedziała gospodarzowi programu, że w 2019 roku wysłała mu próbki swoich żartów, ale nigdy nie doczekała się odpowiedzi. Czekalo ją więcej takich niepowodzeń, nie zrobiła też furory ani jako standuperka, ani aktorka. Na życie zarabiała w recepcjach „połowy nowojorskich siłowni”, jako niania czy wreszcie pomoc w przymierzalni w salonie sukien ślubnych. W tej pracy zrozumiała, jak skomplikowane relacje kobiety potrafią mieć ze swoim ciałem. Jedne się nim cieszą, chcą eksponować i podkreślać, inne próbują je ukryć albo wręcz z nim walczyć. A z pracy wyleciała z hukiem, gdy wyszła na jaw, że po godzinach nagrywała filmiki wystrojona w czekające na klientki suknie. W końcu zaczęła swoje dzieła publikować na Twitterze. Resztę już znamy. „Sorry, Baby” z Sundance i Cannes do naszych kin „Sorry, Baby” miało premierę na festiwalu Sundance, gdzie doczekało się owacji na stojąco i nagrody za scenariusz oraz zostało kupione za 8 mln dolarów, kwotę imponującą przy absolutnym debiucie, przez legendarne już studio i firmę dystrybucyjną A24. W maju film był pokazywany w ramach Piętnastki Reżyserów na festiwalu w Cannes, a gdy trafił do kin w USA, podbił serca krytyków, ale także widzów. 29 sierpnia „Sorry, Baby” trafia do naszych kin. – Robisz film, jakbyś krzyczała w próżnię: „Czuję się, jakbym zwariowała. Czy ktoś jeszcze tak się czuje?”. A kiedy ktoś odpowiada „tak”, to jest druzgocące, ale też bardzo budujące. Mamy siebie nawzajem – zwierzyła się Victor w „Harper’s Baazar”. Szkoda byłoby przegapić film zrobiony z takim założeniem. Są rzadkie i przez to niezwykle cenne. ●

Polska nadal atrakcyjna dla świata?

NIEMCY
W WARSZAWIEPrzyjazd do Polski grupy
niemieckich studentów,
aby zwiedzać naszą stolicę
śladem „Lalki” Prusa,
to coś jak sen. Zmyślenie.• Scena z XIX-wiecznej
Warszawy. Fragment
iluminacji z Alei Chińskiej
w Łazienkach Królewskich
(styczeń 2017)

Andrzej Mencwel*

S potkaliśmy się w kawiarnianej piwnicy przy Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, w dawnym pałacu Czapskich, w którym obecnie mieszczą się rektorat uczelni i okazałe sale wystawowe, znane także ze światowego Biennale Plakatu. Była wiosna zeszłego roku.

Kawiarnia ta dawniej nazywała się Eufemia i chodziliśmy do niej czasem po seminariach albo zebraniach naukowych, bo była dość zwyczajna, na pogawędkę przy tanim winie czy piwie. Obecnie nazywa się Elementy, niby prościej, ale jedzonko ma wyszukane i dość kosztowne, wino tanie nadal tanie, wystrój popartowy, ale rozkład wnętrza na szczęście niezmieniony i zawsze można znaleźć w nim osobną izbę, w której da się podyskutować.

Mieliśmy rezerwację i kiedy się zjawiliśmy, kelnerka od razu zaprowadziła nas na koniec lokalu; znaleźliśmy się w podziemnym pomieszczeniu.

Inicjatorem i sprawcą tego spotkania był polonista Christian Zehnder, a wycieczka ta była jego flagowym przedsięwzięciem. Tu muszę odnotować, że polonistyka jako samodzielny kierunek studiów akademickich właściwie zniknęła z uniwersytetów niemieckich, zachowała się na paru zaledwie uczelniach (Bochum, Moguncja), na kilku innych jest jedną ze specjalizacji slawistycznych (jak w Bambergu), w kilku nastu dalszych można się uczyć języka polskiego, jeśli komuś jest potrzebny.

Pamiętam czasy, kiedy na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie polonistykę jako samodzielny kierunek studiowało około 200 osób, a dzisiaj uczą tam głównie języka. Dość podobnie jest na Sorbonie, gdzie polonistyka się wprawdzie uchowała, ale większym powodzeniem cieszą się kursy językowe. W Nancy, z którym lata temu blisko współpracowałem, polonistyka była mocna, potem została wpisana w studia europejskie i nie mogę jej teraz odnaleźć na uniwersyteckiej stronie.

Dlaczego tak się dzieje, że wraz z umocnieniem polskiej obecności w Unii Europejskiej maleje w niej znaczenie polskich studiów literackich i kulturalnych, dość trudno wyjaśnić, choć pewne uwagi mam.

Po pierwsze, wszelkie tradycyjne studia literackie i kulturalne w krajach unijnych i poza nimi ulegają marginalizacji, zapewne dlatego, że fundamentalna

**Przegrane zbrojne powstanie
warszawskie stało się w 1980 r.
„dźwignią moralną” gdańskiego,
a potem polskiego i europejskiego
pokoju zwycięstwa. Jak?
Powinniśmy się ciągle nad tym
zastanawiać**

zmiana cywilizacyjna związana z mediami elektronicznymi wynosi na pierwszy plan nauki o komunikacji i ich pochodne, które również w uczelniach polskich przyciągają licznych studentów. Podobno AI sama teraz pisze, więc po co uczyć się pisać?

Po drugie, nasze relacje z czołowymi krajami europejskimi stały się o wiele bardziej przyziemne, oparte na wspólnych przedsięwzięciach handlowych (Lidl, Auchan itp.) i wytwórczych (Volkswagen czy Fiat), a te potrzebują ludzi z podstawową znajomością języka, a nie z wysoką kulturą literacką. „Wielkiej Improwizacji” raczej nie pojmą, nawet gdy jej wysłuchają, a „Przedwiośnie” może ich pobudzić do fan fiction [tworzenia dzieła literackiego przez fanów utworu], co byłoby mylące.

Po trzecie wreszcie, państwo polskie od kilku dekad, i to niezależnie od partyjnej barwy rządzących, nie prowadzi polityki rozwojowej w tej dziedzinie, co najwyżej utrzymuje, najskromniej jak się da, istniejące placówki akademickie. Przypominam sobie, że podpisywałem jakiś apel w sprawie polonistyki berlińskiej, niegdyś najliczniejszej w Europie, ale przeminał on z wiatrem.

Nasi bogacze, których imponujące listy corocznie przedstawia „Forbes”, nie są zainteresowani zakładaniem katedr na zagranicznych lub krajowych uczelniach i wedle mojej wiedzy żadnej nie ufundowali.

Kiedy byłem w uniwersytecie jerozolimskim, nie nadążałem rozczytać tablic honorowych umieszczonych na jego ścianach, a upamiętniających fundatorów poszczególnych placówek naukowych. Nie tylko w moim macierzystym Uniwersytecie Warszawskim, ale też w żadnym innym, choć mamy ich teraz w bród, nie znajdzie się takiego upamiętnienia. I nic

też nie zapowiada go w dającej się przewidywać przyszłości. Nasze klasy to są „klasy dla siebie” – podług Marksa i naprawdę.

W tym świecie i w takiej kulturze przyjazd do Polski dziewięciorga niemieckich studentów, aby zwiedzać Warszawę śladem „Lalki” Bolesława Prusa, wydaje się bardziej zmyśleniem niż prawdą. Urzeczywistnił je Christian Zehnder, który niedawno objął katedrę slawistyki na uniwersytecie w Bambergu (Frankonia, Bawaria, RFN).

Aby stanowisko takie otrzymać w którymkolwiek uniwersytecie europejskim, trzeba wygrać publiczny konkurs, a rywalizacja w nim porównywalna jest z olimpijską. Profesor zostaje zatrudniony do emerytury, ponieważ dożywotnio, jest samodzielny w swych badaniach i nauczaniach, nieusuwalny przez żadną władzę, w Niemczech więcej niż dostatnio opłacany, a ponadto przysługuje mu gabinet z sekretarką, co nam wydaje się bajeczne.

W każdym z takich konkursów może się pojawić kilkudziesięciu kandydatów z różnych krajów Europy, bo dziś wszystkie uczelnie europejskie są otwarte dla wszystkich uprawnionych obywateli Unii. Ponadto w ostatnim półwieczu, zapewne po kryzysie 1968 roku i następujących po nim reformach, wykształcono w Europie bardzo wielu humanistów, dla których brakuje już stanowisk akademickich, tym bardziej że liczba ich potencjalnych uczniów ciągle maleje.

Mój francuski kolega, również polonista i slawista, z rusycystyką na drugim miejscu, dawno już habilitowany, znawca poezji i prozy, profesury nie osiągnął, choć startował kilkakrotnie w takich konkursach. W Polsce jesteśmy dopiero na początku tego procesu, ale jego zapowiedzi już są czytelne. W moim kręgu zawodowym habilitantów jest coraz więcej, a studentów coraz mniej.

Pocieszeniem jest to, że do konkursów profesorskich nie staną kandydaci z krain niemieckich czy skandynawskich, bo nie nawykli do pracy za stawkę mizerną. Ale i to niezadługo może się zmienić, bo miejsc u nich zabraknie, a wynagrodzenia może u nas wzrosnąć.

Z Christianem zawsze jest się trochę w drodze, bo gdy jedno spotkanie się dokonało, to podróż się zaczyna i właśnie do niej wracam. Konkurs profesorski na uniwersytecie bamberskim – przymiotnik ten brzmi znajomo, bo spod Bambergu pochodzili poznańscy „bambrzy”, którzy niedawno świętowali 300-lecie swego przybycia – wygrał w cuglach, ale mnie to akurat nie zaskoczyło. Jest on bowiem uczonym młodym, lecz wybitnym zarówno przez dorobek, jak i osobowość.

Szwajcar, z urodzenia i obywatelstwa wielojęzyczny oraz wielokulturowy, studiował slawistykę i filozofię we Fryburgu szwajcarskim i w Monachium, pobyty studyjne odbył w Petersburgu i w Moskwie (po studiach magisterskich), potem podoktorów, roczne w Warszawie i w Chicago. Wszystko to stypendiumowane przez odpowiedni fundusz państwowy, z którego działaniem warto się zapoznać, bo i w Warszawie, i w Chicago Christian przebywał z żoną i córką, a nie słyszałem, żeby musiał dorabiać.

Poznaliśmy się wcześniej na konferencji o Brzozowskim we Fryburgu szwajcarskim, w październiku 2014 r. Wygłosił na niej wyrafinowany referat o religijności Brzozowskiego i Lieberta, dźwięczną polszczyzną cytując wiersze natchnionej poety. Podczas warszawskiego studium uczestniczył w moim seminarium, czasem chadzaaliśmy na pogawędkę do Eufemii, a niektóre z nich były istotne.

Dla porządku notuję jeszcze, że prof. Zehnder habilitował się fundamentalną rozprawą o odnowieniu „romantycznego aktywizmu w literaturze polskiej”, której głównymi bohaterami byli Norwid, Brzozowski i pisarze z kręgu okupacyjnej „Sztuki i Narodu”; edycja w renomowanym wydawnictwie naukowym.



• Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście na pocztówce z początku XX w. (ok. 1908 r.)

Szary Petersburg ze swoimi gogolowskimi szynelami był bliższy Warszawie Prusa niż oszalamiający Paryż. W „Lalce” musiał rusyfikację przemilczeć, bo prawda o niej podlegała cenzurze

Jest nie tylko uczonym, ale także pisarzem, autorem kilku powieści wydanych w Zurychu i w Monachium, a niemiecka Wikipedia zapisuje go jako „Schriftsteller”. Nie czytałem ich, niestety, bo mój niemiecki starcza na lekturę rozprawek filologicznych, autor zaś dyskretnie je przemilczał w naszych rozmowach. Ma on sposób bycia raczej artystyczny niż scjencyficzny – jest intensywnie obecny sam przez się, bez żadnej wyniosłości, nigdy nie wyklada ex cathedra, zawsze wypowiada się dialogowo i nie zamyka swoich słuchaczy w akademickiej fortyfikacji, lecz zabiera ich w drogę. I to dzięki temu zapewne udało mu się uwieźć do Warszawy grupę niemieckich studentów wędrujących śladami „Lalki”.

Nie mogę powiedzieć, że śliśmy prostą drogą w tej wędrówce, bo toczyła się ona zakosami, z uskokami i wyskokami. Nikt z nas nie zakładał jakiegos zdefiniowanego celu, gdyż chodziło o rozmowę, dialog, spotkanie. Pomyślność tego spotkania wcale nie była pewna, gdyż od młodych jego uczestników dzieliło mnie 60 lat, ponad dwa pokolenia. A jeśli do tej epokowej różnicy wieku dodać dziejowe bagaże polskie i niemieckie, porażka dialogu wydawała się nieunikniona.

Byliśmy na szczęście dalecy od wszelkich czynników oficjalnych i nie zamierzaliśmy podpisywać żadnych układów ani oświadczeń. Wymianę uprzejmości przeszliśmy bez szwanku, przechodząc na ton osobisty i bezpośredni, w nim parę godzin zeszło nam prawie niepostrzeżenie. Na koniec zaś, po przeprawieniu się przez wszystkie te meandry, które się trafiły, osiągnęliśmy pewną prawdę fundamentalną i współczesną. Była ona zaskakująca, pojawiła się niespodziewanie, a po namyśle okazała się oczywista. Nie mogę jej zaraz ujawnić, żeby jej nie osłabić, tu powiem tylko, że Christian potem do mnie napisał, że tego spotkania „pogłos i powidoki są niezwykle bogate”.

Jak wychodząc od „Lalki”, dojść do takiej prawdy, mogę tylko ogólnie przedstawić, bo była to improwizowana wędrówka. Na pewno nie udało się nam wyczerpująco omówić klasycznej polskiej powieści, ale to się jesz-

cze nikomu nie udało, wątki przewodnie zaś przytaczam.

Najpierw wyjaśniłem naszym gościom, że Prus specyficznie okroił świat przedstawiony Warszawy, bo opisał ją tak, jakby nie było w niej Rosjan, choć była wtedy miastem przez nich okupowanym. Szłydy wszystkie były dwujęzyczne, a co trzeci, można liczyć, przechodził na Krakowskim Przedmieściu umundurowany, uniformy bowiem, oprócz licznych służb militarnych, nosili również urzędnicy, studenci i gimnazjaliści.

Szary Petersburg ze swoimi gogolowskimi szynelami był bliższy ówczesnej Warszawie niż rozświetlony, oszalamiający Paryż, przez autora „Lalki” przedstawiony dość ekscentrycznie. Pisarz musiał rusyfikację przemilczeć, bo prawda o niej podlegała cenzurze, a fałszu nie darowaliby czytelnicy.

To uboczne dla powieści wyjaśnienie zapoczątkowało uwagi o polskich zaborczych i okupacyjnych podległościach, sposobach radzenia sobie z nimi oraz walce i przeciwstawieniu się im. Zajęły one sporo czasu w naszej wędrówce, bo inaczej przecież być nie może, kiedy rozmawia się o polskiej drodze do niepodległości i nowoczesności. Termin „Sonderweg” [„droga szczególna”] wprowadzili historycy niemieccy w odniesieniu do historii własnego kraju rozpiętego między tradycjonalizmem a modernizacją, więc świadomość szczególności polskiej historii nowoczesnej dość łatwo było nam osiągnąć. Moi młodzi rozmówcy byli ciekawi tej szczególności i na jej zrozumienie nastawieni.

Zastrzegam jednak, że w takich spotkaniach z reguły skupiamy się na głównych liniach problemowych i nie możemy wdawać się w subtelne sofizmaty, pożądane na seminariach z historii ojczystej. Spoza tego nacisku podległości doświadczanego przez dwa stulecia naszych nowoczesnych dziejów i różnych postaw wobec niego wyłoniła się kwestia naszego zapóźnienia społecznego, wyraźna w feudalnych właściwie stosunkach międzyludzkich „Lalki” i dramacie uczuciowym Wokulskiego.

Żeby nie popaść w pospolite, arcy-polskie zrzedzenie, przypomniałem młodszemu kołegom, że najwybitniejszy XIX-wieczny pro-

zaik niemiecki Theodor Fontane, z urodzenia mieszczanin, z zawodu aptekarz, cierpiał mocno na szlacheckie ciągoty, co poświadcza nie tylko jego najlepsza powieść „Effi Briest” (1895) dziejąca się na pruskim wówczas, junkierskim Pomorzu. Dziewiętnastowieczne krainy pograniczne, zapóźnione w rozwoju, wobec Anglii czy Holandii, rzecz jasna, a nie Rosji, zarysowały się więc przed nami w powinowactwie swoich anachronizmów.

Jaką ścieżką z tamtych, dość czasoprzestrzennie odległych okolic doszliśmy do powstania warszawskiego 1944 roku i jego dalekosiężnych, bo dosłownie współczesnych następstw – tego nie zapisałem. Wspomnienie o nim, chwilami w postaci wymownego zbiorowego milczenia, a także wysłowiony namysł okazały się głównym właściwie motywem naszego spotkania.

Stało się to z inicjatywy młodych niemieckich studentów, a nie starego polskiego profesora. Nie poprzestali oni bowiem na prusowskich spacerach po stołecznych ulicach, lecz zwiedzili także Muzeum Powstania Warszawskiego, co skutkowało szczególnym uprzytomnieniem. O samej ekspozycji nie mówiliśmy, bo nie było czasu na detale, skupiliśmy się na ludzkim znaczeniu tego wydarzenia dziejowego, nie na jego przebiegu i przedstawieniu.

Pewien łącznik problemowy pojawił się przedtem, bo chociaż z powodu Prusa skupieni na pozytywizmie nie rozmawialiśmy o romantyzmie i naszych wieszczach, to wtrąciłem wcześniej mesjanistyczną aluzję. Wspomniałem bowiem, że jeśli w jakimś podmiocie historycznym, a w dziejach nowoczesnych są nim głównie narody, kumulują się klęski, okupacje i represje, wówczas jego przywódcy duchowi uznają go za naznaczonego, powołanego reprezentanta całej ludzkości. Tak było z romantycznym mesjanizmem polskim, który uświęcając narodowe męczeństwo, nie był tylko nacjonalistyczny, lecz także uniwersalistyczny.

Mesjanizm nierzadko z duchowych szczytów spada na bruk ulicy i staje się pospolitym kultem zdradzieckiej klęski i fałszywej ofiary, a jego nosiciele widzą wokół siebie samych wrogów i domagają się wygórowanej odpłaty. Żadnych aktualizujących wytknięć, czy to niemieckich, czy polskich, nie czyniłem, żeby nie naruszyć powagi naszego namysłu historycznego.

Przypominając sobie teraz cały przebieg spotkania, coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że więcej o powstaniu milczeliśmy, niż mówiliśmy, a milczenie to emanowało doniosłym znaczeniem. Miałem wrażenie, że ci chłopcy i dziewczęta doznali jakiegos wstrząsu, który przy mnie próbują zrationalizować, ale to im się słabo udaje i trwają jeszcze w duchowym zdumieniu.

Przez dłuższą chwilę panowała między nami dojmująca cisza, nie brzękło żadne szkło, bo nikt nie sięgnął po napitek, ja też znieruchomiałem i patrzyłem przed siebie tak, żeby nikogo nie dotknąć wzrokiem. Czulem, że utożsamiali się oni z bojownikami, którzy byli ich rówieśnikami, i zostali prawdziwie poruszeni ogromem ich heroizmu i beznamiętności ofiary.

Pomyślałem też sobie, że jeśli to muzeum, wobec którego stylistyki byłem dość krytyczny, w młodych Niemcach budzi taką empatię, to jego istnienie zostało podwójnie zasłużone. Ale z tego brzemienne go emocjonalnie i intelektualnie zamarcia, w jakie popadliśmy, wyrwało mnie nagle dość spokojnie, ale wyraźnie zadane pytanie: „Czy to powstanie było również antysowieckie?”

Nie w słowach, lecz w samym brzmieniu tego głosu, w jego intonacji coś było niepewnego, zadziwionego, ale ja tego na początku nie odebrałem, bo jasno i dobitnie odpowiedziałem od razu: „Oczywiście!”

Wraz z tym potwierdzeniem wróci-
liśmy, rzec można, z mistycznego unie-
sienia do powszedniości, w której panu-
ją prawa realności, efektywności, kalku-
lacji. Było dla nich jasne, że powstanie
zwrócono przeciw niemieckim, faszy-
stowskim okupantom i okrutnie zostało
przez nich stłumione, dobrze o tym wie-
dzieli, może jeszcze przed wizytą w mu-
zeum, skoro pragnęli je zwiedzić, a ja
nie musiałem im niczego przypominać
ani wypominać.

To jednak, że równocześnie wymie-
rzone zostało przeciw drugiemu wielkie-
mu mocarstwu, które w następnych mie-
siącach miało dobić III Rzeszę, zdawało
się przekraczać ich zdolności pojmo-
wania zrodzone w szkołach racjonalnej kal-
kulacji. Nie, nikt niczego krytycznego nie
powiedział, może nawet werbalnie nie
pomyślał, jakieś napięcie jednak mnie
dotknęło i po kolejnej chwili wspólnego
milczenia, będącej również okazją moje-
go namysłu, orzekłem dość stanowczo:
„Wicie, myśmy to jednak wygrali!”.

Zdumienie naszych gości było tak wy-
rażne w samych twarzach, że nikt z nich
nie musiał pytać: „Jak to? Jakim sposo-
bem? Jak to możliwe?”.

– Niecałe pół wieku później ze stro-
ny dziesięciomilionowej organizacji an-
tyrządowej, podczas skierowanego prze-
ciw niej stanu wojennego, nie padł ża-
den strzał.

Nie musiałem już dodawać, że na-
stępnie upadł nie tylko tamten rząd, ale
również cały system, którego był swo-
istym ogniwem, a jednym ze skutków te-
go zwycięstwa stało się również zjedno-
czenie Niemiec – zostałem zrozumia-
ny w lot.

Artur Górski (1870-1959), pisarz, krytyk
i publicysta, zapomniany, choć to on wy-
myślił i utrwalił nazwę „Młoda Polska”,
napisał był także u progu odzyskanej nie-
podległości dziełko pod wymownym ty-
tułem „Ku czemu Polska szła” (1918). Cie-
szące się dużą uwagą w przedwojennej
Polsce, eliminowane i ośmieszane w PR-
L-u, nie odzyskało powodzenia w III RP,
choć w 2007 roku zostało wznowio-
ne z kompetentnym wstępem Rober-
ta Kostry.

Zwracam uwagę, że kwestia tytuło-
wa nie kończy się znakiem zapytania,
autor więc nie zwodzi czytelnika rzeko-
mą pełną odpowiedzią, lecz zaprasza
do wspólnego namysłu. W książce po-
wstałej przed ponad stu laty pełno jest
lirycznych anachronizmów, celnych
uwag też jednak nie brakuje, na przy-
kład: „Przegrane bitwy bywają dźwi-
gnią moralną”.

Nad tym, jakim sposobem przegra-
ne zbrojne powstanie warszawskie stało
się „dźwignią moralną” gdańskiego, a po-
tem polskiego i europejskiego pokojowe-
go zwycięstwa – powinniśmy się ciągle
zastanawiać. ●

Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Tytuł autorski – „Olsnienie w podziemi”



*prof. Andrzej Mencwel

• ur. w 1940 r., krytyk i historyk litera-
tury i kultury polskiej, eseista, prozaik.
Wydał ostatnio m.in. „Powieść z życia. I,
Strona ojca”; wkrótce ukaze się część II –
„Wszystko o mojej babci”.

Wojna w Ukrainie

Przyjmijmy do siebie samotność ginących

**Świat może powtarzać odwieczną
mantrę o pokoju. I nawet przez myśl
mu nie przejdzie, że może tym
ranić ofiary wojny.**

Krzysztof Czyżewski / Pogranicze

Samotność ofiar. Oto nowe Campo di
Fiori. Jeszcze jeden stos wzniesiony
dla heretyków tępej siły imperium
i racji legitymizowanej zniewoleniem.

Ukraińcy doświadczili niemało soli-
darności w świecie. Za mało jednak, by
nie czuli się osamotnieni. Opuszczenie
polityczne czy militarne - one nie są osta-
teczne, można je negocjować i przynaj-
mniej po części im zapobiegać. Jest jed-
nak inne opuszczenie – w inności bycia
ofiara, a co za tym idzie, w samotności do-
świadczenia prawdy o przemocy i wojnie.

Boli śmierć najbliższych, bolą głód,
zniszczenie i poniewierka, ale równie,
a czasem bardziej – tak, naprawdę - bo-
li osamotnienie w prawdzie. Świat, a więc
my/ja, może mieć najlepsze intencje, mo-
że słuchać swoich racji, może mówić, że
nic nie jest czarno-białe, powtarzać od-
wieczną mantrę o pokoju i o tym, że hu-
maniści powinni trzymać się z dala od
broni... I nawet przez myśl mu nie przejdzie,
że może tym ranić ofiary wojny, pogłębiając
ich samotność.

Co można na to poradzić? Niejedno. Wa-
ży każda forma solidarności i pomocy.
Ważne, abyśmy zrozumieli, że w Ukra-
inie pomoc militarna nie jest osobną for-
mą wsparcia, lecz jest częścią pomocy hu-
manitarnej, decydującej o egzystencjal-
nym być albo nie być. Wiem, że to mo-
że się klócić z racjami wielu, tak jak klóci-
ło się z moimi. Ale to jest właśnie ten mo-
ment, w którym możemy przełamać sa-
motność ofiar, a przynajmniej radykalnie
się do nich zbliżyć. Tak, czasem za cenę
przełamania siebie.

Zrozumiałem to w oblężonym Saraje-
wie. Trzy lata trwało zabijanie tysięcy je-
go mieszkańców, przy akompaniamen-
cie światowej orkiestry głosów przekonu-
jących, że nasz humanizm powinien po-
prześcić na dożywianiu ofiar.

Kto raz przyjmie do siebie samotność
ginących, ten nie rozstanie się z nią do
końca życia i na świat patrzeć będzie in-
nymi oczami. A przy każdej kolejnej eska-
lacji przemocy, zanim da przemówić swo-
im racjom, będzie się starał wsłuchać
w głos ofiary. Może to najwięcej, co może-
my zrobić dla przełamania ich samotno-
ści – dać przemówić gwałconym i zabija-
nym, otworzyć się na prawdę heretyków
zniewolonego umysłu.

„I ci ginący, samotni./ Już zapomniani
od świata./ Język nasz stał się im obcy/
Jak język dawnej planety”. Jeszcze nie
wszystko stracone. Jeszcze możemy za-
walczyć o to, by ich język stał się dla nas
zrozumiały. A tym samym zmienił naszą
mowę, tak dotkliwie obcą niewinnie gi-
nącym.

W odróżnieniu od Czesława Miłosza,
który pisał wiersz „Campo di Fiori” na
zewnątrz murów warszawskiego getta,
Ostap Sływyski pisze wiersz „Czym jest
wojna” z wnętrza Ukrainy. Wiele można
znaleźć różnic pomiędzy towarzyszący-
mi im okolicznościami, jedna jest jednak



samotność ofiar i zatrważająco niewzru-
szone trwanie tych, którzy „zawsze wie-
dzą lepiej”.

Tymczasem nasze, międzyludzkie trwa-
nie, które w obliczu wzbierającej fali ciem-
ności na nowo wydaje się nam cudem, jest
wciąż możliwe. Wciąż jeszcze bowiem po-
trafimy przełamać siebie, przekroczyć wła-
sną niemoc, a mówiąc po ukraińsku: pe-
remohty, i dopisać do drukowanych bez
współautorstwa ofiar podręczników kilka
stron prawdy osamotnionych. ●

Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

• Na zdjęciu: żołnierzka z 65. Brygady
Zmechanizowanej Sił Zbrojnych Ukrainy
w czasie ćwiczeń w pobliżu linii frontu
w obwodzie zaporoskim (11.08.2025).

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ostap Sływyski*

Czym jest wojna

*Być może kiedyś napisz o tym podręcznik
tylko my nie będziemy jego współautorami
bo inni zawsze wiedzą lepiej czym jest wojna
bo inni zawsze wiedzą lepiej
no dobrze*

ale jeden rozdział

jeden rozdział oddajcie nam

i tak nie znajdziecie dosyć literatury

to będzie rozdział o milczeniu

kto nie był na wojnie ten nie wie czym jest milczenie

albo przeciwnie wie

tylko my nie wiemy

*jak ryby nie wiedzą o wodzie która je żywi i ropie która je zabija
jak mysz-nornica nie wie o ciemności która ją ukrywa*

przed zimorodkiem ale

zimorodka też ukrywa

pozwólcie napisać nam ten rozdział

wiem że boicie się krwi więc napiszemy go wodą

wodą o którą prosił ranny nie mógł przetykać i tylko

patrzył na nią

wodą przeciekającą przez przebity dach

wodą zdatną do użytku zamiast łez

tak – przyjdziemy do was z wodą

na waszych hasłach i wartościach tak przez nas nadużytych

że nie wiecie jak je ujawnić swoim dzieciom

nie pozostawimy po sobie śladów nie do zmycia

to będzie zaledwie kilka naszych stron

i tylko nieliczni będą wiedzieli że nie są puste

przeł. Krzysztof Czyżewski



***Ostap Sływyski** - ur. w 1978 r. Ukraiński poeta, tłumacz,
eseista, literaturoznawca i krytyk literacki. Jego wiersze
są często publikowane w polskich pismach. W 2009 r. ukazał
się u nas jego tomik „Ruchomy ogień” (w przekładzie Bohdana
Zadury). Tłumaczył m.in. utwory Miłosza, Różewicza, Stasiuka,
Tokarczuk czy Walcott’a.

Wiersz, który publikujemy, powstał na początku tego roku, tuż
przed trzecią rocznicą pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę.

Za pięć trzynasta

TYLKO DLA POLAKÓW?

Za sprawą prezydenckiego weta zaistniał akt pozornie niewinny: brak życzliwości i zrozumienia. Brak wrażliwości. Druzgocący, więc niedopuszczalny.

Jarosław Mikołajewski

W minionym tygodniu w Krakowie, na Małym Rynku, słyszymy głosy manifestacji. Z czasem głosy krzyżują się z innym głosem, który stara się przekrzyczeć ten pierwszy. Podchodzimy: czworo manifestantów, plecami do ściany, wznośli hasła i treści, które znamy, i co do zasadności których nie mamy wątpliwości: że Ukraina musi być wolna, a Rosja jest agresorem.

Aż dostrzegamy źródło tego drugiego krzyku. Krzyku, co przekrzykuje. Jest nim mężczyzna, który trzyma flagę polską i drugą, antyukraińską. Może antybanderowską, nie umiem się wczytać. Jego twarz nie jest złowroga. Jest pyszna. Niezmacona w swoich prawdach.

Wykrzywioną twarz ma towarzysząca mu dama o głosie Polki, która w „Pianście” (przejmująca Katarzyna Figura) próbuje wydać ukrywającego się Żyda. Dzieje się to wszystko nieopodal domu przy ulicy Mikołajskiej, z którego naziści wyprowadzili Zuzannę Ginczankę, wydaną przez kogoś, kogo znała.

Patetycznie, ale naprzeciw krzykaczom

Nieliczne, głośnie zgromadzenie na Małym Rynku otaczają policjanci. Proszą, że bym się nie zbliżał. Rozumiem to tak, że zabezpieczają manifestujących przed wrogimi szaleńcami. Tłumaczę, że chcę podać im rękę. Pozwalają, zachowując czujność. Podchodzę do mężczyzny z flagą polską i flagą ukraińską, mówię że wstyd mi za tamtego człowieka. Podaję rękę jemu, dwóm innym mężczyznom i kobiecie, którą całuję też w rękę – żaloszny, patetycz-

ny gest, który wykonuję, choć nigdy tego nie robię.

Po to, żeby powiedzieć coś bardziej. Coś więcej niż mogę przekrzykiwany przez przeciwnie hasła. Do jednego z policjantów podjeżdża ktoś na rowerze. Myślę, że życzliwy Ukraińcom. Kontrmanifestant, o którym ktoś mówi „kamrat”, nagrywa wszystko telefonem. Kłaniamy się fładze polskiej i ukraińskiej, odchodzimy. Cztery dni później prezydent wetuje ustawę o pomocy Ukraińcom w Polsce.

Ciemna strona mocy

W kryzysie medialnej bezstronności i rzetelności, także w kryzysie moich malejących umiejętności rozumienia szczegółów (związanego z wiekiem i stanem zdrowia), ponad komentarzami z jednej, drugiej i trzeciej strony, ze słów samego prezydenta dociera do mnie przekaz: Polacy muszą być traktowani na równi z Ukraińcami. Czyli – nie są równi we własnym kraju. I drugi – prezydenckie weto wychodzi naprzeciw oczekiwaniom czy też emocjom społecznym.

Czytam z tych wypowiedzi wiele rzeczy, niestety negatywnych. Pierwszą jest ta, że prezydent chce schlebiać nastrojom społecznym (narodowym). Nie zamierza ich kształtować. Nie chce korzystać z przywileju wskazywania jasnej strony człowieczeństwa. Bo może chce wskazywać stronę ciemną. Dlatego, że stoi po stronie, której się boję.

Druga to ta, że chce dzielić wielonarodową społeczność, jaką w rzeczywistości mieszkańcy Polski dziś są. Bo jeśli Polacy muszą w Polsce być traktowani tak samo, co aż musi rzekomo wymagać prezydenckiej interwencji, to znaczy że nie są, lub weto takiej nierówności skutecznie zapobiega.

Na ustach „kamratów”, „konfederatów” i „brauningów”

Jak wspominałem, nie wchodzę w szczegóły, których dotyczą propozycje ustaw.



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdzieś na marginesie prezydenckiego weta chcę przestrzec pana prezydenta przed postaciami antyukrainizmu, które mogą uchodzić (jak sam się przekonałem) za niegroźne

Myślę, że w spokojnej rozmowie powinna wejść strona rządowa z prezydencką. Wchodzę natomiast w ważniejszą rzeczywistość – pod skórę Ukraińców, a także tych Polaków, którzy znajdują swoją reprezentację w hasłach, twarzach i ustach „kamratów”, „konfederatów” i „brauningów”.

Boję się, że prezydent od dawna nie poczuł tego, co mogłaby uświadomić mu sytuacja na Małym Rynku. Nie zobaczył pokojowej determinacji Ukraińców, którzy mogą w Polsce żyć i realizować marzenia, głównie o życiu normalnym. Nie dotknął namacalnej nienawiści, jakiej nie szczędziło Ukraińcom dwoje krakowskich arcy-polaków. Choć może być i tak, że dotknął i zlekceważył. Za sprawą prezydenckiego weta zaistniał akt pozornie niewinny: brak życzliwości i zrozumienia. Brak wrażliwości. Druzgocący, więc niedopuszczalny.

Gwałtowny koniec randki

Gdzieś na marginesie prezydenckiego weta chcę przestrzec pana prezydenta przed postaciami antyukrainizmu, które mogą uchodzić (jak przekonałem się po komentarzach) za niegroźne.

Oto na moich oczach, na tak zwanej Patelni, przed stacją metra Centrum, miało ewidentnie dojść do pierwszej randki pomiędzy Ukrainką i rdzennym Polakiem. „Cześć”, powiedział chłopak. „Cześć”, odpowiedziała nieśmiało dziewczyna z tym cudownym zmiękczeniem, które od kilku lat dekoruje monolit polskiego języka. „Cześć”, powtórzył chłopak, tym razem parodiując, myśląc że dowcipnie i wdzięcznie, wymowę Ukrainki. Która słysząc to jego nienaturalnie zmięczone „cześć”, zaczerwieniła się, nawet nie spojrziała na chłopca, i odeszła...

Otóż nie oczekuję od prezydenta dyktowania szczegółowych wskazówek co do ustaw. Oczekuję, że będzie wyczulał na utajone formy arcy-polskiej wyższości wobec wszystkich obywateli i mieszkańców Polski, skądkolwiek pochodzą. ●

REKLAMA

Kraj/34390563

OPOWIEŚĆ O SILE DUCHA W STARCIU ZE ZŁEM I TERROREM

Wyrastający ponad swoje czasy Ludwik Fleck czuł się Polakiem, ale jako Żyd z urodzenia był przez polskich antysemitów odkształcany i odpluwany z pogardą. To kolejna książka boleśnie demitologizująca polski Lwów. Wynalazca łatwej w produkcji szczepionki na tyfus plamisty nie znalazł antidotum na ludobójcze szaleństwa XX wieku. Poruszająca historia o woli przetrwania w czasach Zagłady i pokrzepiająca przypowieść o potęgde myśli, która nie ginie, a odradza się w pracach naśladowców! Naprawdę warto!

JAROSŁAW KURSKI



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL

www.wydawnictwoagora.pl

WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

PATRONI:



86. rocznica ataku Niemiec na Polskę



OKTÓREJ WYBUCHŁA

wojna?

Gdzie padły pierwsze strzały II wojny światowej?
Istnieje wiele odpowiedzi na to pytanie, a tylko jedna jest prawidłowa.

Jan Szkudliński

Jeśli spojrzeć ściśle chronologicznie, to być może należałoby pierwsze strzały przesunąć w czasie przed sławną godzinę 4.45, kiedy to rozpoczynamy dzisiaj uroczystości rocznicowe. Kilkanaście minut przed tym, gdy pancernik „Schleswig Holstein” oddał strzały w kierunku Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte, niemieckie sztukasy zaczęły schodzić w lot nurkowy nad stanowiskami żołnierzy 2. Batalionu Strzelców i przydzielonych saperów, którzy obsadzali pozycje obronne po zachodniej stronie wielkiego mostu kolejowego nad Wisłą w Tczewie. Samoloty z wyciem zeszły w dół i zrzuciły bomby. Była 4.34.

DZIELNI KOLEJARZE Z SZYMANKOWA

Niemiecki atak spełził na niczym – stanowiska polskie nie zostały zniszczone, a pociąg wiozący niemiecki oddział specjalny, który nadjechał po dziesięciu minutach od strony Prus Wschodnich, został zatrzymany przed mostem. Po nieco ponadgodzinnej walce padł

rozkaz wysadzenia mostu – najważniejsza przeprawa kolejowa na starej linii łączącej Berlin z Królewcem została przecięta na wiele tygodni.

Dlaczego niemiecki pociąg nie dotarł jednocześnie z bombardowaniem? Był to efekt bohaterstwa polskich celników i kolejarzy, którzy zorientowali się, że zamiast rozkładowego pociągu ekspresowego nadjeżdża grupa specjalna. Kolejarze z granicznej stacji Szymankowo, ostrzeżeni telefonicznie przez celników z Kaldowa, skierowali niemieckie pociągi na bocznice, nim zostali obezwładnieni. Większość z nich została następnie okrutnie wymordowana przez gdańskich SA-Mannów. Może więc powinniśmy lokować pierwsze strzały drugiej wojny światowej gdzieś na linii Kaldowo – Szymankowo?

Skoro nawiązujemy do zbrodni niemieckich, co zatem z Wieluniem? Przecież wedle popularnej wersji, nim niemieckie pociski spadły na Westerplatte czy też nim sztukasy zrzuciły swój śmiercionośny ładunek pod Tczewem, inne sztukasy miały już od kilkunastu minut obracać w perzynę bezbronny Wieluń. Atak na miasto pozbawione jakichkolwiek urządzeń obronnych, w którym nie było żadnych jednostek Wojska Polskiego ani też umocnień, znakomicie przystaje do zbrodniczego charakteru działań niemieckich przeciwko Polsce w 1939 roku.

Nalot na Wieluń, który pochłonął co najmniej 127 zabitych, w tym 26 chorych, dwie siostry za-

konne i cztery pielęgniarki zaatakowanego również mimo oznaczeń miejskiego szpitala, był pierwszym przejawem tego, co stało się znakiem rozpoznawczym niemieckiej metody prowadzenia wojny powietrznej. Siła tego przekazu sprawiła, że na 65. rocznicę rozpoczęcia wojny w 2004 roku oficjalne państwowe uroczystości z udziałem prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego odbyły się nie tradycyjnie na Westerplatte, ale właśnie w Wieluniu.

WIELUŃ NIE BYŁ PIERWSZY

Dlaczego jednak piszę o popularnej wersji? Bo w rzeczywistości nalot na Wieluń nastąpił kilkadziesiąt minut po atakach na Tczew i Westerplatte.

Pomyłka jednego z polskich świadków wydarzeń, połączona z błędnym przekonaniem, że w Polsce i Niemczech istniało godzinne przesunięcie czasu letniego, sprawiły, że w popularnym obiegu zaczęła zyskiwać na znaczeniu teza, jakoby pierwsze bomby spadły na Wieluń o 4.20-4.30 rankiem 1 września. Choć twierdzenie to ma wielu zwolenników, nie odpowiada prawdzie, co przekonująco wykazali historycy na czele z Grzegorzem Bębniakiem.

Dokumentacja niemieckiej jednostki lotniczej, bombardującej Wieluń pierwszej eskadry 76. Puł-

ku Bombowców Nurkujących, świadczy niezbicie o tym, że maszyny wzniosły się w powietrze o godzinie 5.02, zaś pierwsze bomby spadły po kilkudziesięciu minutach. A co z różnicą czasu? Nie było jej – i w Polsce, i w Niemczech obowiązywał wówczas ten sam czas.

Był on natomiast przesunięty o godzinę względem dzisiejszego czasu środkowoeuropejskiego – nasza obecna czwarta rano, to ówczesna godzina piąta, dlatego uroczystości, czy to na Westerplatte, czy w Wieluniu, odbywają się sporo przed świtem, w całkowitych jeszcze ciemnościach, podczas gdy filmy ukazujące, jak pancernik „Schleswig-Holstein” ostrzeliwuje Westerplatte, nakręcono w szarości przedświtu – 1 września 2025 roku słońce wszędzie w Gdańsku o 5.53; przed 86 laty weszło o 4.51.

Choć więc Wieluń pozostaje nadal symbolem początku bezwzględnej kampanii na wyniszczenie, jaką rozpętali Niemcy przeciwko Polakom, bez znaczenia, czy nosili mundury, czy byli cywilami, nie tam padły pierwsze strzały II wojny światowej.

Gdzie zatem? Może należy szukać bliżej granic? W nadgranicznych Krzepicach na Śląsku, na dalekim przedpolu starcia pod Moką 1 września polska Wołyńska Brygada Kawalerii stoczyła z niemiecką 4. Dywizją Pancerną całodzienną bitwę. W jej trakcie doszło do kilku nieudanych szarż, tyle że niemieckich czołgów na umiejętnie broniących się za pomocą działek i karabinów przeciwpancernych polskich ułanów i strzelców konnych, którzy walczyli pieszo, konie były z tyłu. W Krzepicach już po godzinie trzeciej rano oddział żołnierzy miejscowej Obrony Narodowej został zaatakowany przez niemieckie siły rozpoznawcze. Starcie to co prawda nie miało żadnego wpływu na dalszy przebieg działań, jednakże w jego przypadku możemy stwierdzić, że – w odróżnieniu od Wielunia – do wymiany strzałów doszło na ponad godzinę przed ostrzałem Westerplatte czy nalotem na tczewski most.

A TERAZ ZSYNCHRONIZUJMY ZEGARKI

Czy jednak to naprawdę strzały pod Krzepicami były pierwszymi oddanymi w czasie realizacji niemieckiego planu „Weiß”, czyli uderzenia na Polskę? A jeśli tak, dlaczego zdarzyły się wcześniej niż godzina wyznaczona w tymże planie – 4.45 rano, parę minut przed świtem?

Zacznijmy od drugiego pytania. Skoro plan wyznaczał moment ataku co do minuty, dlaczego tu i ówdzie Niemcy przekraczali granicę wcześniej? Odpowiedź jest w miarę prosta. Dzisiaj przywykliśmy do tego, że w każdej chwili możemy sprawdzić dokładną godzinę. Spoglądamy na ekran smartfona czy smartwatcha, który wyświetla aktualny czas zsynchronizowany co do sekundy z zegarami atomowymi odmierzającymi go z absolutnie niepodważalną dokładnością opartą o stałe fizyczne. Mając takie możliwości, możemy spokojnie uzgodnić rozpoczęcie jakiegoś wydarzenia co do sekundy.

W roku 1939 było inaczej. Czas ustalano wedle wydarzeń astronomicznych, pewną możliwość jego synchronizowania na większej przestrzeni umożliwiało radio czy telefony, ale wyposażenie każdej osoby w bezpośrednią łączność głosową, co dzisiaj jest rzeczą normalną, wtedy znajdowało się w sferze raczej powieści fantastycznych. Ludzie oddaleni od radia mogli polegać wyłącznie na zegarkach, wówczas mechanicznych, jeszcze bez automatycznego naciągu, nakręcanych. Wystarczyły drobne rozbieżności i z każdym dniem rosła różnica czasu pokazwanego przez różne zegarki.

Stąd niekiedy w opowieściach o tamtych czasach, filmowych czy literackich, widzimy coraz mniej dzisiaj rozumianą czynność synchronizowania ze sobą zegarków kilku osób, które w różnych miejscach miały koordynować jakieś działania. Od ostatniej koordynacji mogło jednak dojść do wielu rozbieżności, wystarczyło, by ktoś zapomniał nakręcać regularnie zegarek. Na nic zdać się mogło wysłanie sygnału synchronizującego np. przez radio – bo przecież odbiorniki radiowe również nie były wyposażeniem osobistym, to czasy nie tylko przed układami scalonymi, ale przed wynalezieniem tranzystorów; odbiorniki radiowe były względnie dużymi urządzeniami.

Stąd i rozbieżności czasowe, braki synchronizacji czy – jak pod Krzepicami – przystąpienie do działań jednostek rozpoznawczych, szycujących pod Krzepicami drogę dla czołgów 4. Dywizji Pancerniej, części XVI Korpusu Pancernego, czyli głównej niemieckiej siły prowadzącej uderzenie ze Śląska na Warszawę.

■
Choć Wieluń pozostaje nadal symbolem początku bezwzględnej kampanii na wyniszczenie, jaką rozpętali Niemcy przeciwko Polakom, nie tam padły pierwsze strzały II wojny światowej

ATAK NA PRZEŁĘCZY

Zresztą właśnie problemy z łącznością sprawiły, że jeden z ataków zaplanowanych w pierwszej fazie agresji na Polskę odbył się nie 1 września, ale już w godzinach rannych 26 sierpnia 1939 roku. Bo przecież operacja „Fall Weiß” pierwotnie miał się rozpocząć nie w piątek 1 września, ale niemal tydzień wcześniej; wówczas godzinę ataku wyznaczono na 4.30 rano.

I mniej więcej o tej godzinie kilkudziesięcioosobowy niemiecki oddział dywersyjny zaatakował stację kolejową Mosty, próbując opanować kraniec tunelu pod Przełęczą Jabłonkowską w Beskidach. Niemcy zostali zatrzymani, jednak zgodnie z planem utrzymywali budynek dworca, spodziewając się lada chwila nadejścia regularnych wojsk niemieckich. Gdy te nie nadchodziły, oddział dywersyjny wycofał się za granicę. Dopiero tam jego dowódca dowiedział się, że w związku z udzieleniem w dniu 25 sierpnia przez Wielką Brytanię gwarancji bezpieczeństwa Polsce operacja została odwołana – informacji o tym nie zdołano jednak dostarczyć na czas dowódcy dywersantów.

Czy zatem winniśmy wskazywać na Przełęcz Jabłonkowską jako na miejsce rozpoczęcia II wojny światowej? Rodzi to pewien problem – w sierpniu 1939 roku była to stacja kolejowa Mosty i Przełęcz Jabłonkowska w województwie śląskim. Dzisiaj jest to miejscowość Mosty u Jablunkova i Jablunkovský prusmyk w Republice Czeskiej. Ewentualne przeniesienie miejsca wybuchu największego konfliktu w dziejach ludzkości poza granice kraju mogłoby wstrząsnąć założeniami polskiej polityki historycznej.

Zresztą nie miałoby to wielkiego sensu. Starcia z niemieckimi dywersantami w ostatnich tygodniach przed wybuchem wojny się nasilały. Dochodziło do ataków zarówno na oficjalne czynniki polskie, jak i prowokacyjnych i nagłaśnianych napaści na mienie i życie mieszkających w Polsce Niemców. W różnych punktach pogranicza wybuchały granaty i bomby. Nie tylko zresztą pogranicza – tuż przed północą wieczorem 28 sierpnia 1939 roku ogromny wybuch wstrząsnął dworcem kolejowym w Tarnowie. Sprawcą był syn Niemki i Polaka (ojciec zginął w II wojnie światowej), pozyskany przez niemiecką Abwehrę do pozostawienia w przechowalni bagażu

walizek z bombami. Został ujęty, ponieważ kręcił się w pobliżu dworca ciekawy skutków zamachu i ktoś rozpoznał go jako tego, który pozostawiał walizki.

Zamach mimo nocnej pory był skuteczny. W ostatnich dniach przed wybuchem wojny dworce były bardzo ruchliwe, trwała częściowa mobilizacja, ludzie wracali z wakacji lub opuszczali zachodnią Polskę w nadziei przeczekania wojny w – zdawałoby się – bezpiecznej odległości od granicy z Niemcami. W Tarnowie zginęło 20 osób, a kilkadziesiąt odniosło obrażenia. Choć zamach ten pozostaje jednym z największych aktów dywersji dokonanych przez Niemców przed wybuchem wojny, nie był bynajmniej jedyny.

CHIŃCZYCY TEŻ MAJĄ SWOJĄ DATĘ

Zajęliśmy się oczywiście jedynie kwestią tego, gdzie padły pierwsze strzały w czasie niemieckiej agresji na Polskę w 1939 roku. Oczywiście nie wszystkie kraje utożsamiają wybuch II wojny światowej z atakiem na Polskę. Dla historiografii radzieckiej i malpującej ją narracji putinowskiej Rosji „prawdziwa” data to 22 czerwca 1941 roku, czyli niemiecka agresja na Związek Radziecki i początek tego, co nazywane jest Wielką Wojną Ojczyźnianą. W ten sposób tuszuje się współudział Stalina w wybuchu wojny i prawie dwa lata brutalnej radzieckiej okupacji wschodniej Polski, państw bałtyckich i Besarabii oraz niejako skrywa agresję na Finlandię.

Nieco inny mechanizm każe Amerykanom upatrywać początku konfliktu 7 grudnia 1941 roku, czyli w dniu japońskiego ataku na Pearl Harbor. Szok, jakim było zatopienie pancerników amerykańskiej Floty Pacyfiku, w jednej chwili sprawił, że bardzo silne w ówczesnych Stanach Zjednoczonych tendencje do dystansowania się od wrzącego w Europie od 1939 roku konfliktu (to nie nasza wojna, niech sobie Europa sama radzi ze swoimi problemami – brzmi znajomo?) znikły niczym kamfora. Dziesiątki tysięcy Amerykanów rzuciły się do punktów werbunkowych, by podjąć walkę z Japonią i Niemcami, gdyż 12 grudnia Hitler wypowiedział Stanom Zjednoczonym wojnę.

Zresztą my w Polsce czy szerzej w Europie zapominamy niekiedy i o tym, że wojna w Azji trwała już co najmniej od 7 lipca 1937 roku, kiedy to przy moście Marco Polo w Pekinie doszło do wymiany ognia pomiędzy jednostką armii japońskiej stacjonującą w mieście a miejscowym oddziałem chińskim. W odróżnieniu od licznych wcześniejszych incydentów i japońskich agresji, trwających już od 1933 roku, eskalowało w zmasowaną inwazję dokonaną przez japońskie siły zbrojne.

To, że wojskowym japońskim najpewniej pozwolono na sprowokowanie incydentu i rozpoczęcie działań zbrojnych wbrew woli rządu, zmuszonego niejako podążać za kierunkiem wyznaczonym przez armię, ukazuje nam niebezpieczeństwa kryjące się w braku cywilnej kontroli nad wojskiem.



▲ Zniszczony tuż po wybuchu wojny most na Wiśle w Tczewie

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Gdy 1 września 1939 roku padały strzały, w Chinach od ponad dwóch lat trwała ciężka wojna, doszło do krwawej, wielomiesięcznej bitwy o Szanghaj i do rzezi Nankinu, chyba najbardziej morderczej celebracji zwycięstwa i zdobycia stolicy przeciwnika od czasu, gdy Mongołowie zdobyli Bagdad w 1256 roku.

Widać, że jeśli przyjmiemy szerszą perspektywę, wówczas miejsce i moment wybuchu II wojny światowej może być postrzegany zupełnie odmiennie.

ZACZEŁO SIĘ W GDAŃSKU

Gdzie zatem się zaczęła? Trzeba wrócić jednak do Wolnego Miasta Gdańsk, do spowitego półmrokiem przedświtku kanału portowego, na którym o godzinie 4.48 niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein” otworzył ogień w kierunku polskiej Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Stoją za tym ważne powody.

To przecież Gdańsk był symbolicznym ośrodkiem polsko-niemieckiego sporu.

To za Gdańsk umierać nie chciał Marcel Déat w swoim poczytnym artykule opublikowanym na łamach „L’Oeuvre”.

To Gdańska między innymi żądał od Polski Hitler, zamierzając zlikwidować wolne miasto i wcielić je do Rzeszy, dokonując kolejnego kroku w demontażu traktatu wersalskiego.

To w Gdańsku miejscowi Polacy doświadczali coraz silniejszych szykan, byli łżeni i bici na ulicach za to, że ośmielali się mówić w swoim ojczystym języku.

To w Gdańsku polscy urzędnicy szykowali plany ewentualnej obrony swoich placówek przed nazistowskim puczem; w przypadku Poczty Polskiej – chronionej prawem międzynarodowym eksterytorialnej polskiej instytucji – jej pracownicy mieli stoczyć epicką walkę, by później paść ofiarą niemieckiego mordu sądowego.

To w Gdańsku znajdował się jedyny stały zagraniczny garnizon Wojska Polskiego, i to tam major Henryk Sucharski w coraz bardziej napiętej atmosferze poświęcał większość sił na to, by nie dopuścić do jakiegoś incydentu, który mógłby zostać przedstawiony jako polska agresja i być może pogrzebać szanse na pomoc zbrojną aliantów, a otworzyć drogę ku jakiemuś nowemu Monachium.

To w Gdańsku niemieckie kompanie propagandowe uwieczniły nieśmiertelne sceny pancernika osnutego dymem własnego ognia, eksplozje pocisków i ataki na Poczczę Polską z użyciem samochodów pancernych, artylerii i motopompy lejącej podpalaną następnie benzynę.

To w Gdańsku wreszcie od roku 1999 trwa tradycja zapoczątkowana przez prezydenta Pawła Adamowicza i harcerzy organizowania uroczystych apeli poległych, które przerodziły się w oficjalne państwowe uroczystości.

Niezależnie od tego, gdzie padły pierwsze strzały, gdzie spadły pierwsze bomby, gdzie zaatakowali pierwsi dywersanci, symboliczny początek niemieckiej agresji na Polskę, agresywnych wojen III Rzeszy niemieckiej, które były najważniejszym z konfliktów zbrojnych składających się na zmagania zwane II wojną światową, ten symboliczny początek miał miejsce właśnie tutaj. Wszystko zaczęło się na Westerplatte. ●

Dr Jan Szkudliński

• muzealnik, tłumacz, kierownik działu naukowego w Muzeum II Wojny Światowej, kurator kilku sekcji tematycznych wystawy głównej. W latach 2017-19 kierownik Działu Historycznego Muzeum Miasta Gdyni. Od 2020 roku przygotowuje w Muzeum Gdańska nową wystawę stałą w oddziale Muzeum Poczty Polskiej. Współpracował m.in. przy wystawach „Westerplatte: Kurort – Bastion – Symbol” (Muzeum II Wojny Światowej, 2009), „Sucharski: Oblicza” (Muzeum Gdańska, 2021). Autor ścieżki edukacyjnej na Westerplatte w Muzeum II Wojny Światowej. Przełożył na polski kilkadziesiąt książek historycznych oraz artykułów naukowych.

45. rocznica Sierpnia '80

Robotnik nie prosi O WYBACZENIE

Dla włoskiej lewicy „Solidarność” była jednocześnie przedmiotem fascynacji i lekkiego zażenowania.

► Stocznia im. Lenina w Gdańsku, 21 sierpnia 1980 roku, przywódca strajku, Lech Wałęsa, podczas spotkania

FOT. GAMMA-RAPHO
VIA GETTY IMAGES



Mateusz Mazzini

Współistnienie tych dwóch światów było w domu oczywiste, nie tylko ze względu na pochodzenie i naturę naszej rodziny. Będąc dzieckiem, nie kwestionuje się przecież natury świata, który nas otacza – a już na pewno nie rozkłada się go na czynniki pierwsze za pomocą narzędzi i kategorii używanych przez dorosłych. We wcześniejszych latach 90. w naszym wrocławskim domu nie było więc sztywnego podziału na stary, demokratyczny od zarania dziejów europejski Zachód i Polskę dopiero do tego klubu aspirującą. Kategorie narodowe też były raczej abstrakcyjne, być może do codziennego życia weszły kuchennymi drzwiami przez zmagania sportowe.

Piłka nożna odgrywała znacznie ważniejszą rolę w cementowaniu rzeczywistości polskiej i włoskiej niż polityka. Kwestia mniej lub bardziej publicznego zaangażowania w historię przez wielkie i małe „h” nie była nawet w części tak istotna jak opowieści o udziale w organizacji w 1995 roku meczu AC Milan, wówczas drużyny galaktycznej, najlepszej na świecie, przyjeżdżającej do nieodległego przecież Lubina na spotkanie z miejscowym Zagłębiem.

Tamten mecz był zresztą dobrą metaforą dla wszystkiego, co mieszcilo się w pojemnych hasłach „Włochy” i „Polska”. Mediolańczycy byli elitą, bogatym i eleganckim emisariuszem lepszego świata, który dominował na salonach. Klub z Lubina w dwumeczu stracił osiem bramek, przegrał oba mecze, ale w rewanżu, u siebie, wpakował honorowego gola – i to był gigantyczny powód do radości.

Taki dystans dzielił oba kraje pod względem piłkarskim, politycznym, ekonomicznym, nawet jeśli w domu nigdy się tego nie odczuwało.

W tle wybrzmiewały jednak też inne historie, znacznie poprzedzające moje przyjście na świat. Jedną z nich, zrozumianą przeze mnie w latach późniejszych, była opowieść o „Solidarności”, czy szerzej – o polskiej, oddolnej, robotniczej i antytotalitarnej opozycji, przepuszczona przez zagraniczny filtr. Cała rodzima ścieżka edukacyjna, od szkoły podstawowej aż po maturę z wiedzy o społeczeństwie, koncentrowała się tylko na kilku protagonistach i prostej dychotomii ustawionej wzdłuż osi opozycja – władza lub społeczeństwo – partia. Nikt tego nigdy nie niuansował, nie wstawiał w szerszy kontekst – nie tylko historyczny, ale też, a może przede wszystkim – geograficzny.

Opierając swoją wiedzę o „Solidarności” wyłącznie na szkolnych podręcznikach i dyskusji w klasach, można było odnieść wrażenie, że był to ruch całkowicie unikatowy, powstały w Polsce, przez nikogo niewspierany, a przez wszystkich zwalczany. W dodatku na dychotomiczną preraźliwie uproszczona wizja świata rozlewała się na resztę kontynentu. W tej opowieści Zachód był zawsze dobry i demokratyczny, Wschód – zły, dziki, przeżarty komuną. Jeśli ktoś „Solidarności” pomagał, to co najwyżej Ronald Reagan, oczywiście w porozumieniu z Karolem Wojtyłą. Czyli dwaj ultraprawicowi, konserwatywni gracze wielkiego formatu, którym nie tyle chodziło o emancypację robotników i poprawę ich warunków – co było przecież praprzyczyną powstania opozycji w czasach PRL – ile o rozwalenie Sowietów, najlepiej bez jednego wystrzału.

„ZIBI” U NAS BYŁ BEZ SZANS

Wysłuchiwanie tej interpretacji historii zawsze wywoływało u mnie zgrzyt, bo nie sklejała się ona z ową dwujęzyczną, złożoną opowieścią, która dominowała w domu. Trudno mi było zakwalifikować wszystko,

co zachodnie, jako cnotliwe i całościowo demokratyczne. Znałem chociażby historię nieudanego włoskiego zamachu stanu z 1970 roku planowanego przez Junio Valerio Borghesego, przy wsparciu, a na pewno przy pełnej świadomości oficerów CIA i amerykańskiej Partii Republikańskiej.

Krajowa opozycja czasów PRL nigdy nie istniała dla mnie w próżni, odzwierciedleniem tego były domowe półki z książkami. Gdziekolwiek pojawiał się tam Kapuściński, sąsiadowała z nim Oriana Fallaci, która w opowieściach rodziców była zawodniczką tej samej wagi w światowym dziennikarstwie, co zmitologizowany, choć wciąż żyjący wieszcz Ryszard. W zbiorze jej rozmów z wielkimi tego świata zatytułowanym „Wywiad z władzą” Lech Wałęsa (ale też Mieczysław Rakowski) znalazł się nie przez przypadek. Co więcej, umieszczenie w tym zestawie noblisty było jak najbardziej spójne z selekcją reszty jej interlokutorów. Przecież zbiór ten otwiera Robert Kennedy, po którym znaleźć można chociażby rozmowę z Dalajlamą.

Dla mnie, chłopaka z rodziny polsko-włoskiej, w obu jej częściach zaangażowanej w walkę z reżimem, „Solidarność” nigdy nie była fenomenem stricte krajowym. Bo jak mogłaby nim być, jeśli mój włoski dziadek, weteran apenińskich walk z faszyzmem, wołał rozmawiać o Wałęsie bardziej niż o jakimkolwiek innym Polaku. Geograficznie miał być może bliżej do Jana Pawła II, ale to Wałęsa był obiektem dociekań.

Czytelników chcących pójść w tym miejscu drogą stereotypową spieszę zapewnić, że stereotypów w tej historii nie ma. Mimo

10 mln członków, a do zagranicznej prasy przedostawały się zdjęcia ze Stoczni im. Lenina, z papieskich pielgrzymek czy później ze stanu wojennego. Zachodnia lewica, która przecież była potężną siłą polityczną we Włoszech, Francji, RFN i w innych krajach, patrzyła na „Solidarność” z mieszkanką zafascynowania, zazdrości, ale też zażenowania.

Oto bowiem polski robotnik, który, wstając z kolan i próbując reformować, a ostatecznie obalając, system totalitarny, jednocześnie klękał w kościele przed księdzem. W oczach zachodnich eurokomunistów, socjalistów, a nawet trockistów legitymizował w ten sposób opresyjną strukturę, która przyczyniała się do ich klasowego uciśnienia.

Jednym z najczęściej reprodukowanych we włoskiej prasie zdjęć ze strajków w Stoczni Gdańskiej była fotografia ks. Stanisława Płatka spowiadającego stoczniowców. Znalazła się m.in. w „Corriere della Sera”, które wydało nawet okolicznościową publikację pod tytułem „Il Vento del Baltico” (Wiatr znad Bałtyku). Był to zbiór korespondencji i reportaży z okresu pomiędzy czerwcem a sierpniem 1980 roku szeroko komentowany na Półwyspie.

O strajkach w stoczni, powstaniu „Solidarności”, ale też o zaciskającej się później na szyi opozycjonistów pętli komunistycznych represji pisała także prasa lewicowa. Sporo na ten temat można przeczytać w archiwach dziennika „L’Unita” („Jedność”), założonego w latach 20. XX wieku jako oficjalne wydawnictwo Włoskiej Partii Komunistycznej. Gazeta przestała istnieć w 2014 roku, choć już po globalnych



• „Danzica, Stettino, come Torino” („Gdańsk i Szczecin, tak jak Turyn”), skandowali robotnicy z zakładów Fiata w Turynie podczas strajku we wrześniu 1980 roku

FOT. EDOARDO FORNACIARI/GETTY IMAGES

że mowa o Italii, piłka nożna była zawsze tematem drugorzędnym, więc jeśli komuś do głowy w rywalizację Wojtyły z Wałęsą wmieszał się Zbigniew Boniek, to spieszę poinformować, że z politykami „Zibi” nie miał w rodzinnych rozmowach najmniejszych szans.

WIATR ZNAD BAŁTYKU

Mało tego, rozmów o współpracy między włoską lewicą i polską opozycją antykomunistyczną było tyle, że przez pewien czas tliła mi się w głowie hipoteza, że był to ruch dwunarodowy, a może nawet ogólnoeuropejski. I nie chodzi tylko o ważne figury, zwłaszcza wrocławskiej „Solidarności”, pojawiające się w opowieściach rodziców jako niespodziewani petenci potrzebujący tłumaczeń listów, dokumentów i opracowań.

Polski ruch robotniczy budził gigantyczne zainteresowanie w Europie Zachodniej od początku istnienia. Nie tylko dlatego, że w szczytowym momencie zgromadził

zmianach „końca historii” lat 90. weszła w trudny okres. Komunizm jednoznacznie przegrał, bez względu na to, o jakim komunizmie mowa.

Tego też nikt nie niuansował w szkolnych narracjach na temat Polski i świata w czasach powojennych. A szkoda, bo dokładnie tak samo jak z każdą inną wielką ideologią, czy mowy o liberalizmie, konserwatyzmie – istniało wiele komunizmów, które dość mocno się od siebie różniły.

WIELKA NADZIEJA CZERWONYCH

Włoska lewica w drugiej połowie XX wieku była mocno niejednorodna, takie też były jej reakcje na „Solidarność” i późniejsze zmiany w Polsce. Największym graczem na scenie była oczywiście Włoska Partia Komunistyczna (PCI), prawdopodobnie najsilniejsza tego typu formacja polityczna w całej Europie Zachodniej tamtych lat. W końcu jedynie we Włoszech komuniści otrzymali zaproszenie do udziału w two-

rzeniu rządu na mocy szerokiego mandatu demokratycznego. Mieli też swoje bastiony, w których regularnie wygrywali wybory – jak chociażby Toskania czy Emilia-Romania, tereny do dziś trudne do zdobycia dla prawicy.

Wbrew pozorom jednak komuniści nie mieli rządu dusz na włoskiej lewicy. Enrico Berlinguer, prawdopodobnie najpopularniejszy przywódca PCI w jej historii, przez wielu, zwłaszcza młodych, zbuntowanych przeciwko powojennej klasie średniej lewicowców, był bardzo mocno krytykowany, zwłaszcza za pochodzenie. Wywodził się z rodziny bogatej zarówno finansowo, jak i w kapitał kulturowy. A to już wystarczyło, żeby w oczach lewicy radykalnej – wciąż antysowieckiej, a przynajmniej antystalinowskiej – był człowiekiem zdradzającym walkę klas, nienadającym się do przeprowadzenia rewolucji, która miała obalić kapitalistyczną gospodarkę i wprowadzić równość społeczną.

ZAZDROŚĆ, NAWET PODZIWIW

Tym, co łączyło włoską lewicę, było jednoznaczne odrzucenie Związku Radzieckiego jako politycznej manifestacji marksizmu i komunizmu. Z tego poglądu wyrósł eurokomunizm, ruch popularny wśród studentów i zachodniej młodzieży lat 60., spopularyzowany przez protesty studenckie 1968 roku. One wcale nie rozpoczęły się w Paryżu, tylko w Turynie, co w miarę regularnie podkreślano w naszych rodzinnych rozmowach – zarówno włoskich, jak i wrocławskich.

Eurokomuniści, których intelektualnym patronem był Antonio Gramsci, wobec Związku Radzieckiego byli bardzo krytyczni. Uważali, że wprowadzono tam „fałszywy komunizm”, który został przekształcony w oligarchię uprawiającą terror i przemoc. Z tego względu „Solidarność”, która stawiała opór totalitaryzmowi, była dla nich iskrą nadziei, szansą na prawdziwy ruch robotniczy, który niósłby sprawiedliwość i klasową równość.

Na to, co działo się w Polsce, patrzyli z szacunkiem, ale też z lekką zazdrością. W końcu to, co udawało się Wałęsie, wobec którego mieli przecież mieszane uczucia, było marzeniem wszystkich komunistycznych, socjalistycznych, a nawet rewolucyjnych działaczy. Oto robotnik organizował zryw robotników! Bez pośrednictwa klasy średniej, intelektualistów, kogokolwiek, kto byłby w stanie ukraść im ich własną rewolucję. Nie była to zmiana zapożyczona, tylko autentycznie oddolna. Po pierwsze więc – dowód na to, że coś takiego jest w ogóle możliwe, potwierdzenie i legitymizowanie ich własnych celów i oczekiwań. Po drugie – nikomu z nich takiego zrywu, skierowanego przeciwko władzy centralnej, nie udało się zorganizować. Czy była to zazdrość destrukcyjna? Raczej nie, być może w tym miejscu bardziej zasadne byłoby użycie słowa „podziw” – nie ma co ukrywać, włoscy lewicowcy też chcieliby mieć swoją „Solidarność”.

LECHU, PRZED KIM TY KLĘKASZ?

Uwierał ich jeden ważny element solidarnościowej tożsamości, który nie pasował do zachodnich realiów klasy robotniczej, a może bardziej do lewicowych fantazji na temat tego, jak wygląda życie robotnika w krajach pod sowieckim wpływem. Gdy wspomniane zdjęcie spowiedzi w Stoczni Gdańskiej trafiło na okładki lewicowych gazet, podpisywane było pytaniem: „Kogo oni mają prosić o wybaczenie i za co?”.

Kościół katolicki, organizacja hierarchiczna popierająca gospodarkę rynkową, była wrogiem klasowym. Nie byli to księża z Ameryki Łacińskiej, przesiąknięci teologią wyzwolenia, wierzący w Chrystusa z karabinem na ramieniu, tylko dystyngo-

wani duchowni o konserwatywnych, często nacjonalistycznych poglądach. Robotnik, zwłaszcza zorganizowany, gotów obalać system, nie powinien klękać przed kimś takim. A tymczasem strajkujący klękali, jeden po drugim. Mało tego, ich przywódca Matkę Boską nosił wpiętą w klatę marynarki.

Nie miało dla nich znaczenia, że polski Kościół katolicki i robotniczą „Solidarność” łączyła wspólnota interesów politycznych. Antykomunistyczny papież w Watykanie też nie zmieniał poglądu włoskich lewicowców. Polską opozycję nadal wspierali aktywnie, ale trudno było im pojąć ten sojusz. Ta symbioza może była i pragmatyczna, ale po włoskiej stronie stali jednak czysti ideowcy, niejednokrotnie zahaczający o doktrynerstwo. Klęczenie przed księdzem było po prostu zdradą ideałów.

To zaangażowanie, które połączyło silną nicią Włochy i Polskę tamtych czasów, przechodząc też przez Wrocław, materializowało się głównie rękami i siłami włoskich związków zawodowych. Dziwić to nie powinno, bo „Solidarność” właśnie związkiem zawodowym była i w takich kategoriach – a nie jako rewolucyjny podmiot polityczny – była postrzegana na Zachodzie. Wszystkie trzy największe centralne związkowe na Półwyspie Apenińskim wspierały polską opozycję. Choć i tu obraz trzeba niuansować, bo każda robiła to z innych pobudek i każdej co innego u polskich robotników przeszkadzało.

KATOLICY WSPIERAJĄ, KOMUNISCI TEŻ

Największym ich sojusznikiem, co może wydawać się paradoksalne, była CISL, Confederazione Italiana Sindacati Lavoratori, czyli związek katolicki związany z chadecją. Z partiami lewicowymi, zwłaszcza z lewicą rewolucyjną, radykalną, łączyło ich niewiele. W „Solidarności” widzieli przede wszystkim ruch walczący o prawa człowieka w państwie totalitarnym. CISL zbudował ogromną sieć wsparcia, angażował się w zbiórki pieniędzy i darów dla polskich związkowców, a zwłaszcza dla rodzin aresztowanych i internowanych w stanie wojennym.

Dla samej „Solidarności” ważna była rozpoznawalność, symbolika, publiczne istnienie, bo dawało specyficzny rodzaj legitymizacji. Nie tylko w umysłach działały czy studentów, ale także w przestrzeni materialnej. CISL miał w tym spory udział, już od Porozumień Sierpniowych sprzedawał we Włoszech plakietki i naszywki z napisem „Solidarność: Wolność dla polskiego narodu”. Uzyskane w ten sposób pieniądze szły na fundusz wsparcia polskiej opozycji. Od listopada 1982 roku w ofercie pojawiła się nowa naszywka z napisem: „Solidarność wciąż żyje”, miała nie tylko przekazać, że polski ruch nie dał się pokonać, a spora jego część zeszała do podziemia, ale również to, że raz uruchomionej emocji społecznej, sprzeciwu wobec totalitarnego systemu – uśpić już się nie da.

Tych symbolicznych gestów było więcej, pierwsza strona „Tygodnika Solidarność” była regularnie tłumaczona i przedrukowywana w „Conquiste del Lavoro”, związkowym organie CISL. Z czasem do gazety zaczęto dodawać comiesięczny suplement, który nie miał już charakteru dziennikarskiego, ale analityczny, wręcz partyjny. Publikowano w nim dokumenty „Solidarności” powstające w podziemiu, analizy polityczne, gospodarcze i społeczne, a także teksty powstające w polskich środowiskach emigracyjnych. W styczniu 1982 roku kierownictwo CISL złożyło nawet u władz PRL kilka wniosków wizowych, domagając się możliwości wysłania do Polski własnej delegacji, by osobiście ocenić sytuację i rozmawiać z przywódcami związkowymi. Nawet kiedy światowa uwaga zaczynała już odsuwać się od Polski, CISL skupiało wzrok na Warszawie,

publikując odezwy i listy poparcia dla Wałęsy aż do końca 1983 roku.

Ciekawsza, znacznie bardziej złożona, była sytuacja wewnątrz CGIL, Confederazione Generale Italiana del Lavoro, istniejącego do dzisiaj największego włoskiego związku zawodowego, historycznie związanego z Włoską Partią Komunistyczną. Ich poparcie dla Porozumień Sierpniowych nie było wcale oczywiste, ponieważ CGIL było częścią jeszcze większej organizacji, Światowej Federacji Związków Zawodowych (WFTU).

Ta z kolei w sporze między PZPR a opozycją stanęła po stronie władz komunistycznych, popierając potem wprowadzenie stanu wojennego i represje wobec robotników.

To, co wydarzyło się 13 grudnia 1981 roku, spowodowało jednak olbrzymi rozłam w światowym ruchu związkowym, a włoscy komuniści z CGIL, od początku stojący po stronie Wałęsy, zdecydowali się na sprzeciw wobec WFTU. Luciano Lama, sekretarz generalny CGIL, powiedział nawet na kongresie w Turynie we wrześniu 1980 roku, że „»Solidarność« jest siłą, która poszerza fundamenty demokratycznego socjalizmu w Polsce”.

O tym, że włoscy robotnicy czerpali ogromną inspirację z tego, co działo się nad Wisłą, najlepiej świadczy fakt, że gdy we wrześniu 1980 roku wybuchł 35-dniowy strajk w fabryce koncernu FIAT, protestujący prowadzili go pod hasłem: „Danzica, Stettino, come Torino”, czyli „Gdańsk i Szczecin, tak jak Turyn”.

„SOLIDARNOŚĆ” WYMYKA SIĘ SCHEMATOM

Wszystkie te akronimy, definicje, spory doktrynalne, ale też dylematy były częścią naszej rodzinnej, niewątpliwie lepszej od szkolnej, opowieści o tamtych czasach. Włoscy związkowcy zainteresowani sytuacją w dolnośląskich fabrykach próbowali zrozumieć, co właściwie w Polsce się dzieje. Kim są ci ludzie, którzy dokonali gigantycznej samoorganizacji, niekoniecznie mając temu odpowiednie przygotowanie merytoryczne, być może nawet klasowe?

„Solidarność” wymykała się schematom, stanowiła zagadkę, bo rewolucja, którą przeprowadziła w Polsce, nie przebiegała w sposób oczywisty.

Nie była wyciągnięta z pomysłów Marksa czy Gramsciego, a lokalny kontekst, ogromna siła Kościoła i zdolność hierarchów do organizowania życia społecznego były czynnikami, które poza Polską trudno było zrozumieć.

Dlatego ważne, żeby historii „Solidarności” i stanu wojennego nie upraszczać, tylko komplikować, niuansować. Z jednej strony był to rzeczywiście fenomen na skalę europejską, fundamentalny dla losów regionu i bloku wschodniego. Z drugiej jednak nie istniał w próżni, inne związki zawodowe w Europie, nie tylko we Włoszech, patrzyły na ten wielki eksperyment, próbując przyłożyć do niego swoje własne matryce, zwłaszcza ideologiczne. Nie zawsze było to możliwe, ale w ten sposób, podejmując dialog z Zachodem, „Solidarność” zapisała się w historii całego kontynentu.

Redukowanie jej do patriotycznego, katolickiego zrywu inspirowanego przez papieża i karmionego przez Reagana, liberałów czy Margaret Thatcher jest nie tylko historycznym kłamstwem, ale też działaniem na szkodę każdego, kto będzie się tym tematem interesował w przyszłości.

Nie mówiąc już o tym, że za pomocą relacji polskiego ruchu robotniczego z takimi podmiotami jak CGIL czy PCI można opowiedzieć o Europie w Polsce i o Polsce w Europie. Zapewne dla prezydenta Karola Nawrockiego i polskiej prawicy taka interpretacja nie jest potrzebna, niemniej jest po prostu zgodna z prawdą. Warto, by trafiła do obiegu publicznego, w końcu nie każdy usłyszy, a nawet doświadczy jej we własnym domu. ●



Dotarło do mnie, że dzieje się historia

Na pierwszym zjeździe „Solidarności” jesienią 1981 roku wśród 898 uczestników było zaledwie 71 kobiet. Ale nie siedziały cicho.

Anna Machcewicz



Symboliem udziału kobiet w „Solidarności” stała się Anna Walentynowicz. To o nią upomnieli się stoczniowcy, rzucając hasło do strajku 14 sierpnia 1980 roku, jej biografię opublikował Tomasz Jastrun już w 1985 roku. Innym symbolem może być kwestia (nie)obecności kobiet wśród przedstawicieli strony solidarnościowej w plenarnych posiedzeniach Okrągłego Stołu. Na inaugurującym obrady w lutym 1989 roku nie było żadnej. Błąd naprawiono dopiero podczas spotkania końcowego, gdy po śmierci jednego z przedstawicieli opozycji w trakcie obrad okrągłostołowych zaproszono do stołu Grażynę Staniszewską, jedyną kobietę, która, już po stanie wojennym, objęła stanowisko szefowej regionu Podbeskidzia w podziemnej „Solidarności”.

Kierowanie związkiem i solidarnościową narrację zdominowali mężczyźni, choć kobiet było w związku równo połowa. Pytania o system władzy w legalnym związku i opozycji oraz pamięć o nim zadawała dopiero amerykańska dziennikarka i feministka Shana Penn. Jej książka ukazała się po polsku w 2003 roku. Według Penn kobiety, choć licznie zaangażowane w rewolucję „Solidarności”, nie uważały walki o swoje prawa za istotną sprawę w ruchu ogólnonarodowym.

Dowodem na to była jej zdaniem zarówno niewielka waga kwestii praw kobiet wyrażana w programie i publicystyce „Solidarności”, jak i ograniczona ich obecność we władzach związku na szczeblu regionalnym i krajowym.

Od tamtej publikacji nastąpił wysyp biografii i wywiadów poświęconych kobietom biorącym udział w oporze lat 80. Towarzyszą im filmy, wystawy, murale i spektakle teatralne, ze słynnym musicaliem „1989”. Dzięki nim twarze kobiet w „Solidarności” jest dziś więc znacznie więcej.

TYLKO OSIEM PROCENT

Warto jednak zapytać, czy stanowisko Shany Penn, podzielane zresztą i przez

innych badaczy podkreślających rezygnację kobiet ze swoich praw w imię ogólnonarodowej sprawy, jest jedyną możliwą interpretacją ich postaw? Spójrzmy na kwestię kobiecą nieco inaczej, biorąc pod uwagę potrzeby wyrażone przez bohaterkę reportażu w „Tygodniku Solidarność” autorstwa Barbary Szczepuły („24 godziny z życia kobiety”, 24 kwietnia 1981). Robotnica z Łodzi zapisała się do „Solidarności”, ponieważ była wprawdzie „za sprawiedliwością i za ukaraniem tych, co doprowadzili kraj do ruiny”, ale „gdyby Solidarność załatwiła nam tylko wolne soboty, zniesienie trzeciej zmiany i płatne urlopy macierzyńskie, to i tak byłoby bardzo dużo. Dla kobiet to zbawienie po prostu. Zaczęłybyśmy wreszcie żyć po ludzku”.

Postulaty, które zostały wyartykułowane przez łódzką włókniarkę, choć na pierwszy rzut oka nie miały charakteru walki o prawa kobiet, w gruncie rzeczy dotyczyły złagodzenia skutków systemu, w którym spadały na nie obowiązki związane z prowadzeniem domu i opieką nad dziećmi, przy niedostatku usług i instytucji opiekuńczych. O nie właśnie na I Krajowym Zjeździe „Solidarności”, który odbył się w Gdańsku w dwóch turach jesienią 1981 roku, upomniały się obecne tam delegatki.

Kobiet na zjeździe było niewiele, wśród 898 uczestników było ich zaledwie 71, czyli nieco ponad osiem procent. W związku z tym ich głos był słabiej słyszalny, jednak warto poświęcić im chwilę uwagi. Tym bardziej że mimo skromnej liczby delegatek stanowiły reprezentatywny zbiór – pochodziły z różnych części kraju: dużych, średnich i małych miast, z ośrodków akademickich, silnie uprzemysłowionych lub z terenów rolniczych. Wszystkie zostały wyłonione w wyborach, były więc autentycznymi przedstawicielkami regionów. Ich zbiorowy portret sporo mówi o kobietach w ruchu „Solidarności”, ich przygotowaniu do pełnienia publicznych ról, ambicjach i drogach kariery w związku.

◀ Uczestniczki I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, który odbył się w październiku 1981 roku w gdańskiej hali „Olivia”

FOT. PAP/CAF/STEFAN KRASZEWSKI

Dwie trzecie delegatek karierę zawodową zaczynało w dekadzie 1965–1975. Doświadczyły już kryzysu rządów Gomułki, zwieńczonych studenckim, a potem robotniczym

TWARZE DELEGATEK

Delegaci i delegatki w czasie zjazdu wypełnili ankiety, w których wpisywali pochodzenie społeczne, wiek, wykształcenie, miejsce pracy, przynależność partyjną czy aktywność społeczną, a także informacje na temat udziału w strajku sierpniowym i funkcji w „Solidarności”. Niektórzy dopełniali je krótkimi wypowiedziami dotyczącymi motywacji przystąpienia do ruchu solidarnościowego. Ankiety zostały skonfiskowane przez Służbę Bezpieczeństwa po wprowadzeniu stanu wojennego, a następnie uzupełniane o dane dotyczące internowania, aresztowania, podziemnej aktywności, użyskiwane z materiałów i źródeł operacyjnych.

Ten informator służył SB co najmniej do końca 1983 roku, a przynajmniej do tego momentu gromadzono dane. Zawiera niemal kompletną listę uczestników i stanowi unikalne źródło wiedzy o tej grupie działaczy „Solidarności”. Dzięki ankietom wiemy na przykład, że ponad połowa delegatów miała wykształcenie wyższe, a jedna trzecia średnie. Dominowały elity fabryczne: technicy i inżynierowie, liczną reprezentację mieli nauczyciele, akademicy i lekarze. Wśród kobiet dominacją delegatek z wykształceniem wyższym była przytłaczająca i wynosiła blisko dwie trzecie, a średnie posiadała jedna trzecia.

Obok zawodów tradycyjnie zdominowanych przez kobiety, jak nauczycielki, pielęgniarki, urzędniczki czy lekarki, silną reprezentację miały także ekonomistki, inżynierki, prawniczki oraz przedstawicielki średniego personelu technicznego. Tylko dwie delegatki były robotnicami z wykształceniem podstawowym. Delegaci musieli sprostać wyśrubowanym oczekiwaniom swych wyborców i wyborczyń stawiających raczej na merytokrację niż egalitaryzm, a poprzeczka wobec kobiet była zawieszona wyżej niż w przypadku mężczyzn.

Delegatki należały do tej grupy kobiet, które bardzo dobrze wykorzystały szanse edukacyjne stworzone im w powojennej rzeczywistości. Awans mógł być okupiony dużym wysiłkiem, jak w przypadku Janiny Kończak, delegatki w Łodzi, która pracowała w fabryce początkowo jako robotnica, zdobywała wykształcenie wyższe stopniowo w liceum i na studiach wieczorowych, a dyplom uzyskała w 1981 roku i wówczas rozpoczęła pracę w biurze.

Aż dwie trzecie delegatek urodziło się w latach 40., karierę zawodową zaczynały więc w dekadzie 1965-75. Doświadczyły już kryzysu rządów Władysława Gomułki zwieńczonych najpierw protestem studenckim, a potem robotniczym. Przynajmniej dla części z nich oba wydarzenia musiały się stać ważnym przeżyciem. Po latach Grażyna Przybylska-Wendt, delegatka z Płocka, wspominała kolegów wyrzuconych ze studiów w ramach antyżydowskich czystek i najazd wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Z kolei Barbara Labuda z Wrocławia podkreślała, że strajk studentów, w którym uczestniczyła w trakcie studiów, był dla niej

politycznym przebudzeniem. Brat wspomnianej Janiny Kończak, gdyński stoczniowiec Andrzej Gotner, został ciężko ranny w grudniu 1970 roku i cudem przeżył. Przez całe lata 70. ukradkiem odwiedzała z bratem pokrzywdzone rodziny stoczniowców i groby ofiar.

NIEZALEŻNE FAJTERKI

Niektóre delegatki jeszcze przed wybuchem sierpniowego protestu publicznie wyrażały niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, i to niezależnie od posiadanego zawodu i wykształcenia. Kolejno: robotnica, lekarka i pielęgniarka następująco pisywały swe postawy na terenie zakładu pracy: „Zawsze walczyłam z dyrekcją, byłam pyskata, wyklócałam się”; „Założyłam kabaret, który występował na balach, i zawsze przemycalo się jakąś śmiesznośką wobec dyrekcji czy wobec partyjnych”; „Byłam kontrowersyjna, bo ciągle się o coś czepiałam i kłóciłam, o czystość, o pacjentów”.

Dzięki takim postawom były rozpoznawane w swoim środowisku zawodowym jako osoby odważne i niezależnie myślące. Z pewnością łatwiej im było zająć pozycję liderek w chwili wybuchu protestu i formowania się ruchu związkowego.

Z ankiet wynika, że delegatki cechował aktywizm. Ponad połowa należała do różnych organizacji i stowarzyszeń: od PZPR i Stronnictwa Demokratycznego, harcerstwa, Ligi Kobiet, do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Nie znamy ich motywacji, jednak takie uczestnictwo świadczy o potrzebie działania, sprawczości, chęci do angażowania się w sprawy publiczne. Wstąpienie do PZPR czy ZSMP mogło być przejawem konformizmu, ale także chęci działania, aktywizmu. Piętnaście kobiet zadeklarowało zróżnicowane kontakty z opozycją demokratyczną, od sporadycznego czytania emigracyjnych i podziemnych gazet czy książek, po pełne zaangażowanie w konspirację.

W strajkach sierpniowych uczestniczyło tylko 12 delegatek, ale do komitetów założycielskich „Solidarności” w zakładzie pracy należały już wszystkie. Był to dla nich więc wstęp do kariery w strukturach związku. Znaczna większość została członkiniami zarządów regionów lub różnych sekcji zawodowych w regionalnych strukturach. Pięły się systematycznie w górę, zdobywając w stosunkowo krótkim czasie doświadczenie działacza związkowego, najpierw w zakładzie pracy, a potem na forum międzyzakładowym, branżowym i we władzach regionów. Była to grupa dynamicznych kobiet, w dominującym stopniu dobrze wykształconych, nieprzypadkowo wybranych na zjazd.

ADWOKATKI SPRAW KOBIET

Zaledwie siedem delegatek wskazało w ankietach jako powód buntu represje, które za udział w opozycji spadły na nie

lub ich rodziny. Motywy innych były bardziej zróżnicowane, część dotyczyła praw i wolności. Jedna z delegatek napisała, że dąży do tego, „żeby każdy Polak mógł się zrzeszać dobrowolnie i z wyboru w wybranym przez siebie związku, nie narażając się na represje”.

Inna uznała, że musi walczyć o „uzyskanie dostępu do środków masowego przekazu i [o] działalność wydawniczą”.

Kolejna chciała kontroli „nad warunkami życia więźniów” i walki „o uwolnienie więźniów politycznych” oraz tego, by „doprowadzić do zmniejszenia liczebności MO i do zlikwidowania SB jako instytucji szpiegującej swoich obywateli”.

Inne proponowały reformy społeczne: „Za najważniejsze zadania uważam lokatę kapitału związku (składki) np. w spółdzielnie rolnicze, przedsiębiorstwa budowlane budujące dla związkowców, we własne zakłady ubezpieczeń, banki związkowe itp.”; „powzięcie decyzji o czynnym lub biernym udziale związku w realizacji reformy społecznej”.

Delegatki nie formułowały więc oczekiwań odnoszących się do kobiet, a w wypowiedziach pobrzmiewają raczej postulaty sierpniowe i przemyslenia dotyczące roli i zadań związku zawodowego. Jednak ich wypowiedzi podczas dyskusji zjazdowych w dużym stopniu skupione były na kwestiach ulżenia codzienności kobiet w opiece nad domem i dzieckiem. Barbara Przesłańska z Częstochowy, przedstawicielka zakładów włókienniczych, pracująca na stanowisku kontrolerki, w imieniu kobiecej załogi swej fabryki mówiła o konieczności uporządkowania kwestii składek związkowych i zasiłków dla rodzin jako o sprawach dużo ważniejszych z perspektywy częstochowskich robotnic niż na przykład strategia walki z głodem.

Kolejnym głosem odwołującym się bezpośrednio do potrzeb kobiet była wypowiedź Marii Treć z regionu Śląsk Opolski, z zawodu pedagoga, która domagała się skupienia uwagi zjazdu na reformie opieki nad dziećmi do lat trzech i zapewnieniu właściwej opieki kobietom ciężarnym. Orędowniczką praw kobiet okazała się lekarz pediatra Ewa Przybyszewska z Włocławka i najstarsza z delegatek (rocznik 1928). Zwróciła uwagę na kwestię poprawy ochrony praw kobiet w miejscu pracy oraz wydłużenie płatnych urlopów macierzyńskich, a także jakości opieki przedszkolnej. Postulowała rozszerzenie działania ogródków jordanowskich o opiekę przedszkolną, by wyrównać brak przedszkoli stacjonarnych i ulżyć „matkom, które mogą pracować w skróconym wymiarze czasu i na 4 godziny oddać dziecko pod opiekę”.

Te postulaty dotyczyły być może jednego z największych problemów, z którymi zmagały się kobiety. W pierwszej połowie lat 70. wprowadzono wiele przepisów wydłużających urlopy macierzyńskie i wychowawcze, co przy niedoborze żłobków i przedszkoli zdejmowało częściowo z państwa konieczność opieki nad dziećmi. Umożliwiono też kobietom wcześniejsze od mężczyzn przejście na emeryturę. Mimo tych zachęt do pozostawiania w domu poziom zatrudnienia kobiet wciąż rósł, co powodowało coraz dotkliwsze w stosunku do potrzeb niedobory usług publicznych. Do rozdziału piątego zjazdowej uchwały programowej, w punkcie dotyczącym opieki przedszkolnej nad dziećmi, wpisano uzupełnienie o poparcie „Solidarności” dla tworzenia ogrodów jordanowskich.

W dyskusji nad programem związku Wanda Pietroni-Drechny z regionu Mazowsze, nauczycielka i członkini Sekcji Oświaty i Wychowania, przypomniała o potrzebie wypracowania społecznej wersji ustawy o systemie edukacji narodowej i udziału oświaty przy podziale dochodu narodowego. Apelowała o to, by „Solidarność” nie zapominała o zapewnieniu w szkole właściwej opieki zdrowotnej uczniom.

Z kolei Jadwiga Szczętkiewicz w imieniu delegatów z Ziemi Łódzkiej propono-



◀ Grażyna Staniszevska, delegatka na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w październiku 1981 roku. W gdańskiej hali „Olivia” obradowało 8. Wśród delegatów

.FOT. PAP/CAF/TADEUSZ ZAGOŹDZIŃSKI

wała m.in. współpracę zakładów pracy z rolnikami indywidualnymi, by poprawić zaopatrzenie robotników w żywność. Pomysł był reakcją na braki w sklepach, które przyczyniły się do masowego łódzkiego marszu głodowego kobiet w lipcu 1981 r. Szczętkiewicz była, jak się wydaje, przede wszystkim reprezentantką łódzkich robotnic, wspólnie zresztą z Janiną Kończak, inicjatorką i organizatorką tego marszu.

PEŁNO ICH W STENOGRAMACH

Delegatki uczestniczyły w pracach kilku komisji i odegrały aktywną rolę w zarządzaniu przebiegiem zjazdu. Dziesięć było członkiniami Komisji Skrutacyjnej, trzy – Komisji Uchwał i Wniosków, dwie – Komisji Mandatowo-Wyborczej. Jedna delegatka została członkinią sekretariatu Prezydium Zjazdu. Szczególnie widoczna była Danuta Nowakowska z Gdańska, która jako przewodnicząca Komisji Mandatowej dbała o czytelność i sprawność dyskusji, oraz Elżbieta Błaszczyńska z Bydgoszczy, która jako przewodnicząca Komisji Skrutacyjnej do spraw Głosowań czuwała nad ich prawidłowym przebiegiem.

Do władz związkowych kandydowało 12 delegatek. W wyborach do Krajowej Komisji Rewizyjnej stanęło sześć kobiet, cztery zostały wybrane, a Jadwiga Szczętkiewicz została jej sekretarzem. Również sześć kandydatek wystartowało do Komisji Krajowej, ale wybrane zostały tylko dwie. Ponad połowa delegatek wzięła aktywny udział w zjeździe. Choć stanowiły ledwie ośmioprocentową mniejszość, ich głosy zajęły wyraziste miejsce w stenogramach. Czyje interesy wyrażały? Najmocniejszą reprezentację miała mocno sfeminizowana w PRL oświata, co znalazło odzwierciedlenie w wypowiedziach delegatek. Silną grupę stanowiły także przedstawicielki środowiska medycznego. Robotnice wprawdzie były tylko dwie, ale głos zabierały inne reprezentantki zakładów.

Kobiety były chętne do obejmowania przywództwa. Budowaniu pozycji sprzyjały wykształcenie, jak i pracowitość, talent organizacyjny oraz osobiste ambicje. Nie stworzyły frontu dotyczącego spraw kobiet, ale wielokrotnie wypowiadały się w ich imieniu.

Po latach niektóre delegatki opowiedziały o swoich wrażeniach i atmosferze zjazdu. Wyjazd do Gdańska stanowił zwieńczenie kariery związkowej, poszerzał horyzonty, dawał możliwość poznania nowych ludzi i spojrzenia na działalność „Solidarności” z innej niż lokalna perspektywy. Na te właśnie aspekty zwracała uwagę Halina Sarul z regionu Pojezierze: „Wtedy dotarła do mnie i uwiodła wielka polityka, sprawy zakładowe i lokalne jakby zeszły na dalszy plan, dotarło do mnie, że dzieje się historia

[...] że to nie sprawa lokalna, tylko polska, a nawet więcej”.

JAKAŚ OBCOŚĆ SIĘ ZACZEŁA WKRAĐAĆ

Największe wrażenie zrobiło na niej uchwalenie „Posłania do Narodów Europy Wschodniej” oraz wystąpienia doradców związkowych – Bronisława Geremka i Jacka Kuronia. Udział w zjeździe pozwolił im posmakować polityki i związanej z nią gry interesów. Elżbieta Seferowicz z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego dostrzegła na zjeździe rysy w solidarnościowym monolicie, z niesmakiem wspominała o gorszących scenach podczas wyborów przewodniczącego związku, gdy delegatów straszono, że „jak nie wybieriecie Wałęsy, to przyjadą stocznicy”.

Zauważyła, „że jakaś obcość się zaczęła wkrađać, że coś niedobrego się między nami dzieje”. Podobne wrażenia przywozła Grażyna Staniszevska z regionu Podbeskidzie. Udział w zjeździe był jej marzeniem i celem, a okazał się w dużym stopniu rozczarowaniem. Jej oburzenie wywoływały spory o to, czy należy złożyć podziękowania za wieloletnią działalność opozycyjną członkom Komitetu Obrony Robotników. „[...] zobaczyłam załázky przyszłych kłótni, konfliktów i podziałów”, wspominała.

Pierwszy Krajowy Zjazd był wydarzeniem niecodziennym. Dużo więcej miejsca we wspomnieniach delegatek zajmuje codzienność związkowa, rozwiązywanie problemów socjalnych, braków w zaopatrzeniu itp. Oznaczała konieczność budowania sojuszy między zakładami w regionie, prowadzenia rozmów i potyczek z władzami. Sarul, która pracowała w Biurze Interwencji Regionu, wspominała, iż praca polegała na tym, że „trzeba było ludziom pozew napisać, pójść do władzy coś powiedzieć, ale też była walka o zaopatrzenie w żywność”. Ale to właśnie w czasie tych kilkunastu miesięcy działaczki zdobywały nowe doświadczenie kierownicze i organizacyjne, umiejętności pisania i redagowania pism związkowych, kompetencje w negocjowaniu i przekonywaniu do swojego zdania.

STWORZYŁYŚMY WŁASNĄ SIEĆ

W stanie wojennym internowane zostały 24 delegatki, a cztery aresztowano i otrzymały wyroki. Z późniejszych relacji wynika, że podczas aresztowania i pobytu w więziennych traktowano je w drastyczny sposób. Bywały popychane i szarpane, wyzywane, pozbawiane ciepłej odzieży, czystej bielizny, środków higieny osobistej podczas menstruacji, zastraszane odebraniem dzieci, utratą pracy.

Ich sytuację poprawiło przewiezienie do ośrodków internowania, gdzie stworzyły swego rodzaju wspólnotę, nawiązały przyjaźnie, szczególnie w ośrodku w Goldapi. Wzajemnie się wspierały, stosowały różne techniki oporu wobec władzy, m.in. samokształcenie, tworzenie tajnej gazety czy nasłuch radiowy. Niemniej niepokój o los dzieci i bliskich, stały szantaż ze strony funkcjonariuszy SB, regularnie przesłuchujących internowane i namawiających je do współpracy w zamian za zwolnienie, stanowiły dla nich obciążenie psychiczne. Staniszevska podkreślała, że zgromadzenie w jednym miejscu wyróżniających się działaczek „Solidarności”, nie tylko delegatek na zjazd, z całego kraju, miało ten dobry skutek, że „myśmy się wszystkie poznały, kobiety z różnych regionów [...] to była już taka sieć”. Kontakty te podtrzymywały i rozwijały po uwolnieniu.

Po delegalizacji „Solidarności” ponad połowa delegatek nadal działała w podziemiu, były aktywne jako redaktorki i kolporterki, kurierki, zajmowały się pomocą charytatywną i prawną, uczestniczyły w nielegalnych manifestacjach i zebraniach. Tak duża aktywność pokazuje, że doświadczenie i umiejętności zdobyte w czasie legalnego funkcjonowania zapracentowały w kolejnych miesiącach i latach.

Sześć kobiet wchodziło w skład kierownictwa regionalnego, a jedna – Grażyna Staniszevska – wygrała wybory i została szefową swojego regionu. Ten wybór wywołał konsternację wśród kolegów, którą dyplomatycznie sama rozwiązała, ogłaszając się koordynatorką.

„Moją propozycję przyjęto z wyraźną ulgą – wspominała – choć przecież byłam faktyczną szefową, bo to ja podejmowałam decyzje”. Jej awans w strukturach podziemnych należy do absolutnych wyjątków, a związane z wyborem perturbacje pokazują szklany sufit, którego doświadczały kobiety.

Niektóre delegatki wspominały, jak do ich zaangażowania w sprawy publiczne podchodziły rodziny. Część otrzymała pełną akceptację i wsparcie ze strony mężów i bliskich. Wspomnienia innych wskazują jednak zgoła odmienne postawy. W relacjach podawały przykłady niechęci, szantażu emocjonalnego, przemocy słownej, po rozpad więzi małżeńskiej: „Czułam, że [...] coś niedobrego się między nami dzieje”; „W domu awantury, że łamię życie własnego syna”; „Nie rozwiedliśmy się, ale rozeszliśmy, żyliśmy w innych rzeczywistościach”; „Mąż po prostu zaczął się sprzeciwiać i buntować, kiedy zaczęło to iść coraz dalej, kiedy zostałam wybrana na przewodniczącą [komitetu zakładowego], to już mu się zaczęło nie podobać. No i wtedy zaczęły się już sprzeciw i konflikty w domu”.

Te wypowiedzi świadczą o kulturowej niechęci do wychodzenia kobiet z roli matki żony i angażowania się przez nie w sprawy publiczne.

Niewiele delegatek na I Krajowy Zjazd „Solidarności” aktywnie uczestniczyła w budowie państwa demokratycznego. Kilka z nich działało przed wyborami w czerwcu 1989 roku w komitetach obywatelskich, co najmniej sześć zostało wybranych do różnych funkcji w wyniku wyborów samorządowych w 1990 roku, a cztery w 1991 roku weszły do Sejmu, z czego dwie objęły stanowiska podsekretarzy stanu w rządzie.

Można odnieść wrażenie, że zabrakło karier spektakularnych, ale trzeba podkreślić, że praca w związku zawodowym i podziemiu solidarnościowym były dla delegatek czasem formacji obywatelskiej, którego dalszym ciągiem mogła być ich aktywność w wolnej Polsce. Choć w polityce ogólnokrajowej i samorządowej uczestniczyła mniejszość delegatek, to jednak ta mniejszość stanowi dowód na to, że „Solidarność” wyzwoliła rzeczywisty proces emancypacyjny. Warto o tym pamiętać, gdy piszemy jej historię i świętujemy kolejne rocznice. ●

Historia krzepi

Cień dwóch trumien

Roman Dmowski nie uważał Ukraińców za naród.
Uważał, że Polska powinna się podzielić ich ziemiami z Rosją.

Natęcz

Tomasz Natęcz
– historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego.



Sporo czasu minęło od początku lat 90., kiedy Jerzy Giedroyc stwierdził, że Polską rządzą nie partie polityczne, lecz trumny Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Jednak pogląd redaktora „Kultury” nie stracił na aktualności. Świadczą o tym stanowiska zajmowane przez polskich polityków w grze toczonej dzisiaj o Ukrainę. Premier Donald Tusk podąża tu szlakiem Piłsudskiego, prezydent Karol Nawrocki zaś nie potrafi się wyrzec do końca Dmowskiego.

Dzisiejszy prezydent nigdy nie ukrywał swoich sympatii do narodowych radykałów. Mocno był związany ze stadionowymi zadymiarzami znanymi z nacjonalistycznych ekscesów. Jako historyk gloryfikował Brygadę Świętokrzyską NSZ, nie zważając na to, że wypowiedziała posłuszeństwo

rządowi RP w Londynie i współdziałała z hitlerowcami. Zaś do Ukraińców zmagających się od 2014 roku z rosyjską agresją zawsze miał więcej sympatii niż wobec niej życzliwości.

Dla historyka ta odmienność podstaw to druga odsłona spektaklu, którego pierwszy akt rozegrał się ponad sto lat temu. Ukraińcy, podobnie jak Polacy, chcieli wtedy wykorzystać szansę, którą stwożyło ogromne osłabienie Rosji przez rewolucję bolszewicką i wojnę domową. Działali w trudniejszych warunkach, bo zwalczający się „czerwoni” i „biali” Rosjanie w jednym byli wyjątkowo zgodni. Wykluczali usamodzielnienie się Ukrainy, uważając jej mieszkańców, jak dzisiaj Putin, za szczerp rosyjski, a nie odrębny naród.

Bój o niepodległość z „czerwoną” i „białą” Rosją trwał od grudnia 1917 roku. Ukraińcy walczyli też z Polską, bo obydwie państwa chciały mieć Galicję Wschodnią i Wołyń. W polowie 1919 roku stało się jasne, że bijący się na wielu frontach Kijów przegrywa starcie. Przywódca Ukrainy Symon Petlura zrozumiał, że jeśli chce odeprzeć rosyjską agresję, musi się oprzeć na Polsce. 1 września 1919 roku zawarto rozejm pozwalający obu stronom skupić się na starciu z bol-

szewikami zwyciężającymi w wojnie domowej.

Wsparcia Ukrainy w wojnie z Rosją chciał Piłsudski, naczelnik państwa i głównodowodzący armią. Dążył on do gruntownej przebudowy całej wschodniej Europy. Zamierzał wykorzystać osłabienie Rosji do rozciągnięcia jej po szwach narodowych i zbudowania na jej zachodnich rubieżach bloku suwerennych państw, od Finlandii, przez Estonię, Łotwę, federację litewsko-białoruską, Ukrainę, aż po kraje kaukaskie. Osią bloku miał być sojusz Warszawy i Kijowa zawarty przez Piłsudskiego i Petlurę w kwietniu 1920 roku.

Ostro zwalczał tę koncepcję Dmowski. Podobnie jak Rosjanie, nie uważał on Ukraińców za naród godny własnego państwa. Wyłożył to już w 1902 roku w „Myślach nowoczesnego Polaka”, do dzisiaj będących biblią nacjonalistów. Pisał tam, że „Rusini” – nazwa „Ukraińcy” nie przechodziła mu przez gardło – muszą dopiero udowodnić swoją podmiotowość. Na razie są tylko etnicznym surowcem asymilowanym przez Polaków i Rosjan.

Antyukraińskie stanowisko Dmowski zajmował także w odrodzonej Polsce. Za najlepsze rozwiązanie uważał podzielenie się ich ziemiami z Ro-

sją. Liczył na to, że bolszewicy przełączą i zostaną zastąpieni przez prozachodni rząd, w którym widział sojusznika w starciu z Niemcami, jego zdaniem zagrażającymi polskości bardziej niż Rosja.

Prognoza okazała się nieprawdziwa. Bolszewicy utrzymali się przy władzy. Ale w kwestii ukraińskiej Dmowski triumfował. Choć zwycięzcą w wojnie polsko-sowieckiej został w 1920 roku marszałek Piłsudski, to traktat pokojowy podpisany w marcu 1921 roku w Rydze podpisywali endecy. Podzielił on ziemie ukraińskie pomiędzy Polskę i Rosję, co Ukraińcy słusznie uznali za zdradę i rozbiór ich kraju.

Rzecz jasna, historia nigdy nie powtarza się dosłownie. Dzisiaj nikt poza Putinem nie kwestionuje już suwerenności Ukrainy. Byłoby to absurdalne, bo nasi sąsiedzi od ponad trzech lat krwią zaświadcza, że są jednym z najdzielniejszych narodów, broniąc także nas przed rosyjską zabornością.

Jednak prezydent Nawrocki nie stoi murem za walczącą Ukrainą, tak jak to czyni premier Tusk. Wiele jest tego powodów, ale jednym z nich, wcale nie podrzędnym, jest długi cień rzucany na Pałac Prezydencki przez trumnę Romana Dmowskiego. ●

Okruchy historii

Włoski Katyń

We wrześniu 1943 roku na wyspie Kefalonii doszło do jednej z najbardziej barbarzyńskich zbrodni na jeńcach.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN



Wyspę Kefalonii można bez trudu dostrzec już z sąsiadującej z nią Zakynthos. Może więc miał rację włoski pisarz Marcello Venturi, że we wrześniu 1943 roku mieszkańcy Zakynthos zobaczyli nieoczekiwane płonące na Kefalonii liczne ogniska. Było ich tyle, iż wyspa wyglądała ponoć jak parowiec „z zapalonymi światłami płynący po nocnym morzu”. Tylko z pozoru był to jednak sielski widok: „do nieba w tych gęstych, leniwych chmurach dymu” wznosiło się bowiem 146 oficerów i cztery tysiące żołnierzy z włoskiej dywizji „Acqui”, „ujętych żywem i następnie rozstrzelanych w masowych egzekucjach” przez Niemców.

To właśnie o tym epizodzie drugiej wojny światowej opowiada film „Kapitan Corelli” z Nicolasem Cage’em i Penélope Cruz w rolach głównych. Ob-

raz, choćby ze względu na piękne widoki Kefalonii, niewątpliwie wart jest zobaczenia. Na mnie jednak większe wrażenie zrobiła powieść „Biała flaga nad Kefalinia” napisana przez Venturiego, a wydana w Polsce w znakomitej serii Nike jeszcze w 1968 roku. Opowiada ona historię włoskiego dziennikarza, który na Kefalonii przyjeżdża szukać śladów swojego nigdy niewidzianego ojca – rozstrzelanego na wyspie kpt. Aldo Puglisi. Pisarz chyba jako jeden z pierwszych szczegółowo zrekonstruował dramatyczne wydarzenia, zaznaczając, iż niemieckim sprawcom pozostawił prawdziwe imiona i nazwiska.

Pod jego piórem niemal czujemy wahania dowódcy włoskiej dywizji gen. Antonio Gandina, odznaczonego Krzyżem Żelaznym weterana frontu wschodniego. Dowodzone przez niego oddziały miały w momencie kapitulacji Włoch wyraźną przewagę nad sąsiednim niemieckim garnizonem. Gdyby Gandin wydał rozkaz do ataku, Niemcy zapewne szybko zostaliby pokonani. Rozpoczął jednak negocjacje, do końca mając nadzieję, że uzyska zgodę na opuszczenie wyspy z pełnym uzbrojeniem. Bo kapitulować także nie chciał, za oporem zbrojnym opowiedzieli się zresztą w referendum jego żołnierze.

Tymczasem podarowany im czas Niemcy wykorzystali dla ściągnięcia drogą lotniczą posiłków i amunicji. Dopiero gdy do wyspy zbliżyły się trzy barki desantowe, dowodzący baterią dział ojciec bohatera powieści nakazał otworzyć ogień, posyłając je na dno. Zyskał w ten sposób trochę czasu dla Włochów, było już jednak za późno na odniesienie zwycięstwa.

Włoski garnizon został poddany falowym bombardowaniom sztukasów, a pod ich osłoną na plażach wylądowali strzelcy alpejscy dowodzeni przez mjr. Harald von Hirschfelda. Desant wsparli uderzeniem od tyłu stacjonujący na wyspie grenadierzy por. Karla Rittera. Po kilku dniach oddziały włoskie skapitulowały, licząc na potraktowanie zgodnie z prawem wojennym. Były to złudne nadzieje, dla Niemców byli bowiem już tylko zdrajcami.

Zastanawiając się nad przyczyną masowych egzekucji, Venturi stara się oddać myślenie por. Rittera, który z niezachwianą nazistowską naiwnością peroruje, że „niektóre narody [...] uważać należy za elementy negatywne, utrudniające postęp i rozwój cywilizacji”, one „zdegradowały się same do rzędu służących i kelnerów”, a Niemcy muszą je „na tym poziomie utrzymać, aby nie stanowiły przeszkody

dy dla ludów silniejszych, ludów zwycięskich”. Dla Rittera i Niemców kapitulujący niedawni sojusznicy stali się z miejsca wrogiem stojącym „na najniższym, najostatniejszym szczeblu nieprzyjaciół”. Byli „bardziej wrogiem niż Anglicy czy Amerykanie, niż Rosjanie, niż Grecy”, gdyż jako zdrajcy znaleźli się „poza prawem wojny”.

Dlatego w masowych egzekucjach wytracono prawie całą poddającą się włoską dywizję, w tym samego gen. Gandina. Ciała pomordowanych spalono lub wrzucono do morza. Nic więc dziwnego, że tragedia na Kefalonii czasami jest nazywana „włoskim Katyńem”. Jak by nie patrzeć, była to jedna z najbardziej barbarzyńskich zbrodni na jeńcach wojennych w XX wieku.

Podczas tegorocznych wakacji udało mi się dotrzeć – dosłownie na kilka godzin – na Kefalonię. W stolicy wyspy Argostoli wynająłem naprędce taksówkę podjechałem do pomnika, który usytuowany na wzgórzu upamiętnia włoskich żołnierzy. Czulem wewnętrzny przymus, by stanąć tam i skłonić głowę przed cieniami bezlitośnie zamordowanych. Gdy po chwili zadumy wsiadałem z powrotem do taksówki, grecki kierowca popatrzył znacząco i mruknął: „The Germans are no good”. ●

weekendówka
169

M JAK MIEJSCOWOŚĆ

- X, Y, Z...
(mija chwila)
- Stop!
- M!
I zaczynamy: państwo na „m”, miasto na „m”...

Pamiętacie jeszcze tę kapitalną rozrywkę z czasów, gdy komputery nie ograniczały naszej wyobraźni, serwisy streamingowe nie zjadały czasu, a do dobrej zabawy wystarczyły kartka i długopis?

Można było grać w kropki, można było w piłkę nożną, ale królową polowania bezsprzecznie była Inteligencja, określana niekiedy jako Państwa, miasta, miasta bo były to dwie żelazne kategorie tego quizu, polegającego na wypisaniu nazw zaczynających się na określonej literę. Tę wskazywało właśnie to „losowanie w ciemno”, rozpoczynające każdą rundę – jeden z graczy po formule „z, y, z” recytował w myślach alfabet, inny komendą „stop” zatrzymywał wyliczankę.

Kategorie bywały naprawdę różne. Po państwie i mieście następowały z reguły zwierzę i roślina, ale potem mogły być np. „rzecz”, „sławny człowiek”, „rzeka”, „gra”. Swego czasu w podstawówce graliśmy też w kategorii „klub piłkarski”, a na studiach odpytywaliśmy się z pozycji seksualnej.

Modyfikowaliśmy też czasem reguły – za podanie miasta czy rzeki leżących w państwie, które wpisałyśmy w pierwszej kategorii, były dodatkowe premie.

Pora jednak już powściągnąć te wspominkowe wodze. Z pewnością zdarzyło się wam w Inteligencji, kiedy wypadła literka M – zaraz wyjaśni się, skąd to „m” wzmiankowane – w rubryce miasto wpisać Melbourne. A tak się akurat składa, że dziś, 30 sierpnia przypada rocznica założenia tego miasta. I to nie byle jaka, bo 190. Za 10 lat to będzie się dopiero działo...

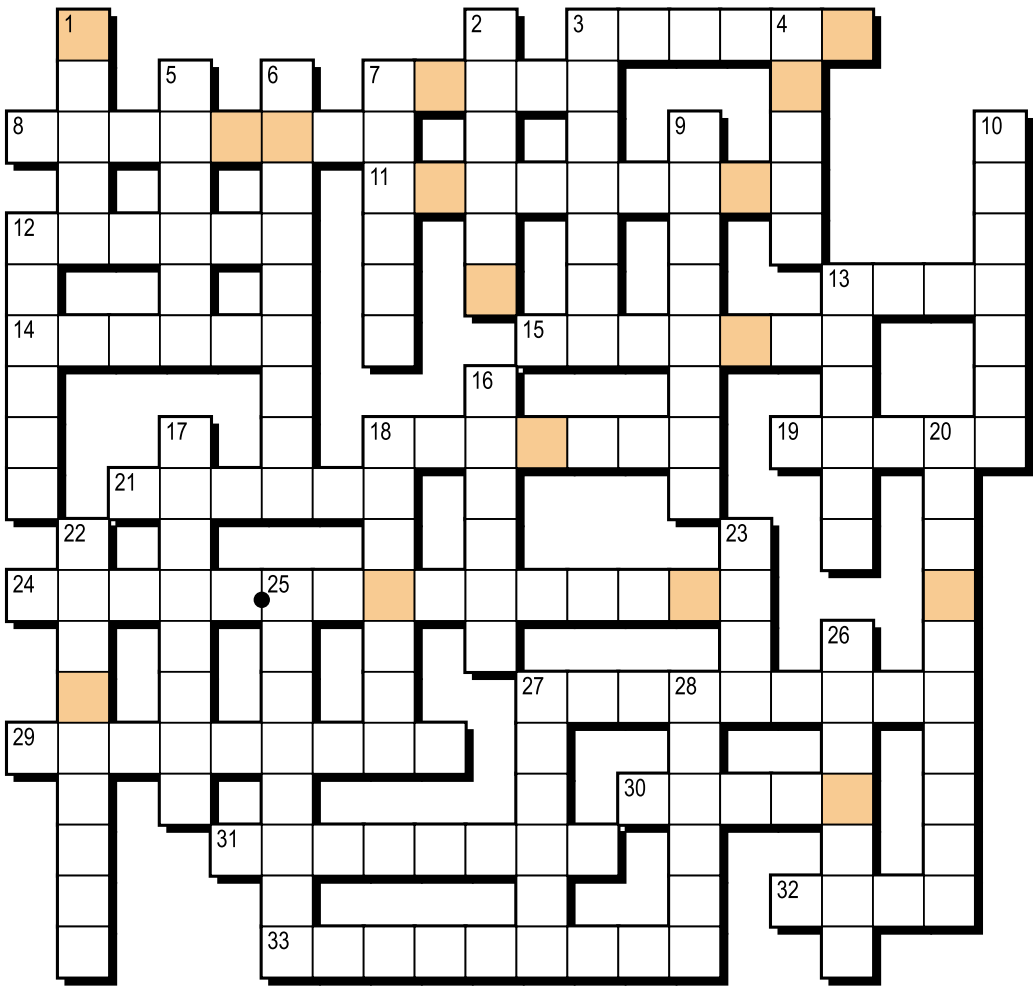
Melbourne założyła grupa osadników pod wodzą Johna Batmana, który nabył ziemię nad brzegami rzeki Yarry od starszyny plemienia Aborygenów Wurundjeri. Nabył, jak to często bywało, w wątpliwych okolicznościach, bowiem Aborygeni byli przekonani, że jedynie użyczają na jakiś czas tych terytoriów, nie oddają je białym.

Melbourne rozwijało się błyskawicznie, do czego przyczyniło się odkrycie w stanie Wiktorii – którego Melbourne jest stolicą – złota w połowie XIX wieku.

Melbourne było też pierwszą stolicą Australii, od 1901 roku, i pozostało nią do 1927, aż do inauguracji Canberry, która powstała, by zakończyć spór Melbourne i innego australijskiego giganta, Sydney.

Ale tu już wchodzi nam w paradę literki „C” i „S”, a my nie o tym. Tylko o „M”! Bo dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy miastom na literę m. W drogę zatem i powodzenia!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 168 z 23.08:

Poziomo: 2) Sojuz 4) Pluton
7) Interstellar 9) Tytan 11)
Marsjanie 12) Europa 14)
Naboo 15) Star Trek 18) Besson
20) ratunek 22) galaktyka 25)
Odyseja kosmiczna 29) rok 30)
science fiction 32) życie 33)
aphelium 35) brat 36) Eagle.
Pionowo: 1) sonda 2) Szekspir
3) Ziemia 4) planetoida
5) Tatooine 6) Wenus 8)
spacer 10) Thanos 13)
astronomowie 16) anteny 17)
tunele 19) Saturn 21) Kora 23)
lisia czapa 24) piosenka 26)
szczyty 27) Arnold 28) skorupa
31) niebo 34) hel.

HASŁO: WIELKA PUSTKA

M JAK MIEJSCOWOŚĆ

Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) stolica Bahrajnu
7) miasto powiatowe na południe od Nidzicy
8) miasto nad Bobrem (woj. lubuskie)
11) miasto w Maroku (film „W stronę ...”)
12) bałtyckie kąpielisko, którego dzielnicą stało się Unieście
13) Wenus z ...
14) niemieckie miasto kojarzone z porcelaną
15) miasto w powiecie goleniowskim
18) część warszawskich Bielan (piosenka „Statek do ...”)
19) miasto w Szwecji (ostatnia litera jako „o”)

21) likier kokosowy albo miasto w Kalifornii
24) miasto w aglomeracji warszawskiej
27) gród bezskutecznie atakowany przez zbójcerzy (przygody Kajka i Kokosza)
29) niemiecka nazwa Mariańskich Łaźni – czeskiego uzdrowiska (film „Zeszłego roku w ...”)
30) miasto w powiecie mińskim (mogą być siarczyste!)
31) z La Scalą i San Siro
32) miasto na północ od Nancy (Francja)
33) miasteczko z mrocznej piosenki Nicka Cave’a „Przekleństwo ...”

Pionowo:
1) seriale „Policjanci z ...” lub „CSI: Kryminalne zagadki ...”
2) stolica z muzeum Prado
3) stolica Nikaragui

4) włoskie miasto z torem wyścigów Formuły 1
5) część Nowego Dworu Mazowieckiego (twierdza ...)
6) 6 grudnia... na Mazurach
7) jedno z głównych miast w starożytnym Egipcie
9) wieś w powiecie tarnowskim, z malowniczymi ruinami zamku
10) osada z powieści Marqueza „Sto lat samotności”
12) wielki indyjski port nad Morzem Arabskim
13) z Monte Carlo
16) stolca, która nie wierzy łzom
17) stolica francuskiego regionu Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże
18) małopolskie uzdrowisko w dolinie Popradu
20) miasto w powiecie jędrzejowskim (woj. świętokrzyskie)
22) miasto w stanie Wisconsin, z klubem Bucks w lidze NBA

23) miasto na wyspie Honsiu (jak Myszka ...)
25) niemieckie miasto, w którym urodził się Steffi Graf
26) białoruskie miasto nad Dnieprem
27) port w Andaluzji (jak wino)
28) słowackie miasto (jak imię Scorsesego)

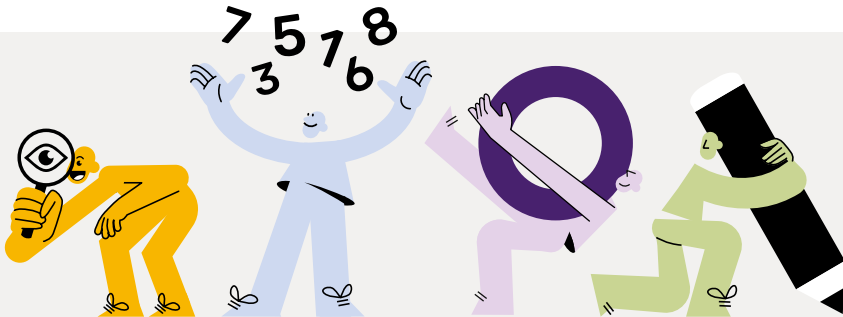
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

Literówka • Quizy
Sudoku • Krzyżówki

Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store